

Stewardson Dawn

Zakładniczka

## OSOBY

Ben DeCarlo - kim był? Niewinnym człowiekiem czy psychopatycznym zabójcą?

Monique LaRoquette - czy idąc za głosem serca, popełni największy w życiu błąd?

Maria DeCarlo - siostra Bena jest absolutnie przekonana o jego niewinności.

Dezi Cooper - przyjaciel Bena i zarządca jego winiarni zrobi wszystko, żeby mu pomóc.

Dominick DeCarlo - wujek Dominick stał się teraz głową „rodziny”.

Nos - nienawidził ojca Bena tak bardzo, że pozbawił go życia. Oskarżył jego syna. Kim jednak był?

Sandor Rossi - on zna prawdę, ale gdzie jest?

Danny Dupray - on również zna prawdę, ale postanowił milczeć.

## PROLOG

Środa, 15 grudnia 1993 12:13

Kiedy weszli do „Augustine's”, Monique ogarnęło uczucie zadowolenia, że wybrała się na lunch w towarzystwie Frankie'go, a nie innych modelek. Miał rację - to jedno z tych miejsc w Nowym Orleanie, które należało zobaczyć. Długie, ciemne pomieszczenie, kamienna podłoga, szmer zawieszonych pod sufitem wentylatorów i przygaszone światła tworzyły niepowtarzalną atmosferę.

- Dzisiejsza sesja była wspaniała - powiedział Frankie, kiedy wskazano im stolik. - Gdyby przyznawano Pulitzera dla fotografów mody, po powrocie do Nowego Jorku mógłbym szykować wolne miejsce na kominku.

- Wiesz co? - uśmiechnęła się Monique. - Kusi mnie, żeby nie wracać. Dwa dni i już zakochałam się w tym mieście.

- Powinnaś je zobaczyć w czasie Mardi Gras. To naprawdę coś niesamowitego. Ale możesz liczyć tylko na to, że będziesz tu od czasu do czasu wpadać. Należysz do tych wybranych, które zawsze wyglądają młodo, więc pewnie utkniesz w Nowym Jorku na następne dwadzieścia lat.

- Och, Frankie, ty pochlebco.

Roześmiał się. Zanim zdążył coś odpowiedzieć, pojawiła się kelnerka z kartą w ręku.

Kiedy Frankie zajął się studiowaniem menu, Monique rozejrzała się powoli po restauracji, myśląc, że istotnie była szczęściarą. Praca modelki to zawód niełatwy - wiele kobiet odchodziło z zawodu, zanim jeszcze osiągnęły trzydziestkę. Ona w wieku dwudziestu ośmiu lat wciąż jeszcze podpisywała kontrakty z największymi magazynami mody. A w dzisiejszych czasach starsze modelki miały coraz więcej pracy, co dobrze wróżyło przynajmniej na najbliższą przyszłość.

Tak, miała świat u swych stóp, jak często mawiała jej matka. Odniosła sukces, zrobiła karierę, a w domu czekał na nią wspaniały człowiek, gotowy, by się z nią ożenić. Więc choć nie miała całkowitej pewności, że Craig był jej księciem z bajki...

Tok jej myśli przerwał hałas otwieranych drzwi, ściągając jej uwagę na wchodzącego właśnie mężczyznę. Ten człowiek na pewno był czymś księciem z bajki. Miał około trzydziestki, wysoki i dobrze zbudowany, o brązowych, rozjaśnionych słońcem włosach, z seksownym dołkiem w podbródku.

Pewna siebie postawa i doskonałej jakości płaszcz mówiły: „pieniądze”. Niewątpliwie byłby szalenie atrakcyjnym facetem, gdyby nie wściekły wyraz twarzy.

- Hej - powiedział cicho Frankie. - Chyba jest z czegoś bardzo niezadowolony.

Mężczyzna rozglądał się jeszcze przez chwilę po restauracji, po czym ruszył w stronę stolików w głębi sali.

- O proszę, to przecież Ben - powiedział kobiecy głos.

Rozglądając się dookoła, Monique zauważyła parę starszych ludzi siedzących przy stoliku w rogu.

Kobieta była uosobieniem elegancji - miała na sobie kostium Gianni'ego Versace z białej zimowej wełny. Mężczyzna przypominał nieco Anthony'ego Quinna.

- Ben - powiedział, unosząc się lekko na krześle. - Usiądź i zjedz z nami lunch, synu.

Kobieta zaczęła coś mówić, po czym urwała z niepewnym wyrazem twarzy.

Monique znów rzuciła spojrzenie w kierunku młodszego mężczyzny. Zatrzymał się w pewnej odległości od siedzącej pary i w chwili, kiedy na niego spojrzała, wyciągnął z kieszeni płaszcza pistolet.

- O rany! - szepnął Frankie. - Na ziemię!

Rzucił się na podłogę, ale Monique pozostała jak sparaliżowana na swoim miejscu. Poprzez bicie serca słyszała, jak mężczyzna z bronią mówił coś ze złością na temat kandydowania w wyborach do Senatu i coś o wtrącaniu się starszego mężczyzny w jego życie.

Potem rozległy się dwa strzały i starszy mężczyzna upadł. Kobieta także osunęła się na podłogę, a płynąca z jej gardła krew zamieniała biel żakietu w szkarłatną czerwień.

Przez jedną przerażającą chwilę Monique patrzyła na tę straszliwą scenę - po czym ogarnęła ją fala mdłości i czerwono - czarna zasłona opadła jej na oczy, otaczając kompletną ciemnością.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poniedziałek, 3 lutego 1997 15:30

Kiedy rozległ się sygnał zapowiadający serwis informacyjny, Monique przebywała akurat w dodatkowej sypialni, której używała jako domowego biura. Sprawdziała w komputerze ostatnie wyceny domów, mówiąc sobie, że wcześniej czy później znajdzie coś, co będzie odpowiadało oczekiwaniom Ramseya.

- Dzisiaj sensacyjne wiadomości z naszej siostrzanej stacji w Nowym Orleanie - powiedział spiker.

Monique spojrzała na radio.

- Jeden z najgłośniejszych procesów w historii tego miasta - ponowne rozpatrzenie sprawy Bena DeCarlo oskarżonego o podwójne morderstwo, właśnie się zakończył.

Monique, wsłuchując się uważnie w słowa spikera, wróciła pamięcią do wydarzeń, których była świadkiem. Przez ostatni miesiąc, od czasu, kiedy ludzie z programu ochrony świadków zabrali ją do Nowego Orleanu, aby ponownie zeznawała w tej sprawie, historia Bena DeCarlo nie dawała jej spokoju. Zresztą trudno było nie myśleć o czymś, co nagłaśniały wszystkie stacje telewizyjne i radiowe, o czym \ pisała każda gazeta. Dzięki Bogu, że już po wszystkim.

- Dzisiaj przed południem - kontynuował spiker - obrona zakończyła przesłuchiwanie świadków. Zaledwie kilka minut temu padły ostatnie słowa mów końcowych. Ława przysięgłych zbierze się jutro rano.

Tak kończy się powtórny proces Bena DeCarlo, który w opinii wielu ludzi nie powinien w ogóle mieć miejsca. Na jesieni 1994 roku, w trakcie procesu o morderstwo rzekomego przywódcy mafii Antonia DeCarlo oraz jego żony, pięcioro świadków zeznało, że widziało, jak Ben DeCarlo wszedł do restauracji w Nowym Orleanie i strzelił do swoich rodziców. Zeznania te przyczyniły się do wyroku skazującego.

Rzekomy przywódca mafii, powtórzyła w duchu Monique. Na pewno nie rzekomy. Antonio DeCarlo był głową największej rodziny w Nowym Orleanie.

- Jednak po dwóch latach spędzonych w więzieniu stanowym w Luizjanie, w mieście Angola - płynął dalej głos z radia - DeCarlo otrzymał prawo do ponownego procesu. Decyzję podjęto na podstawie nowego materiału dowodowego, materiału, którego nie przedstawiono

w trakcie pierwszej rozprawy. Materiału, co do istnienia którego wielu ludzi miało wątpliwości.

Ci sami ludzie są zdania, że to DeCarlo stoi za zabójstwem dwóch z pięciu naocznych świadków jego przestępstwa. Jednak tylko czas odpowie nam na pytanie, czy te morderstwa mają jakiś związek ze sprawą.

Zamknawszy oczy, Monique zaczęła się zastanawiać, jak ktokolwiek mógł mieć wątpliwości, że to DeCarlo zaaranżował te zabójstwa. O tak, słyszała opinie wielu mieszkańców Nowego Orleanu twierdzących, że nie miał żadnego związku z Mafią Południa i mimo tego, czym zajmował się jego ojciec, był po prostu praworządnym biznesmenem.

Ona jednak ani przez chwilę w to nie wierzyła. Widziała, jak zamordował swoich rodziców i nie, da sobie wmówić, że praworządny obywatel może w mgnieniu oka przeistoczyć się w pozbawionego skrupułów mordercę.

- Tak więc - mówił spiker - ponowny proces zakończył się. Brakuje już tylko wyroku. Wielu spodziewa się, że zostanie ogłoszony szybko, a obrady ławy przysięgłych przejdą do historii jako jedne z najkrótszych.

A teraz pozostałe wiadomości...

Monique odetchnęła. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że przez cały czas wstrzymywała oddech. Dopiero teraz uświadomiła sobie, z jakim niepokojem oczekiwała końca procesu.

Ponowne zeznawanie sprawiło, że obraz tamtego morderstwa powrócił do niej z niezwykłą wyrazistością. Może teraz zacznie wreszcie powoli błędąc. Miała nadzieję, że prześladowające ją nocne koszmary również odejdą. Jeżeli tylko ława przysięgłych nie popełni jakiegoś straszliwego błędu, Benjamin Wilson DeCarlo tym razem również zostanie skazany. A to na pewno ją uspokoi.

Spojrzała na telefon, przez chwilę bawiąc się myślą, że mogłaby znaleźć się jutro w sali sądowej podczas ogłaszania wyroku. Stłumiła jednak tę pokusę.

Jeżeli chciała pozostać w programie ochrony świadków, musiała robić to, co jej kazano. A kazano jej nigdy już nie wracać do Nowego Orleanu.

Niebezpieczeństwo było tam, gdzie znajdowali się przyjaciele Bena DeCarlo. Ludzie, którzy zamordowali już dwóch z pięciu

naocznych świadków. Myśląc o tych ofiarach, poczuła napływające do oczu łzy - i przejmujący dreszcz. Obydwaj zabici mężczyźni byli objęci programem ochrony świadków, tak jak ona. A jednak zginęli. Ona też już nigdy nie będzie naprawdę bezpieczną. Choć proces się zakończył, Ben DeCarlo nadal może kazać ją zabić - chociażby po to, by udowodnić, że wciąż jeszcze ma kontakty, pozwalające mu na wydawanie poleceń nawet z więziennej celi.

Wiedziała, że podróż do Nowego Orleanu jest niebezpieczna, potrzebowała jednak czegoś, co zamknie dla niej tę sprawę. Chciała na własne oczy zobaczyć, jak znów uznają Bena DeCarlo winnym.

Oczy wiście, jeżeli go skażą; Jeżeli w pokoju, w którym naradzają się przysięgli, wszystko pójdzie tak, jak powinno. Nie było zresztą innej możliwości. Po tym, jak główny świadek obrony nagle zapadł na amnezję, wszyscy przewidywali, że przysięgli nie tylko uznają Bena DeCarlo winnym, ale też, że zajmie im to mniej niż pół dnia.

Pomyślała nad tym przez chwilę, po czym wzięła kalendarz i upewniła się, czy nie ma jakichś spotkań, których nie mogłaby przełożyć. Wprawdzie agenci nieruchomości powinni pozostawać do dyspozycji niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie było gwarancji, że przysięgli pobiją rekord szybkości, ale...

Mogła przecież spakować tyle rzeczy, żeby w razie czego wystarczyło jej na kilka dni pobytu, a agencję poinformować, że niespodziewanie wypadła jej ważna sprawa rodzinna, więc musi spędzić kilka dni z rodzicami, ale nie wie dokładnie, kiedy wróci.

Patrząc na stojące na biurku zdjęcie, pomyślała, że naprawdę chciałaby trochę z nimi pobyc. Z nimi i z bratem. Ale przez Bena DeCarlo musiała żyć w kłamstwie, odciąć się od dawnego życia, nawet zmienić imię i nazwisko. Nazywała się teraz nie Monique LaRoquette, ale Anne Gault.

Jednak taka niestety była rzeczywistość i nauczyła się już, że nie wolno siedzieć i użalać się nad sobą. Wróciła więc myślami do planowanej podróży. Dzięki doświadczeniu modelki umiała zupełnie zmienić wygląd. A jeżeli nikt jej nie rozpozna, to czy krótka wizyta w Nowym Orleanie naprawdę będzie aż tak niebezpieczna?

Podjąwszy decyzję, podniosła słuchawkę telefonu.

Wtorek, 4 lutego 11:24

Monique siedziała z zaciśniętymi dłońmi, obserwując wracających na salę rozpraw sędziów przysięgłych. Podjęcie decyzji o

losie Bena DeCarlo zajęło im zaledwie dwie godziny - za kilka minut dowie się, co postanowili. Nie była pewną czy będzie w stanie znieść wyrok uniewinniający.

Przez niego zginęli ludzie. Jego rodzice, dwaj świadkowie. Przez niego żyła w kłamstwie. Zabrał jej wszystko - rodzinę, karierę, nawet męża. I za to nienawidziła go z całej duszy.

- Panie i panowie przysięgli - powiedział sędzia, gdy już usiedli.  
- Czy ustaliliście werdykt?

- Tak, Wysoki Sądzie - odpowiedział przewodniczący ławy przysięgłych, podając woźnemu sądowemu złożoną kartkę papieru.

Woźny wręczył ją sędziemu.

Ze swojego miejsca w ostatnim rzędzie Monique przypatrywała sędziemu, próbując z wyrazu jego twarzy odgadnąć, co zawierał ten mały kawałek papieru.

Przyglądała czarną perukę w stylu Kleopatry i nerwowo poprawiała dopełniające przebrania okulary. Potem znów spojrzała na ławę przysięgłych.

Woźny odniósł kartkę z werdyktem przewodniczącemu. W sali było tak cicho, że nawet ze swojego odległego miejsca słyszała szelest rozkładanego papieru.

Na tę chwilę czekała od dawna. Skupiła wzrok na oskarżonym - człowieku, który w „Augustine's” zastrzelił własnych rodziców.

Siedział, opierając na stole skute kajdankami dłonie i patrzył na przysięgłych. Widziała jego profil. Przelotnie pomyślała, że kiedy wchodził wtedy do restauracji, wydał się jej niezwykle atrakcyjny.

To było jej pierwsze wrażenie. Teraz widziała tylko zimnego, wyrachowanego mordercę.

- Wysoki Sądzie - zaczął przewodniczący. - Uznajemy oskarżonego winnym zarzucanych mu czynów.

Przystojna twarz Bena DeCarlo ani drgnęła, jakby była wykuta z kamienia.

Brak reakcji - typowe zachowanie psychopaty. Jednym ze ekspertów wezwanych przez oskarżyciela był znany psychiatra, który stwierdził, że tylko psychopata mógł zabić swoich rodziców z zimną krwią, tak jak to zrobił Ben DeCarlo.

Odwróciła wzrok. Oparła się wygodnie, z ulgą, że sprawiedliwości stało się zadość po raz drugi i Ben DeCarlo już nigdy nie będzie wolnym człowiekiem. Ale wbrew oczekiwaniom nie



poczuła satysfakcji, tylko dziwną pustkę. Może dlatego, że Ben DeCarlo był wcieleniem zła i dostał po prostu to, na co zasłużył.

Przeglądała się, jak dwóch uzbrojonych strażników wyprowadza go z sali. Teraz, kiedy ogłoszono już wyrok, marzyła jedynie o złapaniu następnego lotu do Hartford w Connecticut i znalezieniu się w domu.

Ben DeCarlo wyszedł z sali sądowej w towarzystwie dwóch strażników, czując szalone bicie serca. Teraz albo nigdy. Nikomu jeszcze nie udało się uciec z więzienia w Angola, więc jeśli ten plan zawiedzie...

Jeżeli zawiedzie, to raczej umrze, niż znajdzie się znów za kratkami, postanowił, wiedząc, że każdy ze strażników chętnie mu w tym pomoże.

Kiedy jeden z nich zamykał drzwi sali, Ben obserwował długi korytarz, żałując, że nie może zobaczyć, co jest za zakrętem. A jeśli ich tam nie będzie? A jeśli coś poszło nie tak i ktoś go przechytrył?

Wszystko poszło jak trzeba, zapewnił sam siebie, kiedy ruszyli. Wynajęci ludzie to profesjonaliści. Zrobią dokładnie to, za co im zapłacono. Najlepsi z najlepszych, fachowcy.

Powinien dziękować Bogu, że siostra i przyjaciel Dezi nie opuścili go. Im mógł powierzyć swoje życie. Cholera, przecież właśnie to robił!

- Pewnie nie możesz się już doczekać, kiedy znów zobaczysz swoich kumpli z kicia, co, DeCarlo? - powiedział jeden ze strażników.  
- Słyszałem, że Angola to świetne miejsce. Pewnie tęskniłeś za nim w czasie procesu.

Ben nawet nie spojrzał na strażnika, ale oczami wyobraźni widział, jak jego twarz wykrzywia się w nieszczerym uśmiechu. Tak, Angola to jeden z najlepszych wakacyjnych kurortów.

Doszli już prawie do końca korytarza i z każdym krokiem serce Bena biło coraz szybciej. Zaplanowali wszystko tak dobrze, że po prostu musiało się udać. Plan budynku znał doskonale, jakby wryto go w jego mózgu. Wiedział dokładnie, gdzie ma iść, co robić.

Doszli do rogu... Skręcili w prawo...

- Co u diabła...

Poczuł przypływ adrenaliny, widząc swoich ludzi wkraczających do akcji. Dwóch zajęło się strażnikami - zakneblowali ich i związali

im ręce. Trzeci zdjął kajdanki Benowi, po czym wcisnął mu do ręki sportową torbę i bez słowa wskazał daleki koniec korytarza.

Ben rzucił się biegiem w tamtą stronę, otwierając po drodze torbę. Wpadł do łazienki, wyciągnął z torby potrzebne rzeczy. Zrzucił marynarkę, włożył szary sweter. Zerkając w lustro, trzęsącymi się rękami mocno przykleił do twarzy sztuczne wąsy. Następnie ukrył włosy pod baseballową czapkę i włożył ciemne okulary. Wsunął do kieszeni portfel i na koniec wetknął za pasek mały pistolet kaliber 38. Obciągnął sweter.

Wyszedł z łazienki, wpychając do torby marynarkę i krawat. Szybkie spojrzenie w lewo przekonało go, że jego ludzie wykonali już swoją robotę i zniknęli. Strażnicy zostali bezpiecznie zamknięci w magazynie.

- Ciao, koledzy - powiedział pod nosem. Potem ruszył w stronę rzadko używanego wyjścia, mając pewność, że będzie otwarte.

Kiedy opuścił gmach, zmusił się, by iść normalnym krokiem, choć miał ochotę biec jak najszybciej.

Do tej pory wszystko szło jak w zegarku. Przemyśleli każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. Musiał więc postępować dokładnie według planu. Miał iść, a nie biec. Nie wolno mu zwracać na siebie uwagi.

Odkrycie ucieczki było kwestią minut, a może nawet sekund. Musiał opuścić okolicę, zanim rozpęta się piekło poszukiwań.

Dotarł do ulicy i rozejrzał się dookoła. Nie było jej. Próbując zignorować chwytające go za gardło lodowate macki strachu, sprawdził jeszcze raz, tym razem dokładnie. Musiała gdzieś stać.

Postanowili, że nie użyją samochodu. Ktoś mógłby zapamiętać rejestrację. Najlepsza była taksówka. Dla niego i dla Felicii, kobiety, której zapłacili właśnie za to, żeby czekała na niego.

Rozejrzał się jeszcze raz. Wprawdzie na chodniku stała samotna kobieta, ale to nie była Felicia. Ta miała na sobie bladożółty kostium, a nie czarne spodnie i zielony sweter, jak ustalili. Przez ramię przerzuciła płaszcz, w rękę trzymała małą walizeczkę i nie stała w umówionym miejscu.

Patrzył na nią w nadziei, że nagle przemieni się w Felicię. Daremnie. Jej proste czarne włosy i okulary nie zniknęły. I choć przyglądał się niezwykle intensywnie, w żadne sposób nie mógł odnaleźć podobieństwa do zdjęcia, które mu pokazano.

Ostatni raz rzucił daremne spojrzenie w górę i w dół ulicy, po czym ponownie popatrzył na kobietę w bladożółtym ubraniu. Macki strachu zaciskały się coraz mocniej na jego gardle.

Musiał mieć ze sobą kobietę. To najważniejsza część planu.

Ten lutowy dzień był wyjątkowo ciepły. Po całym przedpołudniu spędzonym w dusznej sali sądowej Monique zatrzymała się na chwilę, aby odetchnąć świeżym powietrzem w nadziei, że pozbędzie się myśli o Benie DeCarlo.

Kiedy to się nie udało, spróbowała skoncentrować uwagę na panującym wokół zgiełku. Na ulicy było pełno ludzi, w większości turystów. Zdradzały ich zawieszane na szyjach aparaty fotograficzne. Niezwykłe gadatliwy taksówkarz, który przywiózł ją tu z lotniska, poinformował, że Mardi Gras wypada w tym roku wcześniej, dokładnie za tydzień, a karnawałowe uroczystości już ściągnęły do miasta wielu gości.

Stojący po drugiej stronie ulicy sprzedawca hot dogów miał mnóstwo klienteli i Monique pomyślała, że mogłaby też skorzystać z jego usług. Nie przepadała za jedzeniem podawanym w samolotach.

Z drugiej strony najbliższy samolot do Hartford odlatywał już za kilka godzin, więc jeżeli chciała jeszcze kupić bilet, powinna jak najszybciej znaleźć się na lotnisku, a o jedzenie zatroszczyć się później.

Rozejrzała się w poszukiwaniu wolnej taksówki i zobaczyła coś, co sprawiło, że krew przestała krążyć w jej żyłach. Zaledwie kilkanaście metrów od niej stał Ben DeCarlo.

Najpierw wpadła w panikę, uniemożliwiającą racjonalne myślenie. Potem zdała sobie sprawę, że to nie mógł być on. Dopiero kilka minut temu wyszedł z sali sądowej ubrany w ciemny garnitur od Armaniego, a stojący na ulicy mężczyzna miał na sobie niebieski sweter, džinsy i kowbojskie buty. Wpatrywała się w niego, szukając wyraźnych różnic. Ale tak bardzo przypominał Bena DeCarlo...

- Nie ruszaj się - usłyszała męski głos i poczuła mocny uścisk ręki na swoim ramieniu.

Zdziwiona odwróciła się. Przez chwilę nie wiedziała, z kim ma do czynienia, jednak gdy zauważyła dołek w podbródku, okulary i wąsy stały się zbędnymi rekwizytami.

- Mój Boże - wymamrotała, a zdziwienie zastąpił paniczny strach. Człowiek, któremu przyglądała się wcześniej, nie był Benem DeCarlo - Ben DeCarlo stał koło niej, trzymając rękę na jej ramieniu.

Szary sweter zajął miejsce marynarki od Armaniego, a nasunięta na twarz czapka baseballowa ukryła rozjaśnione słońcem włosy. Ciągle jednak nosił spodnie od garnituru i drogie włoskie buty.

- Mam pistolet - powiedział. Miętkość południowego akcentu zupełnie nie pasowała do tych słów. - Jeżeli spróbujesz krzyczeć albo uciekać, użyję go.

Stała przygwożdżona do ziemi, zaciskając mocno rękę na uchwycie walizki, wbijając paznokcie w dłoń. Jej serce biło trzy razy szybciej niż zwykle, czuła suchość w ustach, gardło miała ściśnięte tak mocno, że nie mogła przełknąć śliny. Jej najgorszy koszmar stał się właśnie rzeczywistością. Ben DeCarlo uciekł. I czy będzie krzyczeć i uciekać, czy nie, zabije ją.

- A teraz powiem ci, co zrobisz - powiedział, stawiając na chodniku sportową torbę, którą trzymał w ręku. - Zatrzymam taksówkę i wsiądziemy do niej razem. Masz być cicho. Jeżeli zechcesz mi cokolwiek powiedzieć, udawaj, że jestem twoim mężem. Rozumiesz?

Monique w milczeniu skinęła głową, czując kolejną falę strachu. Zostać zakładniczką mordercy psychopaty to gorzej, niż zginąć na miejscu. Wiedziała, do czego zdolne są takie typy. Wiele czytała o psychopatii, usiłując zrozumieć, jak Ben DeCarlo mógł zrobić to, co zrobił.

- Dobra - powiedział. Ledwo podniósł rękę, nadjechała taksówka. - Nie zrobię ci krzywdy - powiedział podnosząc torbę z chodnika - dopóki będziesz robić to, co ci każę. Ale nie zapominaj, że mam pistolet.

I nic do stracenia, dopowiedział jej wewnętrzny głos.

Wsiadł za nią na tylne siedzenie taksówki. Kiedy Felicia się nie pojawiła, wpadł w panikę, choć to nie było w jego stylu. Poczuł, jak kolejny raz wolność wyslizguje mu się z rąk. Nie miał wprawdzie pewności, że porwanie nieznanym to dobry pomysł, ale nie mógł tu stać i rozważać wszystkich za i przeciw. W każdej chwili należało spodziewać się pościgu.

Będą szukać samotnego mężczyzny - miał więc szansę uciec, jeżeli będzie z kobietą. Poza tym i tak potrzebował jej na lotnisku. Więc po co spekulować, jakich kłopotów przysporzy mu to porwanie.

- Dokąd? - zapytał taksówkarz.

- Na lotnisko międzynarodowe - odpowiedział Ben, myśląc, jakie to szczęście, że kobieta ma walizkę. Gdyby cały jego bagaż stanowiła sportowa torba, taksówkarz mógłby go zapamiętać.

A jeśli nawet, to czy może być lepsze miejsce niż lotnisko?

Jeżeli policja dowie się o tym, dojdzie do wniosku, że następnym przystankiem Bena będzie Afryka Południowa albo inne równie odległe miejsce.

Oparł się wygodniej próbował trochę odetchnąć. Był jednak za bardzo spięty i wiedział, że dopóki nie dotrze na miejsce, nie uda mu się odprężyć. Ale przynajmniej mógł znowu normalnie myśleć. Powinien więc zastanowić się i zdecydować, co do cholery zrobi z tą kobietą.

Zerknął na nią kątem oka. Siedziała sztywno wyprostowana, patrząc prosto przed siebie. Była przerażona.

Nic dziwnego. Gdyby wiedziała, kim jest, przeraziłaby się jeszcze bardziej.

Patrząc na nią, miał wrażenie, że gdzieś już ją widział. Ale to byłby zbyt duży zbieg okoliczności.

Wyjrzał przez okno, właśnie skręcali w Tulane Street. Zastanawiał się, czy nie popełni błędu, puszczając ją jeszcze na lotnisku.

Nie chciał jej ze sobą zabierać. Plan tego nie przewidywał - tak samo zresztą jak porywania. Ale gdy ją puści, ona sprowadzi tu całą gromadę policjantów. Nawet jeżeli nie zdawała sobie sprawy, z kim ma do czynienia, to przecież napadł na nią tuż przed budynkiem sądu. Wystarczy, że policja doda dwa do dwóch. Dużo, dużo lepiej byłoby, gdyby tego nie zrobiła.

Spojrzał na nią jeszcze raz - bez względu na to, jak długo przetrzymywał swoją zakładniczkę, w świetle prawa był porywaczem. Czyli popełnił przestępstwo niemal tak poważne jak morderstwo.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wtorek, 4 lutego 12:27

- Gdzie podjechać? - spytał taksówkarz, gdy dojechali do lotniska.

- Odloty - powiedział Ben DeCarlo.

Węzeł w żołądku Monique zacisnął się. Ben DeCarlo na pewno rozpoznał ją mimo przebrania. Dlatego porwał ją i zamierzał zabić, aby się zemścić.

Jeżeli chciał opuścić kraj, to nie powinna liczyć na długie życie. Na pewno miał przy sobie jakiś paszport - mało prawdopodobne, żeby dysponował drugim dla niej, więc zapewne musi zginąć, zanim on wsiądzie do samolotu.

Taksówka zatrzymała się przed terminalem. Monique perswadowała sobie, że powinna być jakaś szansa, że wyjdzie z tego żywa. Chyba nie zamorduje jej na lotnisku pełnym ludzi.

To jej jednak nie uspokoiło. Przecież zamordował swoich rodziców w zatłoczonej restauracji.

Podał taksówkarzowi kilka banknotów i złapał ją mocno za prawą rękę. Ściskając walizkę, przesunęła się za nim po siedzeniu.

- Daj mi swój płaszcz - powiedział, kiedy weszli do hali lotniska.

Podawała mu, a on owinął go sobie wokół ramienia, rozejrzał się i sięgnął pod sweter. Potem, cofając rękę, nonszalancko zakrył ją połą płaszcz - jednak nie na tyle nonszalancko, żeby Monique nie zorientowała się, co trzyma w dłoni. Jej gardło stało się tak suche, że nie wydusiłaby z siebie słowa.

- Jak masz na imię? - zapytał.

Spojrzała na niego, czując w głowie gonitwę myśli. Myliła się, nie rozpoznała jej.

- Anne - powiedziała w końcu. Mała iskierka nadziei błysnęła w ciemności. Jeżeli nie wiedział, kim ona jest, mogło nie być tak źle, jak sądziła.

- Dobra, Anne, przez następne kilka minut będziesz nazywać się Mary Carson z Silver Bay w Minnesocie. Mam twoje prawo jazdy i kartę kredytową. Pójdziemy do wypożyczalni samochodów. Jeden jest zarezerwowany na twoje nowe nazwisko.

O Boże. Nie miał zamiaru opuścić kraju. Mógł więc przetrzymać ją tak długo, jak zechce.

Wyciągnął dokumenty i długopis ze swojej sportowej torby i podał jej. Podpisała je trzęsącą się ręką, zastanawiając się, co robić dalej. Jeżeli porwał ją tylko po to, żeby pomogła mu wynająć samochód, to może potem...

- Dobrze - powiedział, kiedy skończyła. - Jak będziesz rozmawiała z tym facetem, pamiętaj, że stoję za tobą, więc nie rób żadnych głupot.

Wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Jeżeli to dla ciebie zrobię, puścisz mnie?

- Tak, ale nie tam, gdzie będziesz mogła od razu pobiec do telefonu.

- A jeżeli obiecuję?

- To nie wystarczy. Musisz niestety spędzić ze mną trochę czasu.

Popchnął ją lekko, ale pomimo strachu nie ruszyła się z miejsca. Trochę czasu to wystarczająco dużo, żeby zorientował się w końcu, kim ona jest. Potem na pewno ją zabije. Więc skoro i tak miała zginąć, to po co współpracować z mordercą?

Wystarczyło mu zaledwie kilku sekund, aby przekonać ją do zmiany zdania. Przysunął się bliżej i pokazał pistolet. Zadziałało na tyle, że poszła z nim bez słowa.

Udało jej się załatwić formalności i nawet zdołała się uśmiechnąć, kiedy chłopak z wypożyczalni poinformował ją, że zarezerwowany chevrolet caprice jest „całkowicie, absolutnie nowy”.

Kiedy już podpisała się jako Mary Carson w trzech miejscach, chłopak podał jej kluczyki i wskazał, gdzie znajduje się parking.

- Chodźmy - powiedział Ben.

Ruszyła posłusznie, postanawiając nie tracić nadziei. Potrzebowała tylko okazji, żeby uciec. Powtarzała po cichu te słowa jak mantrę - dopóki nie dotarli do niebieskiego caprice.

Nie spuszczać z niej oka, Ben otworzył bagażnik, wrzucił do niego swoją sportową torbę i jej płaszcz. Gestem nakazał jej zrobić to samo z walizką. Potem otworzył drzwi od strony kierowcy, wsunął pistolet za pasek spodni i rzucił:

- Dobra, wsiadaj.

Prześliznęła się pod kierownicą na siedzenie pasażera, cały czas przyglądając mu się kątem oka.

Wsiadł za nią, po czym odwrócił głowę w stronę drzwi, by je zamknąć.

Wykorzystała ten moment nieuwagi i zanurkowała w stronę własnych drzwi. Złapał ją w chwili, kiedy zdołała chwycić klamkę - jedną ręką przytrzymał jej ramię, drugą włosy. Szarpnął ją do tyłu. W tym momencie jej okulary spadły, a peruka została mu w dłoni.

- Co u... - mruknął.

Chwilę potem złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą w swoim kierunku.

- Zdejmij to - rzucił.

Zdrętwiała ze strachu, ściągnęła nylonowy czepek zabezpieczający włosy. Kiedy opadły swobodnie, oczy Bena DeCarlo stały się zimne jak lód.

Rzucił perukę na tylnie siedzenie.

- Cholera! Nie mogę w to uwierzyć. Ze wszystkich kobiet świata musiałem porwać akurat Monique LaRoquette. Głównego świadka oskarżenia.

Ben zmierzał na południowy zachód od Nowego Orleanu, autostradą numer 90, w samo serce bagien. Jedną rękę opierał na kierownicy, a w drugiej trzymał wycelowany w Monique LaRoquette pistolet. Wciąż jeszcze nie wiedział, co z nią zrobi, ale na pewno nie mógł puścić jej wolno.

A jeżeli obiecuję, że nie pobiegnę do telefonu? - zapytała na lotnisku. Puścisz mnie wtedy?

Potrząsnął głową, przypominając sobie, że właściwie chciał to zrobić. Nie na lotnisku oczywiście. Miał jednak zamiar pojechać na wschód, zostawić ją gdzieś na pustkowiu, po czym wrócić inną drogą i udać się w przeciwnym kierunku. Nie byłoby to idealne rozwiązanie, ale tu nie było idealnych rozwiązań. Przynajmniej by się jej pozbył.

Skoro jednak wiedziała, kim jest, w żadnym wypadku nie mógł puścić tej kobiety.

Nie rozmawiali ze sobą zbyt dużo od chwili, kiedy znaleźli się w samochodzie, ale zdołał dowiedzieć się, że przyjechała do Nowego Orleanu tylko dlatego, by usłyszeć wyrok na własne uszy. Jak bardzo musiała nim gardzić!

Była przekonana, że widziała, jak morduje swoich rodziców. To wystarczający powód, żeby się nim brzydzić. To znaczyło również, że wypuszczenie jej byłoby aktem szaleństwa. Zrobiłaby wszystko, żeby gliniarze go złapali. To jej „A jeżeli obiecuję, że nie pobiegnę do telefonu?” nie było warte funta kłaków.



Zerkając na odległościomierz, stwierdził, że przejechali ponad osiemdziesiąt kilometrów, co oznaczało, że Houma była już niedaleko. Kiedy zmienią samochód, poczuje się znacznie bezpieczniej.

Spojrzał w bok, na Monique. Siedziała spięta, patrząc prosto przed siebie.

- Włącz radio - powiedział. - Znajdź wiadomości. Nie odwracając się w jego stronę, wcisnęła odpowiedni guzik.

- Wciąż nie ma śladów skazanego za morderstwo Bena DeCarlo - usłyszeli głos spikera - który uciekł z głównego gmachu sądu około 11:45, dziś rano. Policja urządziła w mieście największą w historii obławę.

Naczelnik policji Royce Monk poprosił obywateli o współpracę i wyznaczył nagrodę za informację prowadzącą do schwytania przestępcy. Uruchomiono specjalną linię telefoniczną. Ktokolwiek posiada informacje na temat DeCarlo albo jego trzech współników, którzy pomogli mu uciec, proszony jest o telefon pod numer 555 - 4868.

DeCarlo to mężczyzna rasy białej, w wieku trzydziestu czterech lat, około metra osiemdziesięciu wzrostu i wadze około osiemdziesięciu kilogramów. Ma niebieskie oczy i brązowe, rozjaśnione słońcem włosy. Kiedy wyprowadzano go z sali sądowej, miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i szary krawat, a na nogach czarne buty.

W czasie ucieczki nikt nie został ranny, ale naczelnik Monk ostrzega, że DeCarlo jest niezwykle niebezpieczny i bez wątpienia uzbrojony. Ktokolwiek go zauważy, powinien trzymać się z daleka i zawiadomić policję. Podaję jeszcze raz numer gorącej linii: 555 - 4868

To było specjalne wydanie wiadomości. Będziemy informować naszych słuchaczy o dalszym rozwoju sytuacji.

- Wyłącz to - powiedział Ben. Monique pochyliła się i wyłączyła radio.

- Nikt nawet nie wie, że jestem z tobą - powiedziała pod nosem.

- Nie. Wszyscy szukają samotnego mężczyzny.

Nie mówili też nic o poszukiwaniach poza granicami miasta. To sprawiło, że mógł odetchnąć swobodniej. Jeżeli w Houma wszystko pójdzie według planu, uda mu się uciec.

- Nikt nie będzie mnie szukał - szepnęła Monique. - Minie kilka dni, zanim ktoś zorientuje się, że zniknęłam.

Spojrzał na nią - jej brązowe oczy lśniły od łez.

- A zanim... ktokolwiek nawet pomyśli, żeby zacząć mnie szukać - dodała cicho - ty już mnie dawno zabijesz.

Przez chwilę milczał.

- Nie, jeżeli mnie do tego nie zmusisz.

Wracając spojrzeniem na drogę, zdał sobie sprawę, że jego własne słowa zaskoczyły go. A może po prostu zaskoczył go fakt, że naprawdę tak myślał.

Kiedyś, nie tak dawno temu, chciał ją zabić. Po pierwszym procesie, siedząc w swojej celi, chciał zabić wszystkich pięciu świadków zeznających przeciwko niemu.

Miał jednak dwa lata na spokojne przemyślenia i pogodzenie się z faktem, że każdy z tych świadków po prostu wierzył w to, co mówił. Byli pewni, że to właśnie jego widzieli wtedy w „Augustine's”.

Więc przestał nienawidzić Monique. W tej chwili było mu jej żal. Najwyraźniej była przekonana, że ją zabije.

Znów na nią spojrzał. Przerazona czy nie - była wyjątkowo piękną kobietą. Widział to od samego początku - nawet wtedy, kiedy nienawidził jej, słuchając obciążających go zeznań.

Monique LaRoquette była kobietą, o jakiej marzyli wszyscy w Angola. Idealnie owalna twarz, kremowa skóra, wysokie kości policzkowe i długie złote włosy, gęste i lśniące.

Nie podobało mu się tylko, że była trochę za chuda. Ale to typowe dla modelek.

Ostatnio nigdzie się nie pokazywała, uświadomił sobie.

Jeżeli była objęta programem ochrony świadków, nie mogła wykonywać zawodu modelki. Musiała zniknąć z życia publicznego.

Usiłował przestać myśleć o jej przerażeniu, ale po minucie czy dwóch znów odwrócił głowę w jej stronę.

- Naprawdę nie zamierzam cię skrzywdzić. Dopóki będziesz robiła to, co ci powiem.

Rzuciła mu przelotne spojrzenie. Z wyrazu jej twarzy mógł wyczytać, że wciąż mu nie wierzy. Zmartwiło go to. Mogła znów próbować uciec, kiedy zatrzymają się w Houma. Albo urządzić scenę, żeby ściągnąć uwagę ludzi.

Co on wtedy zrobi? Zastrzeli ją? Zostanie mordercą i to, w co wierzy cały świat, stanie się prawdą? Żałował, że w ogóle zabrał ją sprzed tego sądu, Postanowił spróbować jeszcze raz przekonać ją, że nic jej nie grozi.

- Słuchaj... Monique, nie zabrałem cię ze sobą po to, żeby cię zabić. Musiałem po prostu mieć ze sobą kobietę.

- A ja akurat byłem tą szczęściarą, którą wybrałeś. Zaklął pod nosem. Mogła darować sobie ten sarkazm, chciał ją tylko pocieszyć.

- Uwierz mi, nie jestem zachwycony, że trafiłem akurat na ciebie. Ale nie mogę cię teraz wypuścić. Wiesz już zbyt dużo.

- Nic nie wiem. Nawet...

- Wiesz, że wyjechałem z miasta, że gliny tracą czas, urządzając tam poszukiwania. Wiesz, w jakim kierunku jadę. Więc teraz cię nie wypuszczę. Koniec dyskusji. Ale to nie znaczy wcale, że chcę cię skrzywdzić.

Ponownie wbijając wzrok w drogę, Ben dał sobie w myśli potężnego kopniaka. Rozmowy w tym stylu nie były najlepszym sposobem przekonania jej, że nic jej nie grozi.

Wjechali do Houmy, przejechali przez most na William Avenue i skręcili w boczną uliczkę. Ben zwolnił i zatrzymał się dopiero, kiedy zauważył czarnego bronco. Na jego widok poczuł ulgę. Nawet gdyby policja wpadła jakoś na ślad niebieskiego caprice, teraz będą szukać niewłaściwego samochodu.

Zaparkował, wsunął pistolet za pasek spodni i wziął Monique za rękę.

- Chodź, zmieniamy samochód.

Rzuciła szybkie spojrzenie na zewnątrz. Ben dokładnie wiedział, o czym pomyślała.

- Nawet nie próbuj - powiedział. - Jeżeli zrobisz coś głupiego, zabiję cię.

- Nigdy jeszcze nie jechałam takim autem - powiedziała Monique, kiedy już zostawili Houma za sobą. - Muszę przyznać, że dobrze trzyma się drogi. Jak to się nazywa - van, półciężarówka, czy jakoś inaczej? - Pytanie było dość głupie, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

Kiedy Ben spojrzał na nią, wyraźnie zaskoczony, spróbowała się uśmiechnąć. Niestety, nie do końca jej się udało. Przecież prowadził

auto, trzymając wymierzony w nią pistolet. Jednak uznała, że powinna teraz ukryć swój strach.

Nie najgorzej jak na początek, zważywszy na to, że w środku cała trzęsa się z przerażenia i nienawidziła go z całego serca. Najważniejsze to przekonać go, że naprawdę wierzy w jego bajki o wypuszczeniu jej wolno. Jeżeli stanie się mniej czujny, to może uda jej się uciec.

- Możesz go uznać za samochód terenowy - odpowiedział w końcu. - Chociaż niektórzy nazywają go ciężarówką.

- Ach. No cóż, w każdym razie jest fajny i... sportowy. Rzucił jej kolejne niepewne spojrzenie. Na pewno nie spodziewał się towarzyskiej pogawędki.

Musiała być uprzejma. I sympatyczna, jeśli zdoła. To był najlepszy plan.

Nie wiadomo czemu przyszedł jej do głowy tak zwany syndrom sztokholmski - polegający na tym, że zakładnicy wiązali się emocjonalnie ze swoimi porwaczami. Pomyślała, że może istnieć podobny syndrom, tyle że działający odwrotnie - porwacz zaczyna lubić swoją ofiarę.

Jednak Ben raczej jej nie polubi. Biorąc pod uwagę fakt, że przyczyniła się do skazania go za morderstwo... Mimo wszystko warto spróbować.

- Gdzie dokładnie jesteśmy? - zapytała. - Mówiłeś, że wiem, w którą stronę jedziemy, ale tak naprawdę nie mam pojęcia. Byłam zbyt przerażona, by się tym zajmować.

Ben nie spuszczał oczu z drogi, próbując podjąć decyzję, czy grać z Monique w jej grę, czy nie. Nie była najlepszą aktorką, więc od razu zorientował się, o co jej chodzi. Jednak podziwiał ją za odwagę. Człowiek, którego uważała za bezwzględnego mordercę, porwał ją, a ona usiłuje gawędzić z nim, jakby właśnie siedzieli zrelaksowani nad miętowymi drinkami.

Jednak trzeba było czegoś więcej niż swobodna rozmowa, aby osłabić jego czujność. Musiał pamiętać, że dziewczyna ucieknie przy pierwszej lepszej okazji i pobiegnie prosto na policję.

A co tam. Podjęcie gry w niczym mu nie zaszkodzi. Czuł się już teraz w miarę bezpieczny, więc czemu nie?

- Nie ma powodu, żebym nie mógł powiedzieć ci, gdzie jesteśmy. - Spojrzał na nią. - Na południowy zachód od Nowego

Orleanu, w Terrebonne Parish. Jadąc dalej w tym kierunku, dotarlibyśmy w końcu do Zatoki Meksykańskiej.

- Ale nie jedziemy aż tak daleko?

- Nie, zatrzymamy się trochę bardziej na północ. Ale to będzie prawdziwe odludzie.

- Prawdziwe odludzie - powtórzyła. - Masz na myśli bagna, jak w Okefenokee w Georgii?

Uśmiechnął się lekko, zdając sobie sprawę, że czuje się zdecydowanie spokojniejszy.

- Wydaje mi się, że nie sposób tego porównać - powiedział. - Okefenokee ma zaledwie około sześćdziesięciu kilometrów szerokości, podczas gdy całe wybrzeże Luizjany jest pokryte bagnami i trzęsawiskami.

- A jak długie jest to wybrzeże?

- Hm... licząc ze wszystkimi zakolami, sądzę, że może mieć około dwóch tysięcy kilometrów.

Ta informacja wyraźnie ją zasmuciła, ale to nawet lepiej. Niech wie, że próbując uciec po przyjeździe na miejsce, może skończyć jako kolacja jakiegoś aligatora.

Przez kilka następnych kilometrów jechali, nie odzywając się do siebie.

- Ben? - Monique przerwała ciszę. - Teraz, kiedy już udało ci się uciec, co zamierzasz zrobić?

- Na bagnach stoi chata, która kiedyś należała do pewnego pustelnika. Prawie nikt o niej nie wie, więc tam się ukryjemy.

Po jego odpowiedzi znów zapadła cisza.

- A potem? - zapytała w końcu. - Nie chcesz chyba ukrywać się na bagnach miesiącami?

- Zostaniemy tam tyle, ile będzie trzeba.

- Co masz na myśli? Chcesz tam siedzieć, dopóki nie przestaną cię szukać?

- Coś w tym rodzaju.

- A kiedy już przestaną? Wziął głęboki wdech.

- Kiedy już przestaną, mam zamiar dowiedzieć się, kto naprawdę zamordował moich rodziców.

Monique była tak zatopiona w myślach, że nawet nie zauważyła, kiedy zjechali z utwardzonej nawierzchni na zakurzoną pustą drogę, która już od dawna nie widziała żadnego samochodu.

To były prawdziwe bagna, tak jak zapowiadał Ben. Jechali wzdłuż rzeki, nad której brzegiem pochylały się wierzby i cyprysy, udekorowane ciężkimi zasłonami zwisającego mchu. Kiedy tak oddalali się od cywilizacji, poczuła powracający strach.

Wydawało jej się, że uprowadzenie przez mordercę to najgorsze, co może ją spotkać. Jednak rola zakładniczki w opuszczonej chacie gdzieś na bagnach zdecydowanie bardziej ją przerażała.

Po ostatnich słowach Bena zamilkli obydwój. Monique czytała wiele o psychopatach i sporo się dowiedziała. To ludzie bardzo inteligentni, ale pozbawieni sumienia. W większości są wyjątkowo utalentowanymi kłamcami, co wyjaśnia, dlaczego tak często udaje się im uniknąć sprawiedliwości.

Choć tak dużo na ten temat czytała, nigdy nie była w stanie zrozumieć ich sposobu myślenia. Ben to najlepszy przykład.

Wiedział przecież, że Monique na własne oczy widziała, jak morduje swoich rodziców. Więc dlaczego próbował udawać niewinnego?

Wyglądając przez okno i wpatrując się w otaczające ich trzęsawiska, Monique pożałowała, że wdała się w rozważania o psychopatach. Teraz nurtowała ją tylko jedna myśl - co zrobi Ben, kiedy już dotrą do tej chaty na pustkowiu.

- Monique?

- Tak? - Odwróciła głowę i stwierdziła, że Ben przygląda się jej. Po chwili powrócił spojrzeniem na drogę.

- Tak? - powtórzyła po chwili.

- Słuchaj... Nie oczekuję, że mi uwierzysz, ale naprawdę nie zabiłem swoich rodziców.

Czyżby oczekiwał zapewnienia, że mu wierzy? To niedorzeczne, była przecież naocznym świadkiem.

- Już to mówiłeś - powiedziała w końcu.

- Mówiłem, ale powtarzam, bo zabójca to ktoś bardzo do mnie podobny. Dlatego w sądzie wszyscy zidentyfikowaliście mnie jako mordercę. A ja nie byłem tego dnia w „Augustine's”. I nikogo nigdy nie zabiłem.

Przyglądała się przez chwilę jego rzeźbionemu profilowi, po czym odwróciła głowę. To była linia jego obrony. Ucharakteryzowany na niego zabójca.

Poza tym miał doskonałe alibi. Jego siostra, Maria, przysięgała, że w tym czasie jedli razem lunch w jej mieszkaniu.

Media nazywały ją „wzruszającym świadkiem”. Niektórzy znajdujący się na sali sądowej ludzie płakali, kiedy opowiadała, jak wspólnie z Benem planowali rocznicowe przyjęcie dla rodziców dokładnie w chwili, kiedy ci zostali zastrzeleni.

Ława przysięgłych postanowiła jednak dać wiarę prawdzie, a nie słowom Marii.

- Śledziłaś ten drugi proces od samego początku, prawda? Powiedz...

Monique spojrzała na niego.

- Musiałaś się nim bardzo interesować, skoro przyjechałaś na ogłoszenie wyroku.

- Docierały do mnie jedynie fragmenty informacji - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. Lepiej nie przyznawać się, że przyglądała się procesowi z wielką uwagą. Nie chciała wyrażać swoich opinii. Na wszelki wypadek.

- Słyszałaś o naszym głównym świadku, Sandorze Rossim? Odmówił zeznań.

- Tak... wydaje mi się, że słyszałam to nazwisko, ale nie pamiętam żadnych szczegółów.

- Nie? No cóż, właśnie to, co powiedział Rossi, pozwoliło moim prawnikom na wszczęcie ponownego postępowania. Powiedział, że wie, kto stoi za morderstwem mojego ojca i kto mnie w to wrobił.

Kiedy znów na nią spojrział, Monique pokiwała głową, dając mu do zrozumienia, że słucha. Zauważyła, że powiedział „ojciec”, a nie „rodzice”.

Zasadniczy punkt obrony stanowił fakt, że Ben był bardzo związany z matką. Gdyby to on strzelał, na pewno jej by nie zamordował.

Bethany DeCarlo znalazła się po prostu w złym miejscu i w złym czasie, twierdzili. Tylko dlatego człowiek wyglądający jak Ben, któremu zapłacono za zabicie Antonia, zastrzelił również ją.

- W każdym razie - dodał Ben - z faktów podanych przez Rossiego wynikało, że zna prawdę.

- Aha - powiedziała powoli, myśląc, że ta rozmowa jest co najmniej dziwaczna. Bena uznano winnym dwa razy. Czy naprawdę

uważał, że uda mu się przekonać świadka oskarżenia o swojej niewinności?

Jego spojrzenie świadczyło, że oczekiwał czegoś więcej niż tylko „aha”. Postanowiła udawać, że słowa Bena ją przekonują.

- Dlaczego więc - zapytała - ten Sandor Rossi nie zeznawał na twoim pierwszym procesie?

- Powiedział, że był zbyt przerażony, aby mówić. Ale jestem pewien, że to tylko część prawdy. Prawdopodobnie zapłacono mu za milczenie.

- Więc dlaczego odezwał się dwa lata później?

- Jak powiedział moim prawnikom, dlatego, że zna mojego wujka. Pracował dla niego kilka razy i wiedział, że mój wujek uważa całą tę sprawę za cios wymierzony w dobre imię rodziny.

- Twój wujek Dominick? - wyrwało się jej, nim zdążyła się zorientować, że nie powinna zadać tego pytania.

Ben spojrzał na nią kątem oka, a ona poczuła przyływ lodowatego strachu.

- Skąd znasz jego imię?

- Ja... chyba usłyszałam w wiadomościach.

- Pewnie w jednej z tych historii o Mafii Południa - mruknął pod nosem. - Jak to mój ojciec był głową przestępczego światka, a teraz jego miejsce zajął wuj Dominick. A ja oczywiście też do nich należę.

Na ten temat nie chciała z nim rozmawiać.

- Nie skończyłeś opowiadać o Sandorze Rossini - zaczęła szybko.

- Sposób, w jaki opowiadałeś... co mówił twoim prawnikom... Że robi to ze względu na znajomość z twoim wujkiem. Nie wierzysz mi?

- Nie. Podjął współpracę z moimi prawnikami, bo ktoś sprawił, że zaczęło mu się to opłacać.

- Sądzisz, że ktoś znowu mu zapłacił? Tym razem po to, żeby powiedział, co wie?

- Uhm.

- Kto to był?

Ben lekko wzruszył ramionami.

- Ale przecież musisz wiedzieć, kto mu zapłacił. Przecież pomagał ci, więc musisz... - Ugryzła się w język, zdając sobie sprawę, że wkracza na niebezpieczny teren.



- Niestety, nie mam pojęcia. Pytałem prawników, ale powiedzieli, że nikt. Według ich wersji Rossiego po prostu ruszyło sumienie.

- A czy ten człowiek ma sumienie?

- Ten człowiek obrabowałby własną matkę.

- Aha - mruknęła. Więc Sandor Rossi zgodził się zeznawać tylko dlatego, że ktoś mu zapłacił. A potem zmienił zdanie.

Czy to znaczyło, że wziął pieniądze, nie mając zamiaru zeznawać? A może kiedy już mu zapłacono, ktoś inny przekonał go, że pomaganie Benowi nie jest mądrym posunięciem?

Wyglądając przez okno, zastanawiała się, kto przekupił Rossiego. Albo kto spreparował historyjkę, którą miał opowiedzieć.

Wujek Dominick? Hm, mało prawdopodobne. Z tego co słyszała, Dominick DeCarlo był przekonany o winie Bena.

Więc może jeden z prawników? Wśród obrońców Bena też działy się dziwne rzeczy. Przewodził im niepokonany Ezra Dean Slaughter, najlepszy adwokat w Nowym Orleanie. Ale w połowie procesu nagłe wycofał się ze sprawy - albo został zmuszony do tego przez władze, nie była pewna.

Nie mogła też wykluczyć, że sam Ben bądź jego siostra za tym stoją. W końcu to ona popełniła krzywoprzysięstwo, zeznając, że brat był z nią w czasie morderstwa. Mogła równie dobrze posunąć się do przekupstwa, aby zapewnić bratu drugi proces.

Przez chwilę Monique zastanawiała się, czy zrobiłaby to samo dla swojego brata.

Nie, jeżeli zamordowałby rodziców, zdecydowała, czując przechodzące ją ciarki.

Ale może Maria naprawdę wierzyła w niewinność Bena. Może przekonał ją, że w „Augustine's” strzelał jego sobowtór. W ten sposób nie musiała stawiać czoła okropnej prawdzie.

Monique spojrzała na Bena, ciekawa szczegółów na temat historii, z której Sandor Rossi w końcu się wycofał. Obawiała się wprawdzie zadawać zbyt wiele pytań, ale skoro Ben sam zaczął mówić...

- Kto, według Rossiego, tak paskudnie cię zrobił? - zapytała w końcu.

- Tego nie powiedział. W każdym razie nie wyraźnie. Nazywał tego człowieka Nosem - zresztą podobno sam wymyślił to

przezwisko. I zdaje się, że mówił prawdę, bo moi prawnicy starali się jak najdokładniej sprawdzić jego zeznania. Pseudonim Nos nie nikomu nie mówił. W każdym razie Rossi obiecał, że prawdziwe nazwisko tego człowieka poda w sądzie.

- Ale tego nie zrobił.

- Nie. Ktoś najwyraźniej musiał go przekonać. W sądzie powiedział, że o niczym nie wie. Co gorsza, insynuował, że moi prawnicy chcieli zmusić go do mówienia. To przekreśliło wszystkie moje szanse. No i wycofanie się Ezry Deana Slaughtera w samym środku procesu.

Zamilkł. Monique oparta się o swoje siedzenie, bo nagie zauważyła, że zaintrygowana opowiadaniem Bena, zbyt się ku niemu pochyla. Mówił tak przekonująco. Gdyby nie znała prawdy, pewnie by mu uwierzyła.

Nie da się nabrać. Psychopaci mieli wyjątkowy talent do przekonywania ludzi.

Ale nawet najlepszy charakteryzator Hollywood nie zdołałby upodobnić kogoś do Bena DeCarlo tak, żeby zwieść aż pięciu ludzi znajdujących się w miejscu tragicznego wydarzenia.

Nagle jakiś obraz wyplłynął z jej podświadomości. To, co widziała wcześniej dzisiejszego dnia. Na ulicy przed gmachem sądu. Poczwała, jak włosy na głowie stają jej dęba.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wtorek, 4 lutego 14:52

Monique siedziała, wpatrując się niewidzącymi oczami w Bena. Obraz tego, co widziała rano, stawał się coraz bardziej wyrazisty, aż w końcu miała wrażenie, że ponownie przeżywa chwile przed gmachem sądu.

Rozejrzała się w poszukiwaniu wolnej taksówki i jej serce zamarło, kiedy zobaczyła Bena DeCarlo.

Ale to przecież niemożliwe. DeCarlo był ubrany w garnitur, a nie w dżinsy i sweter.

Nagle, kiedy wpatrywała się w niego, szukając różnic, prawdziwy Ben DeCarlo położył rękę na jej ramieniu.

I wtedy zaczął się jej koszmar porwania, dlatego zapomniała o wszystkim.

Teraz jednak przypomniawszy sobie o tym drugim człowieku. Zadrżała. Stał tylko kilkadziesiąt metrów od niej. Była pewna, że to Ben.

Jej serce zabiło szybciej, bo uświadomiła sobie, że w sali sądowej stół obrony stał co najmniej trzydzieści metrów od miejsca, gdzie zeznawali świadkowie. I stamtąd właśnie identyfikowali Bena jako mordercę Antonia i Bethany DeCarlo.

W restauracji widziała Bena z odległości mniejszej niż trzydzieści metrów. Chociaż, pomieszczenie było tak ciemne...

Widok ulicy przed sądem zamazał się i zmienił w obraz sali w „Augustine's”. Po raz kolejny przed jej oczami rozegrała się tamta straszna scena.

Kiedy usłyszała kobiecy głos mówiący: „O proszę, przecież to Ben”, rozejrzała się i zobaczyła parę starszych ludzi siedzących przy stoliku w rogu.

Przyglądała im się. Mężczyzna uniósł się na krześle i zaczął coś mówić. Potem kobieta coś dodała. Ale słowa zamarły jej na ustach i wyraz twarzy stał się niepewny.

Dlaczego?

Do tej pory Monique sądziła, że to widoczna na twarzy Bena wściekłość spowodowała taką reakcję jego matki. Albo to, że trzymał w ręku pistolet.

A może Bethany DeCarlo wyglądała na zdziwioną, bo stwierdziła, że człowiek, który wygląda jak jej syn, tak naprawdę nim nie jest?

Nie! To niemożliwe. Pięciu ludzi nie mogło się tak strasznie pomylić, nie mogło zidentyfikować niewłaściwego człowieka i wysłać go do więzienia. Ale jak wyjaśnić to, co widziała dziś na ulicy?

Nie wiedziała. A może po prostu wyobraźnia płatała jej figle?

Wszystkie myśli i uczucia Monique zaangażowane były w ten proces, więc kiedy wyszła z sądu i zobaczyła kogoś, kto przypominał Bena, spanikowała.

Tak, to prawdopodobne wyjaśnienie. Bardziej prawdopodobne niż istnienie sobowtóra Bena DeCarlo.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona. Pograżona w myślach, nie zauważyła, że się zatrzymali. Wyjrzała na zewnątrz i stwierdziła, że dawno już zostawili za sobą zakurzoną drogę.

Ben zaparkował samochód w kępie pochylonych nad wodą płaczących wierzb, obok których rosły olbrzymie cyprysy. Brzeg był zarośnięty liliami, a nieco dalej ciemną powierzchnię wody prawie w całości pokrywała rześa.

- Chodźmy - powiedział Ben, otwierając drzwi, - Wyjście wszystkich rzeczy zajmie nam tylko chwilę.

Nie złapał jej za rękę i nie pociągnął za sobą. Nie musiał. Cóż innego mogła zrobić niż pójść za nim? Uciekać przez bagna w butach na wysokich obcasach? Nie mając pojęcia, gdzie dokładnie są?

Nie, Monique nie mogła teraz uciec. Mimo że bała się Bena DeCarlo i nienawidziła go z całego serca, była od niego zależna.

Wysiadła z samochodu i zauważyła, że stał na czymś w rodzaju drewnianych podkładów kolejowych, tylko trochę szerszych. Po chwili zrozumiała, po co je tu ułożono. Grunt był miękki i wilgotny.

- Tędy - powiedział Ben.

Poszli w stronę wody. Monique czuła, jak ziemia zapada się pod jej stopami przy każdym kroku. Kiedy zbliżyli się do brzegu, Ben zatrzymał się i podniósł róg brezentowej płachty w zielono - brązowym kolorze, której wcześniej nie zauważyła. Wtapiała się idealnie w otaczającą roślinność.

- Przydałaby mi się twoja pomoc - powiedział.

Kiedy wspólnymi siłami ściągnęli płachtę na bok, Monique ujrzała małą motorówkę. Zabrali swoje rzeczy z samochodu i załadowali do łódki - wszystko oprócz peruki, którą zostawiła na tylnym siedzeniu. Mało prawdopodobne, żeby jej teraz potrzebowała. Na koniec brezentem z motorówki przykryli samochód tak, że stał się praktycznie niewidoczny.

Kiedy wreszcie zwodowali łódkę i wskoczyli do środka, Monique była kompletnie przemoczona. Jej kostium wyglądał tak, jakby nosiła go codziennie przez ostatnie pięć lat.

Ben uruchomił silnik i odpłynęli. Monique zdjęła mokre buty i owinęła się płaszczem. Wilgotny chłód w powietrzu był równie przenikliwy, jak strach w jej sercu.

Ben miał dobre wyczucie kierunku i mniej więcej pamiętał drogę z czasów, kiedy bywał w chacie. Mimo to posługiwał się także ręcznie narysowaną mapą - te tereny były zwodniczym labiryntem wody, bagien, porośniętych wierzbnymi wyspami i kanałami.

To dlatego właśnie tylu ludzi - poczynając od osiemnastowiecznych piratów aż do współczesnych skazańców, takich jak on - używało ich jako kryjówek. Zgubić się było łatwo. Trudniej znaleźć drogę powrotną.

Do wszystkich diabłów, udało się! Nie mógł w to wprost uwierzyć.

Oczywiście zrobił dopiero pierwszy krok. Ale wolność po długim czasie spędzonym w piekle była wspaniała.

- Ben? - powiedziała Monique.

Spojrzał na nią.

- Wiesz, dokąd płyniemy, prawda?

- Oczywiście.

- Byłeś już kiedyś w tej chacie?

- Uhm.

- Wiele razy?

- Wystarczająco. Już prawie jesteśmy.

- Czyja to chata? To znaczy teraz. Mówiłeś, że należała kiedyś do starego pustelnika.

- Teraz jest moja - skłamał, po czym odwrócił wzrok, żeby uniknąć dalszych pytań. W euforycznym stanie, w jakim się właśnie znajdował, coś mogło mu się niechcący wyrwać. Monique zorientowałaby, że jego ucieczka była bardzo dobrze zorganizowana.

Zaczęłyby coś podejrzewać. Nie mógł przecież dopilnować tego wszystkiego będąc w więzieniu, ktoś więc musiał mu pomagać.

Nie chciał, żeby wiedziała, kto przez cały czas pomagał mu w ucieczce.

Policja prawdopodobnie dotarła już do Marii i Deziego. Jego siostra znajdowała się na pierwszym miejscu listy podejrzanych o pomoc w ucieczce, a człowiek prowadzący jego winiarnię, będący jednocześnie jego najlepszym przyjacielem, znajdował się na tej liście zaraz za nią. Tłumaczenie Monique, że stary pustelnik był wujkiem Deziego i że zostawił chatę siostrzeńcowi, byłoby wyjątkowo głupie.

Skazany morderca nie miał nic do stracenia, ale Maria i Dezi mieli. Kiedy to wszystko się skończy - niezależnie jak - Monique LaRoquette nie będzie mogła podać żadnego nazwiska ani wskazać kogokolwiek palcem. I o to właśnie chodzi.

Dotarli do wąskiego przesmyku prowadzącego do chaty. Kanał był płytki i usiany zatopionymi pniami drzew, więc Ben zwolnił.

- Już prawie jesteśmy - powiedział.

Monique spojrzała na niego, po czym przesiadła się na przód łódki, wypatrując chaty i zastanawiając się, czy tam właśnie zginie.

Na pewno nie będzie w stanie uciec stąd na piechotę. W wodzie widziała węże i wystające ponad powierzchnię grzbiety aligatorów. Ucieczka to zbyt wielkie ryzyko. Nawet gdyby jakimś cudem udało się jej zwieść Bena i uruchomić łódkę, nigdy nie zdołałyby odnaleźć drogi powrotnej. Była bez szans.

Spojrzała ukradkiem na zegarek. Droga z lotniska do Houma zajęła im mniej niż godzinę, potem około pół godziny do miejsca, gdzie zostawili samochód. Jeżeli dodać do tego półgodzinną wycieczkę łodzią, wychodziło, że od Nowego Orleanu dzielą ich tylko dwie godziny podróży. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, równie dobrze mogły to być lata świetlne.

- Tam jest - powiedział Ben. - Na tej porośniętej wierzbami wyspie przed nami.

Kiedy zobaczyła chatę, poczuła, jak węzeł w jej żołądku zacisnął się jeszcze mocniej. Mały domek zbity z grubo ciosanych, podniszczonych czasem bali, z jednym małym okienkiem. Prymitywny to najłagodniejsze słowo, jakie przychodziło jej do głowy.

- Jest zbudowany na palach - stwierdziła, przypominając sobie, że ma udawać miłą.

- Tak. - Skinął głową. - Takie domy to najlepsze rozwiązanie na bagnach. W ten sposób podłoga pozostaje sucha, nawet kiedy poziom wody się podnosi. No i aligatory nie wchodzą do środka.

Spojrzała na niego i wydało jej się, że ujrzała na twarzy mężczyzny ślad uśmiechu.

- Niestety - dodał po chwili - większość węży potrafi się wspinać.

- Nie boję się węży - mruknęła. W tej sytuacji naprawdę trudno udawać uprzejmość.

Ben wyłączył motor i resztę drogi do zniszczonej przystani przebyli siłą rozpędu. Kiedy przywiązywał łódkę, przyjrzała się pomostowi. Brakowało w nim większości desek. Udało im się jednak wyjść z motorówki bez kłopotu i ruszyli w stronę chaty. Gdy dotarli do schodków, Ben zatrzymał się i spojrzał w kierunku kanału, którym przyплыnęli.

- Co się stało? - zapytała.

- Słyszę łódkę - powiedział cicho, stawiając torbę na ziemi.

Obciągnął sweter, upewniając się, że broń jest dobrze ukryta. Serce Monique zaczęło bić dwa razy szybciej. To mogła być łódź policji. A Ben nie podda się bez walki.

Próbowała nie wyobrazać sobie, jak to jest znaleźć się w samym środku strzelaniny. Postawiła swoją walizkę obok torby Bena i z mieszanymi uczuciami utkwiała wzrok w przesmyku. Z jednej strony miała nadzieję, że to policja, a z drugiej - ogarniało ją przerażenie, że tak mogłoby być.

Ich gość okazał się jednak około dwudziestoletnim mężczyzną. Zanim się odezwał, Monique już poczuła przechodzące po plecach ciarki.

Mimo że popołudnie było dosyć chłodne, miał na sobie tylko obcisłe dzinsy, sugestywnie opinające się na lędźwiach. Z boku zwisał przyczepiony do paska duży nóż. Chłopak był doskonale umięśniony i opalony. Jego ciemne włosy zlepione w brudne strąki sięgały mniej więcej do ramion. Miał zdecydowanie nieprzyjazny wyraz twarzy. Najwyraźniej nie zamierzał częstować ich na powitanie whisky z otwartej butelki, którą trzymał w ręku.

Może to i lepiej. Butelka nie miała żadnej naklejki i była tak brudna, że pewnie używał jej już od miesięcy.

Wyłączył motor i rozpędem dopłynął do przystani. Stał na szeroko rozstawionych nogach i przebijał ich spojrzeniem wąskich jak szparki oczu.

- Szukasz kogoś? - zapytał Ben, kiedy łódka delikatnie uderzyła o pomost i zatrzymała się.

- To nie twoje miejsce.

- Teraz jest moje. W czym mogę ci pomóc?

- Nazywam się Duh - wayne - wycedził - ale ludzie mówią na mnie Duch.

Ben ledwo zauważalnie skinął głową.

- Zobaczyłem cię i tę panienkę jakiś kilometr stąd - kontynuował Duch, patrząc na Monique w taki sposób, że nie miała wątpliwości, co miałby ochotę jej zrobić.

Mimowolnie chciała zakryć piersi rękami, ale zmusiła się, żeby stać nieruchomo.

- Tak się zastanawiałem, co tu robicie.

- Aha - powiedział Ben. - No cóż, przyjechaliśmy tutaj, żeby wyrwać się na chwilę z miasta. I spędzić trochę czasu tylko we dwoje - dodał. - Więc jeśli nie chciałeś nic konkretnego...

Duch pociągnął potężny łyk z butelki, po czym pogładził znacząco pochwę swojego noża.

- Chciałem tylko zobaczyć, kim jesteście. Chciałem...

Zamilkł, kiedy Ben obrócił się do niego bokiem i wyciągnął pistolet spod swetra. Stał tak przez chwilę, celując w pobliskie zarośla bambusa, po czym odwrócił się ponownie w stronę Ducha i schował pistolet.

- Przepraszam, że ci przerwałem, Duch - powiedział - ale wydawało mi się, że między bambusami widziałem węża.

Duch spojrzał w stronę zarośli, a potem rzucił Benowi podejrzliwe spojrzenie.

- Musisz być cholernie dobry, jeżeli z tej odległości trafiasz w węża.

- Jest bardzo dobry - powiedziała cicho Monique.

Wtorek, 4 lutego 17:29

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i Monique zaczęła marznąć na schodkach przed chatą, mimo że miała na sobie ciepły sweter i owinęła się płaszczem. Nie była jednak jeszcze gotowa, żeby wejść do środka.



Całe szczęście, że na wszelki wypadek wzięła dzinsy i kilka innych wygodnych ciuszków. Nie przewidziała jednak pobytu w chacie na bagnach, oddalonej o wiele lat świetlnych od „Clarion Hotel”.

Usłyszała jakiś dźwięk i zajrzała do środka. Drzwi były uchylone, ponieważ Ben, jak powiedział, lubił przysłuchiwać się odgłosom bagien. Monique podejrzewała jednak, że tak naprawdę chciał mieć ją cały czas w zasięgu wzroku. Nie zamierzała jednak uciekać.

Odwróciła głowę w stronę zachodzącego słońca i przyglądała się, jak jego okrągły, czerwony dysk maluje niebo na bladopomarańczowy kolor. Na świetlistym tle czernią odcinały się nieruchome kształty martwych cyprysów. Na swój surrealistyczny sposób bagna były nawet piękne. Piękne i przerażające.

Nie tylko węże i aligatory budziły niepokój w jej sercu. Ten włóczęga, który za nimi przypląnął, wystraszył ją śmiertelnie. Gdyby była sama, gdyby nie Ben...

Westchnęła głęboko, przypominając sobie, jak wtedy cieszyła się z jego obecności. Ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej ją to martwiło. Czyżby straciła obiektywny pogląd na sprawę? Czy syndrom sztokholmski i u niej zaczynał się objawiać, wywołując pozytywne emocje wobec porywacza?

Nie, powiedziała do siebie. Nie były to emocje w liczbie mnogiej. To zaledwie jedno, ulotne uczucie wywołane faktem, że w tamtej chwili Ben wydawał się znacznie bardziej normalny i mniej groźny niż Duh - wayne - nazywajcie - mnie - Duch.

Nie zapomniała jednak, że Ben DeCarlo był psychopatycznym mordercą. Nie wierzyła ani przez chwilę, że skoro do tej pory jej nie skrzywdził, to znaczyło, że będzie ją chronił.

Jednak, ku swemu zaskoczeniu, zaczynała wierzyć, że jej nie zabije. Przestrzegła więc samą siebie przed zbytnią ufnością i wpatrzyła się w zapadający mrok, otoczona serenadą żab, pluskiem wody i głosami ptaków.

Kiedy słońce zniknęło już całkowicie za porastającą bagna roślinnością, pozostawiając za sobą jedynie pomarańczowy poblask szybko ustępujący miejsca czerni, Monique wstała i weszła do chaty, zamykając drzwi i odcinając się w ten sposób od wilgotnej nocy.

W piecu trzaskał ogień, wypełniając pomieszczenie zapachem dymu i osuszając wilgotne powietrze chaty.

- Chłodno? - zapytał Ben.

- Trochę.

Na jego twarzy pojawił się półuśmiech. Monique poczuła się dziwnie - porywacz, który uśmiecha się do porwanej? To wydawało się nie na miejscu.

Przyłapała się na tym, że odwzajemnia ten półuśmiech, i pomyślała jednocześnie, iż bycie miłą stało się nagle dużo łatwiejsze.

Ben odwrócił się w stronę małego blatu oddzielającego kuchnię od reszty pokoju i powrócił do czyszczenia ryby, którą złapał na przystani. Monique usiadła i mimowolnie zaczęła mu się przyglądać.

Odkleił sztuczne wąsy i wyglądał teraz bardziej znajomo. Ale inaczej niż wcześniej - na rozprawach zawsze miał na sobie doskonale skrojone garnitury. Teraz, ubrany w dżinsy i sweter, wyglądał bardziej...

Zmusiła się, żeby odwrócić od niego wzrok, ale słowo „męsko” i tak pojawiło się w jej myślach i nie chciało ich opuścić. Nie mogła jednak nic poradzić na to, że Ben był wyjątkowo przystojny.

Starając się nie patrzeć na niego, Monique rozejrzała się po wnętrzu chaty, mimo że wszystko już obejrzała zaraz po przyjeździe. Jediną rzeczą, której wcześniej nie zauważyła, były lampki oliwne, oświetlające teraz pomieszczenie.

Jedna stała na blacie kuchennym, druga na zniszczonej komodzie przy tylnej ścianie chaty. Wzrok dziewczyny powędrował dalej, napotykać leżący na podłodze materac, przykryty świeżą pościelą i kocem. Ciekawiło ją, jak będą spali.

Domyślała się, oczywiście. Ale ta myśl zaniepokoiła ją, więc odwróciła głowę.

Pośrodku umieszczono jeden jedyny mebel - kanapę, którą ktoś kiedyś zbił z ledwo oheblowanych desek i obił skórą. Na podłodze za nią stało radio. Monique wydawało się ono zupełnie nie na miejscu.

- Pewnie jest na baterie - powiedziała, widząc, że Ben przygląda się jej.

- Odbiera tylko krótkie fale.

- A więc można stąd nadać wiadomość? - Jeżeli było jakieś połączenie ze światem i udałoby jej się...

- Myślisz pewnie o krótkofalówce - powiedział, rozwiewając jej nadzieje. - Nie mam przekaźnika. Radio jest tylko po to, żebym wiedział, co się dzieje.

Żeby wiedział, jak przebiegają poszukiwania - to właśnie miał na myśli.

- Chcesz coś zjeść?

- Umieram z głodu - przyznała.

- Przykro mi, że ominął nas lunch. Ale uznałem, że zatrzymywanie się na posiłek nie jest dobrym pomysłem.

- Tak, uciekaliśmy jak Bonnie i Clyde. - Natychmiast pożałowała swoich słów. Zabrzmiały tak, jakby była po jego stronie, a przecież nie to miała na myśli.

Najwyraźniej tak ją zrozumiał, bo uśmiechnął się ponownie - tym razem szerzej. To sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej śmiesznie.

- No dobrze, ryby można już zacząć smażyć - powiedział, rzucając je na skwierczący na patelni tłuszcz. - Może otworzymy jakieś wino? W chłodni jest kilka butelek.

Wino w chłodni. Jedzenie. Ktoś najwyraźniej dobrze zaopatrzył chatę.

I zrobił to dzisiaj, zauważyła, otwierając metalową chłodnię.

Kiedy udało jej się odkorkować wino, Ben już nakładał rybę na talerze, razem z własnoręcznie przyrządzoną sałatką.

Siedząc tak przy stole naprzeciwko niego, Monique nie mogła oprzeć się uczuciu, że ta scena jest wyjątkowo absurdalna. Znajdowała się gdzieś w dziczy i zasiadła do kolacji przygotowanej przez mordercę. Jakby trafiła w środek filmu Felliniego, nie znając scenariusza.

Kiedy wzięła do ust pierwszy kawałek ryby, Ben spojrzał na nią wyczekująco, więc powiedziała mu, że ryba jest doskonała - zresztą zgodnie z prawdą. Potem jedli już w milczeniu.

- Może wzięlibyśmy resztę wina i przenieśli się na kana... - Umilkł nagle i spojrzał na drzwi.

- Co się stało? - zapytała, a jej puls przyspieszył, kiedy zauważyła, że Ben sięga po broń.

- Ktoś jest na zewnątrz - wyszeptał.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wtorek, 4 lutego 18:51

- Ben? To ja - usłyszeli cichy męski głos.

Ben wsunął pistolet z powrotem za pasek. Nie wyglądało na to, żeby się kogoś spodziewał, ale przynajmniej znał tę osobę.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna, trzymający w jednej ręce walizkę, a w drugiej strzelbę. Na oko miał ponad trzydzieści lat, ciemne oczy i włosy, był mniej więcej wzrostu i budowy Bena.

- Chciałem ci to przywieźć sam, bo... - Zauważył Monique i zatrzymał się, rzucając Benowi niepewne pytające spojrzenie.

- Monique LaRoquette - powiedział Ben. Dezi spojrzał na nią ponownie.

- O rany, to ona. Wiedziałem, że skądś ją znam - dodał tak, jakby nie było jej w pokoju. - Ale co ona tu robi?

- Felicia się nie pokazała. Kiedy wyszedłem przed budynek sądu, nie zobaczyłem jej, była za to Monique, więc...

- Okay, rozumiem. - Dezi machnął ręką.

Ben pokiwał głową. Teraz chciał dowiedzieć się, co u licha przygnało tu przyjaciela. Byli pewni, że gliniarze będą obserwować każdy krok Deziego. Jego przybycie do chaty nie było zgodne z planem.

Kiedy Ben zadał mu to pytanie, Dezi rzucił Monique szybkie spojrzenie. Wyraźnie nie chciał przy niej nic mówić. Ale jedynym sposobem, żeby nic nie słyszała, było wysłanie jej na zewnątrz, a Ben nie miał zamiaru tego robić.

Na pewno zdawała sobie sprawę, że ucieczka to szaleństwo, ale mogła też dojść do wniosku, że zgubienie się na bagnach jest mniejszym złem. Nie chciał zostać obwiniony o kolejną śmierć.

Dał Deziemmu znak, żeby podszedł do okna.

- Wolałbym, żeby cię nie widziała - powiedział cicho.

- Teraz na pewno będzie cię mogła zidentyfikować.

- To zmartwienie na później.

- W porządku, postaraj się tylko, żeby nie wiedziała, że Maria też brała w tym udział, dobra?

- Pewnie, sam już na to wpadłem.

- Więc co się dzieje? Gliniarze nie rzucili się jeszcze na was?

- Przyszli wypytywać do „Crescent”. I zostawili kilku na straży. Ale wymknąłem się tylnym wyjściem i zostawiłem swój samochód. Zanim się zorientowali, pewnie bytem już w połowie drogi tutaj. I mam alibi.

- Dobrze - powiedział Ben, trochę spokojniejszy.

- Ale dlaczego tak się skradałeś? Mało brakowało, a bym do ciebie strzelił.

- Zauważyłem kogoś u ujścia kanału. Nie chciałem, żeby ruszył za dźwiękiem motoru, więc wyłączyłem go.

- Chyba wiem, kto to był. Zawitał do nas już wcześniej . Czy przezwisko Duch coś ci mówi?

Dezi zaklął cicho.

- To nasz najbliższy sąsiad. Ma chatę kilka kilometrów stąd. Ale myślałem, że go jeszcze nie ma.

- A gdzie był?

- Och, raz czy dwa razy do roku wybiera się poza bagna, żeby się trochę zabawić. Za każdym razem go na jakiś czas zamykają, w więzieniu albo w zakładzie dla umysłowo chorych. Ma trochę nierówno pod sufitem.

- Cudownie.

Dezi wzruszył ramionami.

- Dobra nowina to taka, że na pewno nikomu nie powie. Lubi tajemnice.

- Wygląda na to, że jeszcze bardziej lubi nóż, który nosi u pasa.

- No cóż... Musisz po prostu na niego uważać.

Ben spojrzał na Monique. Kiedy już przejdzie do drugiej części planu i zostawi ją tutaj...

Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. To była kolejna rzecz, którą będzie się martwił za jakiś czas.

- Więc o co chodzi? Dlaczego tu jesteś? - zapytał, odwracając się z powrotem do Deziego.

- Chciałem się upewnić, czy ci się udało. Maria szalała z niepokoju i...

- Dlaczego? Co się stało?

- Nie słuchałeś radia?

- Nie, od kiedy zostawiliśmy wypożyczony samochód.

- Więc nie słyszałeś, co stało się z Felicią? Ben poczuł suchość w ustach.

- Nie żyje. Gliniarze znaleźli ją na ulicy. Miała podcięte gardło.

- Kiedy?

- Znaleźli ją, szukając ciebie. Ironia losu, co? Ale zamordowano ją poprzedniego dnia.

Ben odwrócił się do okna i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ciemność. Kolejne zabójstwo, a więc ktoś ciągle chciał go dostać.

Najpierw facet, którego Sandor Rossi nazywał Nosem, zaaranżował morderstwo, o które obwiniono Bena; Potem przekonał Rossiego, żeby wycofał się z zeznawania w sądzie. A teraz zamordowano kobietę, która miała mu pomóc w ucieczce.

Ale jak ten ktoś dowiedział się o planie i o udziale Felicii w tym przedsięwzięciu?

Kiedy zapytał o to Deziego, ten tylko potrząsnął głową. Potem wskazał Monique.

- A co z nią? Co zamierzasz?

- Nie wiem. Przede wszystkim nie powinienem był jej porywać. Ale kiedy stałem przed budynkiem sądu i nigdzie nie widziałem Felicii, myślałem tylko o tym, że samochód jest zarezerwowany na kobietę. Gdyby na lotnisku coś poszło nie tak, byłoby po mnie. Tego się bałem.

- Co się stało, to się nie odstanie. Jakoś z tego wybrniemy. Gdy będzie po wszystkim, spróbujemy namówić ją, żeby nie wносиła oskarżenia.

- Tak. - Ben ponownie spojrzał na Monique. - Będziemy musieli to zrobić...

22:17

Monique stała za Benem i patrzyła, jak w słabym świetle księżyca Dezi odpycha łódkę od pomostu. Z całego serca pragnęła odpłynąć razem z nim. Wrócić do cywilizacji i uciec od tego mordercy.

- Dlaczego on nie używa silnika? - zapytała, kiedy łódka prześliznęła się bezszelestnie w dół kanału i zniknęła w ciemności.

- Nie chce zwracać na nas uwagi, jeżeli ktoś byłby niedaleko.

- Masz na myśli Ducha?

Ben nie odpowiedział. Odwrócił się w stronę chaty i zaczął się wspinać po schodkach.

Zdenerwowana, podążyła za nim. Nie miała wyboru, jeżeli nie chciała zostać na zewnątrz z aligatorami i węzami - i z Duchem

prawdopodobnie. Ale wejście do środka przerażało ją niemal tak samo.

Była już pora snu. I mimo że Ben nie dotknął jej od chwili, kiedy tu dotarli, nie sądziła, aby tak zostało.

Aresztowano go w dniu morderstwa, ponad trzy lata temu, i od tego czasu przebywał w areszcie. A skoro w Angola nie pozwalano na intymne wizyty... to na pewno nie był z kobietą już od bardzo dawna.

Dotarli do drzwi. Ben otworzył je i wpuścił ją do środka.

- Poczekam tu, a ty się przebierz.

Trochę zaskoczona, weszła szybko do środka. Przebrała się w koszulę nocną i szlafrok, spoglądając co chwila na materac. Potem, z sercem w gardle, czekała, aż w chacie zjawi się Ben.

- Będziemy musieli spać razem - powiedział od progu.

- Mogę spać na kanapie - zaproponowała. Potrząsnął głową.

- Jest tylko jeden komplet pościeli. A kanapa nie bardzo nadaje się nawet do siedzenia. Zgaś po prostu lampkę i wybierz tę stronę, która bardziej ci odpowiada.

Ben przeszedł przez kuchnię. Stał, patrząc ukradkiem na Monique. Kiedy zgasła płomień stojącej w rogu lampki, położyła się, nie zdejmując szlafroka. Potem podciągnęła kołdrę pod brodę. Przesunęła się na samą krawędź materaca. Wyglądała jak przerażony królik.

Ben zgasił lampkę stojącą na kontuarze i w ciemności zdjął spodnie. Nagle przyszło mu do głowy, aby powiedzieć jej, że to on przeniesie się na kanapę. Ale zrezygnował z tego.

W jego mniemaniu lata spędzone w więzieniu oduczyły go dżentelmeńskich odruchów. Dlatego poczuł się zaskoczony, choć nie miał zamiaru poddać się impulsowi.

W więzieniu praktycznie nie dało się spać. Światła paliły się przez cały czas, a dziwne odgłosy i brzęk stalowych prętów wypełniały każdą noc. Od czasu do czasu rozlegał się także krzyk więźniów zmuszanych do sprawiania przyjemności swoim współtowarzyszom. Po trzech latach, w czasie których nigdy nie udało mu się naprawdę zasnąć, nie był w stanie wyrzec się luksusu wygodnego spania.

Podszedł więc do materaca i położył się ostrożnie, uważając, żeby nie dotknąć Monique. Leżał jednak na tyle blisko, że czuł zapach jej perfum, docierający do każdej komórki jego ciała.

Dopiero po chwili stwierdził, że należało ulec dżentelmeńskiemu odruchowi - nie ze względu na nią, ale ze względu na siebie.

Odetchnął głęboko, chrapliwie. Nie przeniesie się na kanapę. Zostanie tutaj i zaśnie, ignorując obudzone nagle potrzeby ciała.

Dziki zwierzę, prasa często określała go właśnie w taki sposób. No i psychopatyczny morderca - ulubione epitety dziennikarzy. Ale on nie był zwierzęciem, tak samo, jak nie był mordercą. I pomimo upodlenia, jakie powszechnie panowało w więzieniu, pozostało mu na tyle człowieczeństwa, że nigdy nie wzięłby kobiety siłą. Bez względu na to, co myślała Monique, z nim była bezpieczna.

Położył się na boku, plecami do niej, słuchając jej cichego oddechu, czując ciepło jej ciała... i walcząc z chęcią odwrócenia się i przytulenia jej.

Zacisnął pięści. Nie, nie chciał jej przytulić. Choć czuł ogromną potrzebę, nie mógł pragnąć kobiety, która go nienawidziła.

Ale leżała tu obok niego. I była piękna. I minęło już tak dużo czasu...

Odetchnął głęboko. Nie, nie jest zwierzęciem. Potem podniósł dłoń do twarzy i otarł łzy, które nie wiadomo dlaczego potoczyły się po jego policzkach.

Piątek, 7 lutego 6:43

Monique siedziała na schodkach przed chatą, obejmując się ramionami i niewidzącym wzrokiem wpatrując się w mgłę. Ponad linią czarnych uschniętych cyprysów widać było pierwsze różowe promienie wschodzącego słońca.

Usłyszała plusk, oznaczający, że Benowi udało się złowić rybę. Spojrzała na brzeg, gdzie stał, trzymając wędkę. Świt, jak jej powiedział, to najlepsza pora.

Przyglądając się, jak wyciąga rybę, wróciła myślą do wydarzeń ostatnich dni. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy dokładnie przestała się go bać. Nie była pewna. Tak jak nie była już pewna tylu innych rzeczy.

Przypomniała sobie, po raz kolejny, o syndromie sztokholmskim. Ale czy to właśnie on sprawił, że przestała obawiać się Bena? A nawet, chociaż brzmiało to nieprawdopodobnie, zaczęła go lubić?

A może dlatego, że przebywali ze sobą bez przerwy przez ostatnie trzy dni? I przez cały ten czas nie powiedział ani nie zrobił nic, co świadczyłoby, że jest psychopatą i mordercą.



Nie zapominaj, odezwał się wewnętrzny głos, psychopaci są doskonałymi aktorami. Nie zapomniała. Przecież, gdyby nie знаła prawdy...

Patrząc ponad wodą, zaczęła zastanawiać się, czy naprawdę ją znała. Od chwili, kiedy tu przyjechali, miała dużo czasu na myślenie, a im więcej myślała, tym więcej pojawiało się wątpliwości.

A jeśli wersja Bena była prawdziwa? W pewnym momencie zaczęła brać to pod uwagę - coraz trudniej przychodziło jej widzieć w nim wyrachowanego mordercę.

Poza tym niemożliwe, aby tak po prostu wyobraziła sobie tego mężczyznę, wtedy przed sądem. Tego ludzaco podobnego do Bena.

Jeśli wówczas się pomyliła, to jaką miała pewność, że nie pomyliła się, identyfikując Bena jako człowieka, którego widziała w „Augustine's”?

Spojrzała na niego. Musiał być winny. Pięciu naocznych świadków nie mogło źle zidentyfikować mordercy.

Wszystko to nie przestawało dręczyć jej serca.

8:31

Ben stał za kanapą, wpatrując się intensywnie w mały odbiornik i słuchając wiadomości.

- Naczelnik policji, Royce Monk, właśnie zakończył swoje poranne oświadczenie dla prasy w sprawie Bena DeCarlo - powiedział spiker. - Oznajmił, że organizacja Mieszkańcy dla Bezpieczeństwa w Nowym Orleanie również wyznaczyła nagrodę za informację, która pomoże ująć mordercę. Łącznie z nagrodą wyznaczoną przez policję, suma wynosi teraz 100 000 dolarów.

Kiedy Monique spojrzała na niego z kanapy, Ben wzruszył tylko ramionami. Ale nie podobało mu się to, co usłyszał.

Poza Marią i Dezim jeszcze jedna osoba wiedziała, kim jest. Dezi potrzebował świadków, żeby mieć alibi na poniedziałek rano, więc poprosił swojego brata, żeby przyjechał tutaj i zaopatrzył chatę.

To sprawiało, że Ben był bardzo niespokojny. Prawie nie znał Louie'ego. A chociaż Dezi przysięgał, że jego brat nie piśnie ani słowa, 100 000 dolarów było jednak dużą sumą.

- Naczelnik - kontynuował głos w radiu - stwierdził, że mimo wysiłków nowoorleańskiej policji i licznych informacji, wciąż nie można z całą pewnością stwierdzić, gdzie aktualnie przebywa Ben DeCarlo.

Cały czas czynny jest numer naszej gorącej linii. Osoby mogące udzielić informacji na temat Bena DeCarlo, proszone są o kontakt z policją. Naczelnik przyznał jednak, że DeCarlo najprawdopodobniej opuścił Nowy Orlean.

Ben odetchnął głęboko. Właśnie na tę informację czekał.

- We wszystkich zakątkach kraju policja rozpoczęła poszukiwania i naczelnik jest przekonany, że morderca niedługo zostanie ujęty. Wielu dziennikarzy pytało jednak o procedurę ekstradycji, co wskazuje wyraźnie, że wielu z nich wierzy, że Ben DeCarlo aktualnie wygrzewa się na jakiejś plaży w południowej Ameryce.

Dalsze informacje...

Ben wyłączył radio i spojrzał na Monique.

- Wracam do Nowego Orleanu.

- Dzisiaj?

- Tak. Nie znajdę prawdziwego zabójcy, siedząc tutaj. A teraz, kiedy doszli do wniosku, że już mnie tam nie ma, będę bezpieczny.

Czekał, aż powie, że nie chce zostać sama na bagnach. Nie rozmawiali na ten temat, ale oboje wiedzieli, że jeśli Ben weźmie ją ze sobą, ona spróbuje uciec i powiadomić policję. Więc musiał ją tutaj zostawić.

Ku jego zdziwieniu, Monique nie powiedziała słowa na ten temat.

- Ben, dlaczego tam jedziesz? Dlaczego nie wynajmiesz prywatnego detektywa?

- Myślisz, że tego nie zrobiłem? Od momentu aresztowania sprawa była już praktycznie zamknięta. Nie mieli zamiaru szukać dowodów mojej niewinności, więc wynajęliśmy detektywa, potem drugiego. Jednak po trzecim z kolei zrezygnowaliśmy.

- Dlatego, że żaden z nich nic nie znalazł?

- Niezupełnie. Bardziej ze względu na powód, dla którego żaden z nich nic nie znalazł. Wszyscy wycofali się ze sprawy, zanim na dobre się jej podjęli.

- Dlaczego?

- Ktoś się z nimi skontaktował. Tak samo jak z Sandorem Rossim.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Uważasz, że jestem paranoikiem? Pewnie masz rację. Ale tak, wierzę, że ktoś ich wystraszył. Moi prawnicy też w to wierzą.

- Kto mógł to zrobić?

- Ten facet, którego Rossi nazywał Nosem. Facet, który chciał zabić mojego ojca i zrzucić na mnie winę. Facet, którego prawdziwe nazwisko Rossi miał wyjawić w sądzie - dopóki oczywiście nie zmienił zdania.

- Masz zamiar skontaktować się z Rossim, prawda? Spróbujesz go przekonać, żeby powiedział ci, kim jest Nos?

- Bardzo bym chciał, ale niestety Rossi zniknął.

- To znaczy wyjechał z miasta, czy...?

- Nie wiem. Dezi dowiedział się tylko, że zniknął kilka godzin po mojej ucieczce. Mógł zwać, podejrzewając, że będę go szukał. Albo ktoś mógł zostawić go na dnie jeziora Pontchartrain, żeby nie mógł mi nic powiedzieć, nawet jak go znaję.

Monique milczała przez chwilę.

- Więc z kim właściwie chcesz porozmawiać? - zapytała w końcu.

- Mam kilka innych możliwości.

- Ale... Ben, przecież przez ostatni tydzień twoje zdjęcie pojawiała się na pierwszej stronie wszystkich gazet. Myślisz, że możesz ot tak sobie spacerować po Nowym Orleanie i nikt cię nie pozna?

Patrzył na nią zdziwiony. Słyszał przejęcie w jej głosie, ale uznał to za sztuczkę własnej wyobraźni. Fakt; bardzo się starała ukryć swoją nienawiść, ale na pewno nie martwiła się o niego.

- Ja... Ja po prostu jestem realistką - wymamrotała, odwracając wzrok.

- No cóż, nie ty jedna umiesz się przebierać. Wyjdę stąd tak odmieniony, że nawet moi rodzice by mnie nie poznali...

Urwał, czując nagły ucisk w gardle. Cały czas mówili o morderstwie, a jednak wciąż zapominał, że rodziców już nie ma.

Odchrząknął i zmienił szybko temat.

- Przyszło mi do głowy, że w tych wszystkich wiadomościach, których słuchaliśmy, nie było ani słowa o zaginionej kobiecie. Do tej pory ktoś przecież powinien zorientować się, że zniknęłaś.

Wzruszyła lekko ramionami.

- Nie mówiłam nikomu, że jadę do Nowego Orleanu.

I nie sądzę, by informacje o zaginięciu kogoś w Hartford w Connecticut, dotarły aż tutaj. Zresztą i tak nikt tam za mną nie tęskni.

Nie rozwijała tego tematu, jednak Ben wciąż stał obok, czekając, aż powie coś więcej. Nigdy nic o sobie nie mówiła, ale odkrył już, że nie lubi zbyt długich przerw w rozmowie.

- Powiedziała w biurze, że wyjeżdżam w pilnej sprawie rodzinnej - wyjaśniła w końcu. - I nie jestem pewna, kiedy wrócę. W końcu jednak ktoś się zorientuje, że zaginęłam. Ale do tej pory...

Odwróciła wzrok. Jej oczy napęłniły się łzami. Poczuli się jak ostatni śmieć.

Porwanie przez kogoś, kogo uważała za mordercę, musiało być dla niej koszmarem. A teraz najwidoczniej myślała, że zanim Ben pojedzie do Nowego Orleanu, zrobi jej coś strasznego.

Ale do tej pory nie okazywała strachu. To był pierwszy raz, nie licząc samego początku.

Patrząc na nią, nie mógł powstrzymać napływających pytań. Go by się stało, gdyby spotkali się w innych okolicznościach? Gdyby nie czuła do niego takiej niechęci?

Była odważną kobietą i gdyby rzeczy miały się inaczej, mógłby ją nawet...

Ale karty zostały już rozdane. Zastanawianie się nad tym, „co by było, gdyby” nie miało sensu - musiał grać tymi, które miał w ręku.

Spojrzał na nią. Wpatrywała się w podłogę. Mimo że w chacie panowała cisza, był pewien, że płacze. Żałował, że nie może cofnąć czasu. Zostawiłby ją wtedy w spokoju.

W końcu jednak ktoś się zorientuje, że zniknęłam, powiedziała. Czy była tak samotna, że mogłaby zaginąć i nikt by nie zwrócił na to uwagi? Do tej pory nie zastanawiał się, jak wygląda program ochrony świadków. Dla niej musiało to być straszne.

Nie tylko wierzyła, że morderca będzie się chciał na niej zemścić - została również całkowicie odcięta od swojego poprzedniego życia. A on wiedział, co to znaczy stracić wszystko.

Z wahaniem usiadł obok niej na kanapie. Zapach jej perfum przypomniał mu o tęsknocie, którą czuł każdej nocy, leżąc obok niej.

Przebywanie tak blisko, w ciemności, było najwyższą próbą woli i tylko jego uparta natura powstrzymywała go od przeniesienia się na kanapę albo na podłogę.

Dobrze, że teraz wyjeżdżał, bo chociaż zwalczył chęć dotknięcia jej, nie mógł przestać myśleć o tym, jak cudownie byłoby trzymać ją w ramionach.

- Monique? - powiedział, odsuwając od siebie tę myśl.

Nawet na niego nie spojrzała, siedząc wciąż z pochyloną głową. Ben zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć. Siostra zawsze mówiła mu, że rozmowa pomaga, ale nie był pewien, czy będzie tak również w przypadku jego i Monique.

- Program ochrony świadków zrujnował ci życie, prawda? - zaryzykował w końcu.

Spojrzała na niego. Jej policzki były mokre od łez.

- I jak sądzę, nigdy nie mogłaś z nikim o tym porozmawiać? - kontynuował.

- Nie - powiedziała cicho. - Poże... Pożegnałam się z rodziną. Ale od tamtej pory...

- Od tamtej pory musiałaś wszystko utrzymywać w tajemnicy?

Ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową. Odczekał jeszcze chwilę.

- Chciałabyś porozmawiać o tym teraz? - zapytał w końcu.

Potrząsnęła głową, ale słowa i tak wyrwały się same.

- Nagle okazało się, że nie mam nic ani nikogo - mruknęła. - Musiałam zrezygnować z pracy modelki, bo zbyt łatwo można by mnie rozpoznać. A moi rodzice... Mieszkają w Seattle. Zazwyczaj dzwoniłam do nich w każdą niedzielę. Ale potem... Czasami przyłapuję się na tym, że wykręcam ich numer, zanim sobie przypomnę, że mi nie wolno. Moja bratowa była w ciąży, więc mój brat i ona mają dziecko, którego nigdy nie widziałam. Nawet nie wiem, czy to chłopczyk, czy dziewczynka. A mój mąż...

- Mąż? - powtórzył Ben. - Nie wiedziałem, że jesteś zamężna.

- Już nie jestem.

- Ale... Nie był z tobą? To znaczy, kiedy musiałaś wziąć udział w programie ochrony świadków, on nie...

- Nie - szepnęła. - Powiedział, że nie wyprowadzi się z Nowego Jorku. Jest maklerem giełdowym i...

Ben patrzył, jak ocierała łzy z twarzy. Wyszła za jakiegoś łajdaka, dla którego praca była ważniejsza niż ona? Zasługiwała naprawdę na kogoś lepszego.

Pociągnęła kilka razy nosem, a potem żałośnie wzruszyła ramionami, co sprawiło, że miał nieodpartą ochotę objąć ją mocno i przytulić. Jednak w porę się zreflektował. Na pewno nie chciałaby, żeby przytulał ją ktoś, kogo nienawidziła.

- To małżeństwo i tak było pomyłką - powiedziała w końcu. - Nigdy nie miałam pewności, czy to właśnie mój Książę z bajki i okazało się, że nie. Dużą wagę przywiązywał do pozorów. Żona modelka - to mu pochlebiało, dlatego się ze mną ożenił. Takie trofeum. Ale kiedy musiałam wziąć udział w programie ochrony świadków i odejść z zawodu, przestało mu na mnie zależeć.

- Wygląda na to, że jest kompletnym palantem.

- Cóż... Powinnam zauważyć to dużo wcześniej. Ale po wydarzeniach w „Augustine's” nagle stałam się bardzo... świadoma, sądzę, że to dobre słowo, jak dalece niepewne jest życie. Więc kiedy wróciłam do Nowego Jorku, wyjście za niego wydawało się dobrym posunięciem. To nie była moja najlepsza decyzja - dodała, znów wzruszając ramionami.

- Każdy popełnia błędy - Ben nie wiedział, co innego mógłby jej powiedzieć. Potem zmusił się, żeby wstać z kanapy i przejść na drugi koniec pokoju. Wiedział, że jeżeli zostanie blisko niej jeszcze przez chwilę, zrobi coś, co sprawi, że ona znienawidzi go jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Piątek, 7 lutego 9:02

Przyglądając się, jak Ben kończy charakteryzację, Monique doszła do wniosku, że jego wyprawa do Nowego Orleanu nie musi okazać się aż tak ryzykowna.

Z walizki, którą przyniósł Dezi, Ben wyjął wspaniałą męską perukę i okulary w rogowej oprawie. Przy pomocy sztucznych wąsów i ołówka do oczu udało mu się sprawić, że jego kilkudniowy zarost wyglądał bardziej przekonująco.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna go pytać, skoro z góry wiedziała, że odpowiedź będzie negatywna. Z drugiej strony, jeżeli nie spróbuje...

- Ben? - powiedziała w końcu. - Chcę jechać z tobą. Odwrócił się od lustra.

- Wiesz, że nie mogę cię zabrać. Ale tutaj będzie ci dobrze. Umówię się z Dezim, żeby przywiózł więcej zapasów. A kiedy już będzie po wszystkim, przyjadę po ciebie.

Przez jedną straszną chwilę nie mogła z siebie wydusić słowa.

- Ben? - udało się jej w końcu wydobyć z siebie głos.

- Chcesz powiedzieć, że nie wrócisz tu dzisiaj? - Jej głos łamał się.

- Myślałaś, że tak?

- Oczywiście! Myślałam, że jedziesz tylko na jeden dzień!

- Aaa, więc to dlatego nic wcześniej nie mówiłaś.

- Ale musisz wrócić! Nie możesz zostawić mnie samej ! Co będzie, jeśli pojawi się Duch i...

- Gdyby miał wrócić, już by to zrobił.

- Ale...

- Rozglądałem się przez cały czas i nie zauważyłem nawet śladu po nim.

- Może nie kręcił się tutaj w ciągu dnia - powiedziała, usiłując opanować panikę - ale kilka razy budziłam się w nocy, mając wrażenie, że ktoś jest na zewnątrz.

Ben rzucił jej niedowierzające spojrzenie.

- Dlaczego nic o tym nie wspomniałaś?

- Po prostu nie chciałam, żebyś myślał, że boję się ciemności. Ale naprawdę miałam wrażenie, że ktoś tam był. Budziłeś się kiedyś z przerażającym uczuciem, że ktoś na ciebie patrzy?

- Tak, co noc przez ostatnie trzy lata. Ale moim zdaniem nie powinnaś obawiać się Ducha.

- Ja...

- Monique, przykro mi, byłbym jednak szaleńcem, gdybym cię zabrał ze sobą.

- Więc pojedź tylko na jeden dzień i wróć. Nie tylko ze względu na mnie. Jeżeli będziesz próbował ukrywać się w Nowym Orleanie, prędzej czy później ktoś...

- Bardziej ryzykowne wydaje mi się jeżdżenie tam i z powrotem. Przykro mi, po prostu nie możesz ze mną jechać. Jak mam znaleźć zabójcę, jeżeli przez cały czas będę musiał cię pilnować? Wzięła głęboki oddech.

- Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale nie będziesz musiał mnie pilnować. Nie będę próbowała uciekać i nie będę próbowała dzwonić na policję.

Potrząsnął głową, więc zmieniła taktykę.

- Posłuchaj, naprawdę mówię szczerze. Naprawdę nie chcę tutaj zostawać sama. Nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego na temat Ducha. Uważam, że on nas szpieguje. Więc jeżeli mnie zabierzesz, to przysięgam, że...

- Monique, nie mogę ci zaufać.

- Możesz. Ja...

- Nie. Uważasz, że jestem mordercą i nie przekonasz mnie, że nie pójdziesz na policję przy pierwszej okazji.

Zawahała się. Gdy ubierze swoje myśli w słowa i wypowie je na głos, staną się jeszcze bardziej prawdziwe. Ale jeżeli to go przekona.

- Nie uważam, że jesteś mordercą - powiedziała w końcu. - To znaczy... nie jestem już tego pewna.

Ben patrzył na Monique, niemal boleśnie pragnąc, żeby była to prawda. Miliony ludzi widziało w nim wyrachowanego zabójcę i byłoby naprawdę wspaniale, gdyby ktoś taki jak ona wątpił w jego winę. Ale nie mógł w to uwierzyć, tak samo jak w to, że nie zadzwoni po policję.

- Nie zamierzałam ci tego mówić - ciągnęła powoli - i wiem, że prawdopodobnie uznasz to za kłamstwo, ale w ten wtorek, przed sądem, widziałam pewnego mężczyznę. Wpatrywałam się w niego dokładnie w chwili, kiedy do mnie podszedłeś. Był tak do ciebie podobny, że wzięłam go za ciebie.



Patrzyła spokojnie na Bena i mimo że wpatrywał się uważnie w jej oczy, nie znajdował w nich śladu kłamstwa. Ale przecież to niewiarygodne, aby wierzyła w jego niewinność, to niemożliwe. Pewnie chciała w nim wzbudzić zaufanie. A jeśli naprawdę widziała jego sobowtóra...

- Czy bardzo był do mnie podobny? - zapytał w końcu, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Tak. Cały czas o tym myślę i zastanawiam się, czy...

- Czy?

- Czy to on właśnie był prawdziwym zabójcą. Może kręcił się przed sądem, żeby dowiedzieć się od wychodzących z sali ludzi, jaki był wyrok - tak jak piroman obserwujący z ukrycia pożar, który spowodował.

Chociaż Ben powtarzał sobie, że musi zachować ostrożność i nie powinien wierzyć w szczerą Monique, jego serce waliło jak oszalałe.

- Teraz, kiedy ci już o tym powiedziałam, mogę równie dobrze wspomnieć jeszcze o czymś, co mnie niepokoi.

- Słucham - powiedział powoli.

- Podczas pierwszego procesu twoi obrońcy twierdzili, że dowody rzeczowe są śmiechu warte, pamiętasz? Mówili, że policja nigdy nie odnalazła pistoletu, a wszystko wygląda bardzo nieprzekonująco.

- Albo zostało zmyślane - mruknął. Monique pokiwała głową.

- I cały czas odwoływali się do wyników śledztwa, które stwierdzało, że zeznania świadków często mijają się z prawdą; to zresztą było wszystko, co oskarżenie naprawdę miało.

- Ale sędziom to wystarczyło.

- Tak... Głównie z powodu Brently Gleason. Media długi czas rozwodziły się nad tym, jak bardzo przekonującym była świadkiem.

Ben wbił spojrzenie w podłogę, przypominając sobie jej zeznania. Miała wyjątkowy talent do zapamiętywania szczegółów, może dlatego, że była artystką. Odmalowała tak żywy i szczegółowy obraz tego, co się stało, że słuchając jej, poczuł się chory.

- Więc dlaczego nie zeznawała w czasie drugiego procesu? - zapytała Monique.

Zawahał się, nie mając pewności, czy powinien jej powiedzieć o tym artykule w „Times - Pieayune”. Zrezygnował jednak - Monique uznałaby prawdopodobnie, że wszystko sobie wymyślił.

- Nie jestem pewien - powiedział w końcu. - Byliśmy po prostu wdzięczni losowi, że nie zeznawała. Ale to nie zmieniło werdyktu. Sandor Rossi tego dopilnował. Niestety...

- No cóż, ja zapytałam, Ben. Zapytałam prokuratora, Trevisa Shanahana, dlaczego nie wezwał Brently ponownie jako świadka.

- I co powiedział?

- Nie mówił wprost. Ale po tym, jak zobaczyłam tego człowieka na ulicy, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Brently zaczęła wątpić w to, co widziała w „Augustine's”. To znaczy, kogo widziała. Może dlatego nie zeznawała ponownie.

Ben odetchnął głęboko, usiłując uspokoić nerwy. Monique wydawała się taka szczerza... Ale jeżeli zaufały jej, jeżeli zabrały ją ze sobą do Nowego Orleanu...

- W „Times - Picayune” pojawił się artykuł na temat Brently - powiedział ostrożnie. - Jeszcze przed Nowym Rokiem.

- Tak?

- Ktoś próbował ją zabić. Skończyło się na strzelaninie w "Aquarium", ale i wcześniej zdarzyło jej się wiele dziwnych rzeczy.

- Jakich?

- Na przykład jej mąż - pracował w policji i zniknął zaraz po pierwszym procesie. Wszyscy myśleli, że nie żyje, ale autor artykułu sugerował, że to może nie być prawda.

- I?

- I że był z nią w „Augustine's” w dniu morderstwa. Sugerował również, że jej obecność tam została zaplanowana, a jej mąż wiedział o strzelaninie wcześniej i zabrał ją tam specjalnie, by mogła być świadkiem.

- Więc miałam rację. Brently nie zeznawała ponownie, bo zorientowała się, że manipulowano nią. Mogła już nie mieć pewności, czy to ciebie widziała.

Popatrzył na nią myśląc, że mówi tak, jakby przestała wątpić w jego niewinność. Jeżeli tak, to mógłby uwierzyć, że go nie zdradzi.

Jednak zabranie jej ze sobą było zbyt niebezpieczne. Ale co z Duchem i jego nożem? Dezi powiedział, że Duch jest szalony. Jeżeli kręci się gdzieś niedaleko...

Dlaczego jednak miałyby przychodzić szpiegować w nocy, skoro za dnia nie widzieli nawet śladu po nim? Czy Monique na pewno sobie tego nie wyobraziła?

Musiał uwolnić się od myśli, że zostawiając ją tutaj, naraża ją na niebezpieczeństwo. Bo zabierając Monique ze sobą, ryzykowałby własnym życiem.

Poza tym, gdyby jednak na niego doniosła, straciłby jedyną szansę na znalezienie człowieka, który strzelał do jego rodziców - albo tego, kto się za tym morderstwem krył.

Po prostu nie mógł jej zaufać.

Jeszcze długo po tym, jak Ben zniknął na końcu kanału i ucichł odgłos silnika jego łodzi, Monique stała na pomoście, wpatrując się w bagna i zastanawiając się, czy na jego miejscu zabrałaby porwaną osobą.

Mało prawdopodobne, zdecydowała. Nie uwierzyłaby w dobre intencje porwanej. Ale jeżeli pojechaliby razem, naprawdę by go nie zdradziła. Nawet gdyby miała po temu tysiąc okazji. Teraz dręczyło ją tyle wątpliwości, że nie mogłaby odebrać mu szansy znalezienia prawdziwego zabójcy.

Prawdziwy zabójca - przestała już tak myśleć o Benie. Może dlatego że wyraziła swoją niepewność na głos, a może z innego powodu była praktycznie przekonana, że jest niewinny.

A ona została tutaj zupełnie sama. I nieważne, co na ten temat sądził Ben, była pewna, że ten bagienny włóczęga kręcił się po okolicy i szpiegował ich. Raz obudziła się, słysząc skrzypnięcie schodów. Drugi raz miała wrażenie, że widziała przez okno czyjąś twarz. Tylko przez sekundę wprawdzie, ale...

Objęła się ramionami, czując nagły chłód. Jeżeli miała rację, to Duch wkrótce odkryje, że jest sama. O ile już tego nie zrobił.

Spojrzała ponownie na ujście kanału. Poranna mgła rozproszyła się, ukazując pierwsze promienie słońca. Kilka ptaków budowało gniazda na pobliskich drzewach, para białych ibisów polowała na żaby w zaroślach.

I jak zwykle zobaczyła aligatory. Niektóre ukryte w przybrzeżnych szuwarach, inne zanurzone w wodzie tak głęboko, że można je było zauważyć dopiero, kiedy się poruszyły. Żaden z nich nie zbliżał się jednak do chaty, więc nie bała się ich już tak jak na początku.

Wmawiała sobie właśnie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, kiedy z wody wyskoczyła ryba. Przestraszyła się tak bardzo, że sama nieomal podskoczyła. Wstała szybko i wróciła do chaty.

Była pewna, że zamek w drzwiach nie powstrzymałby nawet dziecka, nie mówiąc już o zdeterminowanym mężczyźnie. Ale przynajmniej Ben zaufał jej na tyle, żeby załadować przyniesioną przez Deziego strzelbę i pokazać jej, jak się nią posługiwać.

- Jeżeli obiecasz, że nie zastrzelisz mnie, jak będę wracał - powiedział - to pokażę ci, jak masz się bronić.

Przeszła przez pokój i podniosła broń. Może powinna była przestrzelić tę cholerną łódkę, by nie mógł odpłynąć. Wtedy utknęliby tu oboje.

A teraz Ben pojechał do Nowego Orleanu, gdzie prawdopodobnie zastrzelił go pierwszy napotkany policjant, który rozpoznał go pod przebraniem. Albo ktoś doniesie na niego dla nagrody.

Nie chciał jej powiedzieć, z kim dokładnie zamierzał się spotkać. Ale skoro Sandor Rossi zniknął, podejrzewała, że zacznie od detektywów, którzy wycofali się ze sprawy. A jaka była szansa, że żaden z nich nie pójdzie na policję donieść, że Ben jest w mieście?

Odległy hałas motoru przerwał tok jej myśli. Wciąż trzymając strzelbę w rękę, podeszła do okna, modląc się, żeby to był Ben.

Kiedy dostrzegła łódkę, jej serce zaczęło walić jak młotem. To nie Ben, to Duch kierował się w stronę przystani, ze wzrokiem utkwionym w drzwi chaty.

Chwyliła mocniej strzelbę, wyszła na zewnątrz i stanęła na pomoście.

Kiedy Duch podpłynął wystarczająco blisko, zgasił motor i resztę drogi łódka przebyła siłą rozpędu.

- Ta strzelba nie wygląda zbyt przyjaźnie, co? - powiedział. Jego uśmiech wywoływał u niej gęsią skórę.

- Bo nie jestem do ciebie przyjaźnie nastawiona.

- Nie? Widziałem, jak twój mąż odpływa. Więc sobie pomyślałem, że nadszedł czas, byśmy się lepiej poznali.

- Przykro mi, ale jestem zajęta. Nie mam czasu na towarzyskie spotkania.

- Ach tak?

- Ach tak.

Duch patrzył na nią przez chwilę, po czym szybko wspiał się na przystań.

- Powiedziałaś, że jestem zajęta - powtórzyła Monique, próbując opanować drżenie kolan.

Wzruszył ramionami i zrobił krok w jej kierunku. Cofnęła się, po czym podniosła strzelbę i przyłożyła ją do ramienia, tak jak nauczył ją Ben. Jeszcze przed chwilą wątpiła, czy potrafi kogokolwiek zastrzelić. Teraz wszystkie wątpliwości zniknęły.

- Wynoś się stąd - rozkazała. Zatrzymał się, ale nie wrócił do łodzi.

- Wygląda na to, że nawet nie wiesz, jak tego używać.

- Wiem. I zrobię to, jeżeli natychmiast stąd nie odejdziesz. Obiecuję.

Kiedy ponownie wzruszył ramionami, pomyślała, że wygrała. Potem, nieomal z prędkością światła, rzucił się do przodu i złapał za lufę strzelby. Spróbowała przytrzymać ją, ale wyrwanie jej broni i wrzucenie do wody zajęło mu tylko sekundę.

- Twój mąż może ją wysuszyć później - powiedział, posyłając jej jeden ze swoich przerażających uśmiechów - ale na razie ją tam zostawimy.

Mimo że wydawało się jej to bezsensowne, odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

Złapał ją za włosy i szarpnął do tyłu, przyciągając do siebie. Śmierdział whisky i potem, a kiedy jedną ręką objął ją w pasie, Monique była pewna, że zaraz zwymiotuje.

Wtedy usłyszała głos Bena.

- Puść ją albo będziesz martwy.

Ben stał przy oknie, niespokojnie przez nie wyglądając, podczas gdy Monique wrzucała swoje rzeczy do walizki.

Dezi powiedział, że chata Ducha znajduje się o kilka kilometrów stąd i że łódką można się tam dostać bardzo szybko. Więc jeżeli Duch miał zamiar popłynąć do siebie po broń i wrócić tutaj, powinni jak najszybciej odpłynąć.

Monique zatrzasnęła walizkę i rozejrzała się dookoła.

- Co? - zapytał. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale nie była pewna.

- Ja... Kiedy Duch odpłynął, byłam zbyt przerażona, żeby cokolwiek powiedzieć, ale... prawdopodobnie uratowałeś mi życie. A w każdym razie przeszkodziłeś mu w... - Nie dokończyła zdania.

- Dobrze, że zauważyłem, jak wpływa do kanału.

- A jeszcze lepiej, że wróciłeś - mówiąc to, uśmiechnęła się tak ciepło, że Benowi zaparło dech w piersi.

- Po prostu chcę powiedzieć, że naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie zadenuncjuj mnie, jak już znajdziemy się w Nowym Orleanie - powiedział, pochylając się i podnosząc jej walizkę. - To całe podziękowanie, jakiego pragnę.

- Nie zrobię tego. Wcześniej też bym tego nie zrobiła, ale teraz...

- Co teraz?

- Kiedy zobaczyłam, że tam stoisz i celujesz z pistoletu w Ducha, myślałam, że go zabijesz.

- Na pewno o tym pomyślałem.

- Ale nie zrobiłeś tego. - Nie, nie zrobiłem.

Ruszył energicznie w stronę drzwi, ale Monique stała głęboko zamyślona.

- Ben? - powiedziała, kiedy się odwrócił.

- Co?

- Gdybyś naprawdę był mordercą, zabiłbyś go.

Patrzył na nią przez chwilę, bojąc się, że źle rozumie jej słowa - że słyszy to, co chce usłyszeć.

- Już ci mówiłem - powiedział w końcu. - Nigdy nikogo nie zabiłem.

- Wiem - szepnęła. - Kiedy nie strzeliłeś do Ducha, nabrałam pewności, że to nie ty zabiłeś swoich rodziców.

Nie odwróciła wzroku. W jej oczach widział szczerłość.

Nagle poczuł falę gorąca i zupełnie zapomniał o Duchu. Postawił walizkę na podłodze i podszedł do Monique.

Bez słowa objęła go ramionami i przytuliła się. Przytrzymał ją przez chwilę, czując świeży zapach jej włosów i perfum. Przez ostatnie kilka nocy leżał obok niej i niemal boleśnie pragnął trzymać ją w swoich ramionach. Teraz, kiedy czuł jej ciepło przy swoim ciele, miał wrażenie, że śni.

- Przepraszam, Ben - wyszeptała, patrząc na niego.

- Za co?

- Za wszystko, co przeszedłeś przez ostatnie trzy lata. Za pewność, z jaką zeznawałam, że to ciebie widziałam w „Augustine's”, podczas gdy tak straszliwie się myliłam.

- Cii. - Zanurzył rękę w jej lśniących włosach i popatrzył na nią przez chwilę, myśląc o tym, jaka jest piękna. Potem pochylił się, żeby ją pocałować.

Smakowała tak samo cudownie, jak pachniała - doskonałym winem i słodkimi owocami. I całowała z namiętnością zakochanej kobiety.

Ta myśl opanowała go i nie dawała się odpędzić. Ale pocałunki to jeszcze nie miłość.

Pocałował ją mocniej, niemal niezdolny do myślenia.

Kobieta taka jak Monique nigdy nie mogłaby pokochać mordercy.

Ale uwierzyła w jego niewinność. Więc teraz...

Z bijącym mocno sercem przerwał pocałunek, zanim pożądanie dało się jeszcze opanować.

- Musimy już jechać - powiedział, z trudem odsuwając się od niej. - W razie gdyby Duch wpadł na kolejny wspaniały pomysł.

Bez słów wzięła go za rękę; Było to uczucie tak cudowne, że poczuł ucisk w gardle. Jeżeli nie uda mu się udowodnić światu swojej niewinności, cokolwiek się między nimi zaczęło, było z góry skazane na niepowodzenie.

Za każdym razem, kiedy Ben spoglądał w bok na Monique, napotykał jej wzrok. I za każdym razem uśmiechała się do niego.

Sprawiło to, że miał ochotę zatrzymać się i wziąć ją w ramiona, ale nie mógł robić nic, co przyciągnęłoby czyjąś uwagę. Nie chciał, żeby jakiś stanowy patrol zatrzymał się na poboczu za nimi, by sprawdzić, kto stoi na środku autostrady numer 90.

Ale kiedy już dojadą... Do diabła, jeżeli tak go podniecało samo siedzenie przy niej, to co będzie potem?

- A to mieszkanie? - zapytała. Ben zaczął zastanawiać się, czy Monique umie czytać w myślach. - Jesteś pewien, że nikt nas tam nie znajdzie?

Nas. Nie miała pojęcia, jak podziałało na niego to jedno krótkie słowo.

- Nie, nikt nie powinien nas tam znaleźć - odpowiedział. - Wynajęto je na fałszywe nazwisko na długo przed moją ucieczką.

Milczała przez chwilę.

- Widzę, że była zaplanowana w najmniejszych szczegółach.

Spojrzał znów na nią, czując lekkie ukłucie niepokoju. To, co wiedziała, wystarczyło, by bez problemu wsadzić Deziego za kratki jako jego współnika. A myśl o tym, że mogłaby dowiedzieć się również o jego siostrze...

- Możesz mi zaufać, Ben - szepnęła, upewniając Bena, że potrafi czytać w jego myślach. - Dalej w to nie wierzysz?

- W ciągu ostatnich kilku lat nie było zbyt wielu ludzi, na których mógłbym liczyć. - Wierzył jednak, że może jej ufać. Wierzył niemal całkowicie. Ale jeżeli się mylił, ryzykował życiem albo dożywotnim więzieniem.

- Cóż, na mnie z pewnością możesz - kontynuowała. - Właściwie...

- Właściwie co?

Monique zawahała się. Mimo że próbowała sprawiać wrażenie chłodnej i opanowanej, w środku cała się trzęsła. Kiedy Ben wrócił i uratował ją przed Duchem... A potem, kiedy ją pocałował...

Zamknęła oczy, próbując znów poczuć magię tamtej chwili. Odkąd musiała wziąć udział w programie ochrony świadków, nauczyła się trzymać emocje na wodzy. W jej nowym życiu nie było nikogo, komu mogłaby zaufać, nie mówiąc już o głębszych uczuciach.

Może to, co wydarzyło się w chacie, nagle uwolniło tłumione dotąd uczucia, które skupiła na Benie.

Nieważne jednak, jaka była przyczyna, kiedy pocałował ją, poczuła się, jakby stworzono ją na nowo - jakby żaden mężczyzna nigdy nie trzymał jej w ramionach. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła, że naprawdę żyje. I poczuła bliskość drugiej osoby. Tak mocno, że jeżeli coś by mu się stało...

Nic nie mogło mu się stać. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, zakochała się w Benie DeCarlo. Szybciej i mocniej niż kiedykolwiek przedtem. I musiała zrobić wszystko co w jej mocy, żeby nie wrócił do więzienia.

- Właściwie co? - powtórzył pytanie. Wzięła głęboki oddech.

- Właściwie, mogę ci pomóc.

Milczał przez chwilę. Monique siedziała, wsłuchując się w szum silnika i gładki szelest opon, wstrzymując oddech, dopóki jej nie odpowiedział. - W czym możesz mi pomóc?

- W odnalezieniu mordercy twoich rodziców.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Piątek, 7 lutego 11:56

Ben wpatrywał się w drogę, pozwalając słowom Monique rozwiać się w powietrzu, czując, jak ulatują z niego wszystkie wątpliwości na jej temat.

Osiągnęła już to, co chciała. Zamiast zostawić ją na bagnach, wiozł dziewczynę do Nowego Orleanu. Teraz zdążyła się już zorientować, że nigdy jej nie skrzywdzi.

Więc, skoro zaproponowała mu pomoc, mogła mieć tylko jeden powód - zależało jej na nim. Znaczyło to dla niego tak dużo, że nie był w stanie wyrazić tego słowami.

Nie mógł jednak wplątywać jej w to wszystko.

- Ben? - Najwyraźniej spodziewała się jakiejś reakcji na swoją propozycję.

Kiedy spojrział na nią, uderzyła go oczywistość tego, co powinien teraz zrobić i zdziwił się, że nie pomyślał o tym wcześniej. Skoro nie miał już co do Monique żadnych wątpliwości, skoro był pewien, że nie wezwie policji, nie było żadnego powodu, by trzymać ją przy sobie. Żadnego poza jednym. Myśl o rozstaniu z nią wywoływała ból w jego sercu.

Przez chwilę zbierał całą swoją siłę woli.

- Przed chwilą zapytałaś, czy ci ufam - zmusił się do wypowiedzenia tych słów.

- Tak?

- No więc, ufam ci. Zatem... - Reszta zdania utknęła mu w gardle, ale wiedział, że musi je dokończyć.

Nieważne, jak bardzo pragnął mieć ją przy sobie - to nie byłoby w porządku wobec niej. Istniało duże prawdopodobieństwo, że rzeczy nie pójdą po jego myśli. A jeżeli on i Monique spędzą jeszcze trochę czasu ze sobą..

- Słuchaj - wykrztusił w końcu. - Ufam ci na tyle, że kiedy dojedziemy do miasta, puszcę cię wolno.

Próbował nie patrzeć na nią, ale kiedy nie odpowiadała, nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerknąć w jej kierunku.

- Ben, ja również ci ufam - powiedziała, kiedy na nią spojrział. - I wiem, że wszystko, w co wierzyłam do tej pory na twój temat, było nieprawdą. Nigdy nie kazałaś mnie szukać. Nigdy nie zapłaciłaś nikomu, żeby mnie zabił.

- Oczywiście, że nie. Ale ten Nos zrobił wszystko, żebym wyglądała na ostatniego łajdaka. Stąd między innymi groźby pod adresem świadków oskarżenia - w moim imieniu, rzecz jasna.

Powoli potrząsnęła głową.

- Więc ukrywałam się przez ponad dwa lata, podczas gdy tak naprawdę nie musiałam tego robić.

- Może na początku nie. Ale potem - sama wiesz, od kiedy ogłoszono, że odbędzie się dragi proces, zabito dwóch świadków.

- Żeby obciążyć ciebie odpowiedzialnością. Boże, ktokolwiek cię w to wrobił, zniszczył tyle ludzkich istnień. Życie twoich rodziców, twoje. Świadców, którym groził, i tych, których zabił. Ja chyba miałam szczęście. Mogę przynajmniej wrócić teraz do normalnego życia. Skoro proces się skończył, nie mają już interesu, żeby dalej malować ponury obraz twojej osoby. Ale ty... Och, Ben, twoje życie też musi się zmienić. Nie mogłabym żyć, wiedząc, że przeze mnie siedzisz w więzieniu.

- Było was pięcioro.

- Ale chodzi o to, że popełniłam straszny błąd i wcale nie jestem z siebie dumna. I mogę to zmienić tylko w jeden sposób. Zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- Monique...

- Nie. Chcę odzyskać swoje życie, ale chcę również, żebyś i ty odzyskał swoje. A skoro ukrywałam się już tyle czasu, mogę poczekać jeszcze kilka dni ze skontaktowaniem się z moją rodziną.

Poczuł ucisk w gardle. Nie wolno mu jej w to wciągać. To byłoby nie w porządku. Ale nic nie mógł poradzić, że bardzo tego pragnął.

- Ben? - powiedziała. - Naprawdę mogłabym pomóc. Na początku była przecież w twoim planie kobieta, pamiętasz? A policja wciąż szuka samotnego mężczyzny.

- Nie. To zbyt niebezpieczne.

- Nie bądź głupi. To jest mniej niebezpieczne. Jeżeli nie będziesz sam, szansa, że ktoś cię rozpozna, jest dużo mniejsza.

- Chciałem powiedzieć, że będzie to niebezpieczne dla ciebie. Gdyby Nos odkrył, że mi pomagasz...

- Nie dowie się.

- Ale to i tak jest zbyt ryzykowne; mam na myśli nie tylko Nosa. Ładzie, z którymi zamierzam się spotkać, nie przypominają kandydatów w wyborach.

- Ben, nie powiedziałam, że musisz mnie wprowadzić we wszystko, ale im mniej osób będzie wiedziało, że jesteś w mieście, tym lepiej. Więc co z tymi detektywami? Dlaczego ja nie mogłabym pójść i porozmawiać z nimi zamiast ciebie?

- Dlatego, że nie mają żadnego powodu; dla którego mieliby ci cokolwiek powiedzieć. Ja mógłbym ich przekonać, ale...

- Mogę dać im powód. Mogę powiedzieć... Na przykład, że jestem dziennikarką, prowadzącą w tej sprawie dochodzenie. Pracuję dla jakiejś gazety gotowej zapłacić małą fortunę w zamian za nazwisko osoby, która przekonała ich, żeby zrezygnowali z prowadzenia twojej sprawy. Gdybym zagwarantowała im anonimowość, mogłoby się udać.

Ben potarł ręką podbródek, zastanawiając się, czy Monique nie ma racji.

- Prawdopodobnie śledzili obydwaj procesy - powiedział w końcu. - Mogliby cię rozpoznać i...

- Wciąż mam przy sobie perukę i okulary. Nawet ty mnie nie rozpoznałeś, kiedy miałam je na sobie.

Pochyliła się ku niemu i położyła mu rękę na udzie. Poczował falę pożądania.

- Ja po prostu... Naprawdę nie wiem, Monique.

- Posłuchaj, jak już dojedziemy, zadzwonimy do mnie do biura - powiemy, że muszę jeszcze trochę zostać. A potem zobaczymy, co się będzie działo i wtedy coś zaimprovizujemy, dobrze?

- Dobrze? - powtórzyła, kiedy nie odpowiedział. Ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Udało im się zjeść zaskakująco dobry lunch w jakimś mało popularnym barze na przedmieściach Nowego Orleanu - duże kanapki z salami i posiekanymi oliwkami, które Ben nazywał muffaletas. Potem zadzwonił do Deziego. Powiedział mu, że jest już z powrotem i poprosił, by za jakąś godzinę lub dwie zabrał auto spod ich domu. Potem udali się w stronę centrum.

- Straszne tłumy, prawda? - zauważyła Monique.

- Tak, to przecież ostatni weekend przed Mardi Gras, pamiętasz? Założę się, że w mieście jest teraz co najmniej 300 000 turystów.

- No cóż, im więcej ludzi, tym mniejsza szansa, że nas ktoś zauważy.

- Zatrzymamy się przed drogerią, chciałbym kupić farbę do włosów. Przyznam się, że nie mam ochoty cały czas nosić tej peruki.

Sposób, w jaki na nią patrzył, wyraźnie mówił, że ma zamiar kupić coś jeszcze. W jej głowie jedna myśl zaczęła gonić drugą. Nie minął jeszcze tydzień, a szczerą nienawiść Monique do Bena DeCarlo zmieniła się...

W szczerą miłość, przyznała po cichu. Choć uczucie do człowieka skazanego za morderstwo było trudne do zaakceptowania.

Ale został skazany niesłusznie. I czy reszta świata wierzyła w to, czy nie, Monique знаła prawdę.

Jednak wciąż nie mogła uciszyć głosu rozsądku, podpowiadającego jej, że nie powinna z nim zostawać, tylko wsiąść w pierwszy samolot do Hartford. Albo do Seattle, żeby zobaczyć się z rodzicami.

Tak, to było jedyne rozsądne wyjście - wycofać się, zanim zaangażuje się jeszcze bardziej. Cóż, babcia zawsze jej powtarzała, że kiedy miłość puka do drzwi, rozsądek ucieka oknem. Monique dopiero teraz zdała sobie sprawę, ile jest w tym prawdy. Nie mogła odejść. Sama myśl o tym sprawiała jej ból.

Ben wyszedł ze sklepu.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - powiedział, wsiadając do samochodu. - To tylko kilka przecznic dalej.

Ich celem okazało się stare mieszkanie w dzielnicy francuskiej. Znajdowało się stosunkowo blisko ruchliwej Canal Street - stanowiącej południowo - zachodnią granicę dzielnicy. Architektura budynku była typowa dla Nowego Orleanu. Trzypiętrowy dom, zbudowany z cegły i zdobiony stiukami, z balkonami ozdobionymi żelaznymi ornamentami.

Ściskając mocno rękę Bena, Monique podążyła za nim poprzez wąską klatkę schodową na ostatnie piętro. Ben wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi z numerem 304. Kiedy weszli już do środka, odstawił walizkę i odwrócił się do niej.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, czując przyspieszone bicie serca, a potem znalazła się w jego ramionach.

- Monique - wyszeptał czule między pocałunkami. - Wprawdzie w więzieniu nie zaraziłem się żadną chorobą, ale jeśli uważasz, że to będzie błąd, jeżeli...

Zawahała się przez chwilę, zdając sobie sprawę, że to ostatnia szansa na wycofanie się. Jednak serce uciszyło tę myśl.

- Nie, sądzę raczej, że błędem byłoby, gdybyśmy tego nie zrobili.

Uśmiechnął się do niej i powoli przyciągnął ją bliżej, całując tak, że ugięły się pod nią kolana.

- Tutaj jest prawdziwe łóżko - powiedział. - To lepsze niż materac na podłodze.

Wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni. Zdjął perukę, odkleił sztuczne wąsy i zasłonił okno, pogrążając pokój w zmysłowym półmroku. Potem odwrócił się do niej i delikatnie pogładził po policzku.

- Chcę ci coś powiedzieć. Chcę, żebyś wiedziała, że nie chodzi mi tylko o seks. Zakochałem się w tobie.

- Och, Ben. Ja też się w tobie zakochałam.

Objęła go mocno, czując napływające do oczu łzy. Co się stanie, jeżeli jeden z ludzi, z którymi ma się spotkać, doniesie na niego? A jeżeli rozpozna go jakiś gliniarz i...

Przytulając się do niego mocniej, spróbowała odrzucić od siebie te myśli. Potem poczuła jego ręce na swoich piersiach i cała reszta przestała się liczyć.

Ben szybko rozpiął guziki jej koszuli i zsunął delikatną tkaninę z jej ramion.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał, rozpinając jej stanik. Odsunął się od niej na chwilę, żeby ściągnąć sweter i spodnie. Wyjął prezerwatywę i rzucił ją na nocną szafkę. Monique obserwowała wszystkie te czynności głodnym wzrokiem.

Widziała go już wcześniej, kiedy miał na sobie tylko slipy. Ale teraz było inaczej. Jego podniecenie było tak widoczne, że gdzieś nisko poczuła bolesne ukłucie pożądania.

Rozpiął jej dzinsy i zsunął na dół, całując ją po brzuchu. Czuła szorstkość męskiej brody na swej skórze, ale nie zwracała na to uwagi. Jego pocałunki obezwładniały ją. Miała wrażenie, że za chwilę osunie się na podłogę.

W końcu Ben zsunął z niej koronkowe majteczki, sam również pozbywając się ostatnich części garderoby. Prowadząc ją w stronę łóżka, zanurzył rękę w jej włosach. Pod wpływem podniecającego dotyku pustka w jej wnętrzu domagała się wypełnienia.

- Boże, Monique - wyszeptał. - Chciałbym zrobić to powoli i delikatnie, ale nie wiem, czy będę w stanie.

- Kto powiedział, że chcę powoli i delikatnie - zamruczała, przesuając rękę w dół po jego podbrzuszu.

Kiedy opuściła dłoń jeszcze niżej, jęknął. Potem szybko nałożył prezerwatywę i odwrócił się do niej. Delikatnie przesuując rękę wewnątrz jej ud, czuł, jak drży pod jego dotykiem.

Wsunął się w nią. Poruszając się powoli, zamienił jej drzenie w dreszcze, zapowiadające nadchodzące fale rozkoszy.

Monique przywarła do niego mocno, wiedząc, że z każdym jego ruchem przybliża się spełnienie, aż w końcu nadeszło, przynosząc jej rozkosz i ulgę. Kiedy Ben dołączył do niej, poczuła się tak szczęśliwa, jakby w ich świecie nic nie mogło im już zagrozić.

Jego ciężar sprawiał, że czuła się bezpieczna, a kiedy zsunął się z niej i przyciągnął do siebie, zapragnęła pozostać w tych mocnych ramionach na zawsze.

Leżeli w ciszy, dopóki Ben nie schował twarzy w zagłębienie jej szyi i nie zamruczał:

- Chciałem całować cię po całym ciele. Chciałem, żeby to trwało wiecznie.

Pocałowała go w ramię i położyła dłoń na jego piersi.

- Możemy to przecież powtórzyć. Mamy na to całą wieczność.

Mówiąc te słowa, zdała sobie sprawę, jak głupio zabrzmiały. Prawda była taka, że być może w ogóle już nie mieli czasu.

Monique podciągnęła się do góry na łóżku i powoli przesunęła palcami wzdłuż twarzy Bena, zatrzymując palec wskazujący na zmysłowym zagłębieniu w podbródku, teraz niewidocznym z powodu zarostu.

- Co? - uśmiechnął się do niej leniwie.

- Zastanawiałam się, dlaczego w ogóle nie wyglądasz na Włocha. Czy szanujący się Włoch może mieć niebieskie oczy? Albo jasne pasemka we włosach? - dodała, głaszcząc go po głowie.

- Owszem, jeżeli matka takiego Włocha ma domieszkę krwi angielskiej i skandynawskiej.

- Ale twoja siostra wygląda na Włoszkę. - Maria była na sali podczas obydwu rozpraw. Jej długie, czarne włosy i ciemna karnacja przypominały Cher we „Wpływie księżycy”.

- Najwidoczniej moja siostra odziedziczyła więcej genów po ojcu niż ja.

- Aha. - Monique znów pocałowała go w ramię, pragnąc, żeby mogli tak zostać już na zawsze. Ale niemal fizycznie czuła upływ czasu.

Przebrany czy nie, Ben nie będzie mógł pozostać wolnym człowiekiem w Nowym Orleanie przez długi czas. Prędzej czy później policja wpadnie na jego trop - i to raczej prędzej.

- Powinam zadzwonić do tych detektywów - powiedziała.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Kiwnęła głową. Uśmiech, jakim ją obdarzył, sprawił, że poczuła rozchodzące się po całym ciele ciepło.

- Jeżeli włączy się sekretarka, mogę zostawić im numer telefonu?

- Tak. Na szafce leży komórka. Nawet jeśli gliny dostaną ten numer, nie zlokalizują go.

Ben zsunął się z łóżka i przeszedł nagi przez pokój. Patrząc na niego, Monique była absolutnie pewna, że słusznie zrobiła, zostając z nim. I że nikt nie będzie jej w stanie od niego odciągnąć.

Jednak z policją to już zupełnie inna historia, przemknęło nagle dziewczynie przez głowę.

Nakazała sobie przestać o tym myśleć.

- Tutaj są rzeczy tylko dla mnie - powiedział, wyjmując z szafy szlafrok i zakładając go. - Powinnaś więc chyba coś sobie kupić. Dopóki...

Monique zamarła. Ktoś otwierał drzwi wejściowe.

- Właściciel? - zapytała, kiedy Ben zanurkował po swoje dżinsy.

- Nie wiem.

- Poczekaj! - powiedziała wygrzebując się z łóżka i narzucając szlafrok. - Zostań tu, gdzie jesteś. Nikt nie może zobaczyć cię bez przebrania.

Podniósł leżący na krześle pistolet i podał go jej.

- Uważaj. Jest odbezpieczony.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Kto to był?

Chowając pistolet za plecami, zmusiła się, żeby wyjść z sypialni i przejść korytarzem do salonu. Z tego miejsca mogła dostrzec wnętrze kuchni. W środku, tyłem do niej, stała kobieta i wkładała jedzenie do lodówki. Monique poczuła ulgę.

- Przepraszam bardzo...

Kobieta drgnęła i odwróciła się. Monique natychmiast rozpoznała w niej siostrę Bena.

- W porządku - powiedziała. - Jestem tu z Benem. Maria powoli wyszła z kuchni, przesuwając wzrokiem po jej szlafroku, bosych stopach i potarganych włosach. Jej twarz, kiedy w końcu spojrzała Monique w oczy, wyrażała czystą nienawiść.

Monique niespokojnie poprawiła włosy.

- W porządku, to twoja siostra - zawołała.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała Maria. - Dezi opowiedział mi, że byłeś w chacie. Ale co robisz tutaj?

Zanim Monique zdążyła się odezwać, Ben wszedł do pokoju.

- Czy to nie jest zbyt niebezpieczne, żebyś tu przychodziła? - zapytał, uściskawszy siostrę.

Pokręciła głową.

- Któraś z nas musiało przyjechać po samochód, a Dezi utknął w winiarni zaraz po twoim telefonie.

- Byłaś ostrożna?

- Tak. Przestali obserwować dom. Doszli do wniosku, że znajdujesz się już tysiąc kilometrów od Nowego Orleanu. Ale...? - spojrzała na Monique.

- Zakochaliśmy się w sobie - powiedział Ben.

- Oszalałeś? Przy pierwszej okazji polecisz na policję!

- Ben? - powiedziała Monique. - Mógłbyś to ode mnie wziąć? Denerwuję się, trzymając go w ręku.

Wysunęła rękę z pistoletem zza pleców, podała go Benowi, po czym spojrzała na Marię.

- Trzymając pistolet w ręku, mogłam zrobić wszystko. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale naprawdę nie mam zamiaru donieść na Bena. Przeciwnie, próbuję mu pomóc.

- Uwierzyła mi, że jestem niewinny - wyjaśnił Ben.

- I pomaga ci. Najpierw zeznaje, że jesteś mordercą, a teraz ci pomaga. Oszaleliście obydwójce.

- Hej - powiedział Ben, uśmiechając się do niej. - Czy w ten sposób rozmawiasz ze swoim ulubionym bratem?

- Z moim jedynym bratem, chcesz powiedzieć. Monique odetchnęła. Najwyraźniej przekomarzali się

w ten sposób już tysiące razy i wiszące w powietrzu napięcie zelżało.



Nie do końca przekonana Maria spojrzała na Bena z wyrazem głębokiej troski na twarzy.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, braciszku.

17:23

Monique wyszła z biura Rogera Tataviego, zatrzymała taksówkę i podała kierowcy adres Lloyda Grangera. Gdy wysiadała, modliła się o więcej szczęścia z Grangerem.

Tatavi zdecydowanie zaprzeczył, jakoby ktoś kazał mu zrezygnować ze sprawy Bena. Twierdził, że miał ku temu osobiste powody.

Stała przed ostatnią szansą, żeby się czegoś dowiedzieć - jak się okazało, trzeci z detektywów, do których kiedyś zgłosił się Ben, nie żyje. Prawdopodobnie zmarł śmiercią naturalną, ale nie zmieniało to sytuacji - Granger był jej ostatnią nadzieją.

Na szczęście zgodził się z nią spotkać, choć zadzwoniła dość późnym popołudniem. Obydwaj zresztą zgodzili się na spotkanie - kiedy powiedziała im, że pracuje dla gazety, która gotowa jest zapłacić sporą sumę za najmniejszą choćby informację.

Wyjrzała przez okno, niemal żałując, że nie zabrała Bena ze sobą. Przydałoby się jej małe moralne wsparcie. Ale im mniej przebywał poza mieszkaniem, zwłaszcza w dzień, tym lepiej.

Kiedy taksówka podjechała pod biuro Grangera, Monique przyglądała perukę, poprawiła okulary i po raz kolejny powtórzyła sobie, że od tej pory nazywa się Anne Gault.

Granger okazał się łysym mężczyzną po pięćdziesiątce. Miał dość pokaźny brzuch i mocny uścisk dłoni.

- A więc - powiedział, wskazując jej krzesło i siadając za biurkiem - pracuje pani dla "National Ear".

Skinęła głową. Obydwoje z Benem doszli do wniosku, że jeżeli poda się za reportera znanej gazety, obydwaj detektywi uznają, że warto się z nią spotkać.

- Jakiej pomocy oczekuje pani ode mnie?

- Zanim do tego przejdziemy, chciałabym wyjaśnić, że zapewnię panu pełną anonimowość. Wiem, że „National Ear” nie ma pod tym względem najlepszej reputacji, jednak...

Zawiesiła głos, wyjęła z torebki książeczkę czekową i otworzyła ją, pokazując czeki wypisane na Anne Gault.

Całe szczęście nie było na nich adresu, a adres banku w Hartford dokładnie zasłoniła palcem. Wyjaśni to, jeżeli naprawdę będzie musiała wypisać czek. Tak czy inaczej, Granger nie mógł wiedzieć, że na jej koncie znajduje się tylko kilkaset dolarów. Ale jeżeli detektyw pójdzie na ten układ, Ben wpłaci tam tyle, ile będą potrzebowali.

- Pana nazwisko nigdy nie będzie kojarzone ani z gazetą, ani z moim artykułem. Zapłacę panu prywatnym czekiem.

- Rozumiem. A o czym właściwie chce pani napisać?

- O Benie DeCarlo. Po ponownej rozprawie i ucieczce ludzie zaczęli naprawdę się nim interesować. A tam, gdzie jest zainteresowanie, są i pieniądze, więc piszemy na jego temat artykuł.

- Uhm? A jaka jest moja rola? Monique pochyliła się do przodu.

- Panie Granger, przed pierwszym procesem DeCarlo i jego prawnicy zlecili panu przyjrzenie się pewnym aspektom tej sprawy.

Detektyw patrzył na nią przez chwilę podejrzliwie.

- Tak, pracowałem dla nich, ale dużo nie zrobiłem.

- Musiał pan zostawić tę sprawę, prawda?

- Tak.

- Potrzebuję tylko nazwiska osoby, która pana do tego przekonała.

- Rozumiem.

Czekała, czując szalone bicie serca. Postanowił przynajmniej rozważyć tę propozycję, czego Roger Tatawi nie zrobił.

- A gdyby taka osoba istniała - powiedział w końcu - ile warte jest dla pani jej nazwisko?

- Dwadzieścia tysięcy - powiedziała, mając nadzieję, że to wystarczająca suma, by połknął haczyk. Zdecydowali, że propozycja większej sumy może wzbudzić podejrzenia zainteresowanych.

- Czy ma pani jakąś wizytówkę, pani Gault? Muszę to sobie przemyśleć.

- Oczywiście. - Otworzyła torebkę i zaczęła szukać w niej wizytówki, chociaż wiedziała, że jedyna, jaką ma przy sobie, to jej wizytówka agenta nieruchomości w Hartford.

- O nie - powiedziała w końcu. - Wychodząc, zmieniłam torebkę i musiałam zostawić wizytówki w domu. Ale dam panu mój numer.

Nagryzmoła szybko numer komórki na kawałku papieru i podała mu ponad biurkiem.

- Na pewno pan zadzwoni? Tak czy inaczej?

- Na pewno zadzwonię.

Chowając książeczkę czekową do torebki, wstała z krzesła.

- Jeszcze jedno - powiedział, obchodząc biurko, żeby odprowadzić ją do drzwi.

- Tak?

- Jak bardzo elastyczna jest pani gazeta, jeżeli chodzi o te dwadzieścia tysięcy?

Serce Monique zatrzymało się na chwilę.

- Sądzę, że w razie potrzeby, będzie można podwyższyć trochę tę sumę.

Otworzył jej drzwi.

- Będziemy w kontakcie, pani Gault.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Piątek, 7 lutego 19:04

Ben po raz kolejny przemierzał pokój, niespokojny niczym tygrys w klatce.

Gdyby pojechał z Monique i po prostu poczekał na nią na ulicy, wiedziałby już, jak się wszystko potoczyło.

Tak, miała rację, każąc mu tutaj zostać, ale nie mógł znieść myśli, że inni robią dla niego więcej niż on sam. Najpierw Maria i Dezi, a teraz Monique.

Zatrzymał się przy oknie i wpatrzył w ciemność, wciąż jeszcze nie mogąc przyzwycząić się do faktu, że Monique mu pomaga. Jej miłość do niego była tak nieprawdopodobna, tak niemożliwa... Tak samo jak jego miłość do niej.

Uśmiechnął się do siebie. Monique to wspaniała kobieta. Gdyby tylko szansa na to, że wszystko pójdzie dobrze, a oni zostaną razem na zawsze, była realniejsza, nie czułby się tak źle, narażając ją na niebezpieczeństwo.

Na ulicy zatrzymała się taksówka. Kiedy zobaczył, jak z niej wysiada, poczuł ulgę. Przez cały czas wmawiał sobie, że jest całkowicie bezpieczna, ale teraz miał świadomość, jak bardzo się niepokoił.

Patrząc na Monique przechodzącą obok grupki świętujących karnawał ludzi, czuł rosnące podekscytowanie. Za chwilę będzie wiedział, czy udało jej się zdobyć nazwisko, którego tak desperacko potrzebował.

Wprawdzie nie spodziewał się, by Nos kontaktował się z detektywami osobiście - na pewno miał kogoś, kto odwał za niego brudną robotę - ale jeżeli Monique dowiedziała się, kto z nimi rozmawiał, mogło to stanowić dobry punkt zaczepienia.

Kiedy usłyszał odgłos zbliżających się kroków, podszedł do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Potem otworzył je, starając się zamaskować niecierpliwość oczekiwania.

Najwidoczniej niezbyt mu się to udało, bo Monique rozszyfrowała go po jednym spojrzeniu.

- Nic jeszcze nie wiem. Roger Tatavi okazał się kompletną stratą czasu - powiedziała, zamykając drzwi. - Ale Lloyd Granger obiecał przemyśleć propozycję.

Objął ją i przytulił do siebie.

- A więc przyznał się, że ktoś go namówił do zaniechania sprawy? - zapytał, puszczając ją, żeby mogła zdjąć płaszcz.

- Nie, do niczego się niestety nie przyznał. Ale bardzo go interesowało, ile gazeta może zapłacić, jeżeli, jak to ujął, taka osoba istnieje. Obiecał, że zadzwoni do mnie tak czy inaczej.

- Powiedział kiedy?

- Nie.

Monique stanęła nieruchomo, przyglądając mu się.

- Co? - zapytał.

- Ufarbowałaś włosy.

- Czy wyglądam teraz wystarczająco inaczej?

- Tak - powiedziała powoli. - Są o wiele ciemniejsze. A jeżeli jeszcze je trochę przytnę i zmienię ci fryzurę, peruka nie będzie już potrzebna. Brakuje mi jednak tych jasnych pasemek - powiedziała, wyciągając rękę, by go pogłodzić po głowie.

Ujął jej dłoń i przyciągnął do siebie. Ale kiedy zamierzał ją pocałować, zadzwonił telefon. Obydwoje zamarli.

- To może być Dezi - powiedział, patrząc na leżący na stoliku aparat. - Albo Maria.

- Albo Granger.

- Racja. Więc lepiej ty weź słuchawkę.

Z sercem w gardle Monique odebrała telefon.

- Anne Gault - powiedziała do słuchawki.

- Lloyd Granger.

- Tak, panie Granger. Dziękuję, że tak szybko pan oddzwonił.

- Niech pani się tak nie cieszy, ponieważ nic jak na razie nie ustaliliśmy.

Monique wstrzymała oddech.

- Ale dam pani darmową radę, jeżeli nie wie pani, w jak niebezpieczną grę się pani pakuje.

- Słucham?!

- "National Ear" nigdy o pani nie słyszał. I nie zamierzają pisać żadnego artykułu na temat Bena DeCarlo.

Gorączkowo próbowała znaleźć sposób, w jaki mogłaby jeszcze uratować sytuację.

- Myślała pani, że tego nie sprawdzę? - kontynuował. - Wszak jestem detektywem.

- Przy... Przykro mi - powiedziała, wciąż szukając jakiegoś wyjścia. - Właściwie to piszę artykuł sama, mając po prostu nadzieję, że uda mi się go potem sprzedać. Pomyślałam, że nie zgodzi się pan ze mną zobaczyć, jeżeli to powiem.

- Tak? Wolny strzelec gotowy zapłacić dwadzieścia tysięcy dolarów za jedno nazwisko? Sądzi pani, że urodziłem się wczoraj?

- Ja...

- Proszę posłuchać, wiem, że nie pisze pani żadnego cholernego artykułu. I wydaje mi się, że wiem, co pani robi. To jest niebezpieczna gra, a Nowy Orlean to niebezpieczne miasto. Jeżeli zada pani niewłaściwe pytanie niewłaściwej osobie, skończy pani w Missisipi - z kamieniem u szyi. - Gragner odłożył słuchawkę.

Położyła telefon z powrotem na stoliku, mrugając, żeby powstrzymać łzy.

- Nic z tego? - powiedział Ben cicho. Potrząsnęła głową.

- Sprawdził w redakcji.

- Cholera. Jak? Przecież „National Ear” ma redakcję na Florydzie, to godzina różnicy w czasie, poza tym mamy przecież piątek wieczór!

- No cóż, jak sam na to zwrócił uwagę, jest detektywem. - Jedna z łez popłynęła po policzku, Monique otarła ją dłonią.

Po chwili Ben już był przy niej, przytulając mocno.

- W porządku - szepnął. - Zrobiłaś, co w twojej mocy. Spróbujemy inaczej.

- Ale teraz będziemy mieli do czynienia z tymi ludźmi, którzy, jak mówiłeś, nie kandydują na ogół w wyborach.

- Niekoniecznie. Właściwie znam jeszcze kogoś, kto nie jest podłym kryminalistą. Nazywa się Farris Quinn i jest reporterem w „Times - Picayune”. Może on będzie chciał mi pomóc.

Albo - Monique nie mogła powstrzymać tej myśli - wezwie policję.

Farrisa Quinna nie było w redakcji, ale ktoś, kto odebrał telefon, podał Benowi numer jego komórki.

- Dobra - powiedział, patrząc na siedzącą obok niego na kanapie Monique. - Wiemy, czego od niego chcemy, i nie ma możliwości, by zorientował się, że jestem w Nowym Orleanie. Nic nam tym razem nie umknęło?

Monique przebiegła jeszcze raz myślami cały plan. Po tym, jak Lloydowi Grangerowi zajęło niecałe pół godziny dowiedzenie się, że w „National Ear” nie pracowała żadna Anne Gault, nie chcieli kolejnej porażki.

- Jesteś absolutnie pewien, że nikt nie może namierzyć tego numeru?

- Jeżeli nawet, to dowiedzą się tylko, że telefon należy do nie istniejącej kobiety i wszystkie rachunki przychodzą na skrytkę pocztową.

- Więc wydaje mi się, że wszystko poza tym jest w porządku - powiedziała powoli. - Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, dlaczego według ciebie ten Quinn może zechcieć nam pomóc.

- Bo to on napisał artykuł, o którym ci mówiłem.

- Chwileczkę... O tym, jak ktoś próbował zamordować Brently Gleason?

- Tak. Więc prawdopodobnie uważa, że cała ta sprawa śmierdzi. Poza tym, tuż po morderstwie, kiedy wszyscy inni reporterzy żądali mojej głowy, on napisał kilka rozsądnych kawałków.

- O czym?

- Napisał, że jestem inteligentnym człowiekiem, który zawsze był zdrowy na umyśle i nigdy nie miał do czynienia z narkotykami. I postawił wiele oczywistych pytań, których nikomu innemu, łącznie z policją, nie chciało się zadawać. Podobne pytania zadawała obrona w czasie procesu. Dlaczego miałbym zamordować swoich rodziców, zwłaszcza w środku dnia w zatłoczonej restauracji? I dlaczego miałbym zamordować swoją matkę, skoro byłem skłócony jedynie z ojcem?

- Sama zadawałam sobie te pytania. Nawet, kiedy byłam przekonana o twojej winie. Ale w tej restauracji miałeś tak rozwścieczony wyraz twarzy... Przepraszam - dodała szybko. - Przejęczyłam się, on miał tak rozwścieczony wyraz twarzy.

- W porządku. - To jej przejęczenie zmroziło mu jednak na chwilę krew w żyłach.

- Wydawał się tak wściekły - kontynuowała - więc nietrudno było uwierzyć, że to człowiek, który nie ma już nic do stracenia.

Te słowa wryły się na zawsze w pamięć Bena. Zaraz po morderstwie gazety powtarzały je bez końca, a potem to samo mówili świadkowie w sądzie.

„Nie będę kandydował do Senatu - powiedział zabójca Antoniowi DeCarlo. - Mam dosyć twojego wtrącania się w moje życie. Możesz rządzić tym miastem, ale nie będziesz rządzić mną”.

- Ben? Kto mógł wiedzieć, co powinien mówić zabójca? Może w tym jest jakiś klucz?

- Nie, nie sędzę. Mój ojciec i ja byliśmy skłóceni od dłuższego czasu i wszyscy wiedzieli, że chce, bym zajął się polityką.

- Dlaczego?

- No cóż, wiesz chyba, czym on się zajmował. A tacy ludzie potrzebują czasami wsparcia polityków. Więc zdecydował, że skoro nie poszedłem w jego ślady, powinienem chociaż kandydować na stanowisko, na którym mógłbym mu od czasu do czasu pomóc.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Nie masz pojęcia, co to za ludzie, Monique.

- Ale dlaczego ty taki nie jesteś? To znaczy cieszę się, że nie, ale przecież wychowywałeś się w domu ojca...

- Nie wiem. Może to zasługa mojej matki. W każdym razie wyrobiłem sobie prawidłowe pojęcie o tym, co dobre, a co złe. A kiedy zorientowałem się, kim jest mój ojciec - byłem wtedy jeszcze dzieckiem - wszystko między nami uległo zmianie. Nienawidziłem... nie, to zbyt mocne słowo - już nigdy potem nie byłem z nim blisko. Zawsze marzyłem, żeby był murarzem albo nauczycielem, kimkolwiek, tylko nie członkiem Mafii Południa. Ale nigdy, nigdy bym go nie zabił.

- Wiem - powiedziała miękko Monique. - Teraz musimy tylko to udowodnić.

Ben objął ją ramieniem i długo całował, żałując, że nie może spędzić na tym całego wieczoru. Potem niechętnie sięgnął po telefon i wystukał numer Farrisa Quinna.

- Quinn - odpowiedział zmęczony męski głos.

- Ma pan chwilę?

- Kto mówi?

- Ben DeCarlo.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

- Skąd mam mieć pewność? Proszę powiedzieć mi o sobie coś, czego nie było w wiadomościach.

- Ma pan długopis?

- Uhm.



- Dobrze, proszę zapisać ten numer - 555 - 1623. To zastrzeżony numer mojej siostry. Niech pan zadzwoni i powie, że prosiłem pana, żeby pan zapytał, skąd wzięła się blizna na jej prawym udzie. W dzieciństwie przewróciła się, trzymając w dłoni nożyczki.

- Skąd mam wiedzieć, że to akurat z nią rozmawiam.

- Proszę pójść i odwiedzić ją, jeżeli pan woli.

- Zacznę od telefonu. Niech mi pan poda swój numer, oddzwonię po rozmowie z nią.

- Proponuję, żebyśmy najpierw porozmawiali, a potem mnie pan sprawdzi. Jestem teraz za granicą, szkoda pieniędzy na rozmowy międzynarodowe.

Reporter zaśmiał się krótko.

- Bardzo rozsądnie.

- Wie pan, że nikt nie może dowiedzieć się, gdzie jestem, Quinn. Ale potrzebuję pomocy. Chcę udowodnić, że jestem niewinny, a to dość trudne, zważywszy, że nie ośmielę się zbliżyć do Nowego Orleanu bardziej niż na tysiąc kilometrów.

- I to ja mam panu pomóc?

- Tak. Pisze pan dużo o przestępstwach. A to znaczy, że zna pan wielu gliniarzy.

- Kilku.

- A więc pewna kobieta, Felicia Williams, została zamordowana w noc poprzedzającą moją ucieczkę. Policja znalazła jej ciało w jakiejś uliczce i muszę dowiedzieć się, co odkryli na temat tego zabójstwa. Podejrzani, dowody, cokolwiek.

Wszystko, pomyślał gorączkowo, wszystko, co mogłoby doprowadzić do jej zabójcy.

- Miała coś wspólnego z pana ucieczką?

- Nie. - To nie było do końca kłamstwo. Miała pomóc, ale nie znalazła się wtedy przed gmachem sądu.

- Więc po co panu informacje na temat jej śmierci?

- Nie mogę teraz tego powiedzieć.

- Dlaczego zatem mam szukać tych informacji?

- Bo to świetny temat. A jeżeli uda mi się znaleźć człowieka, który naprawdę zamordował moich rodziców, otrzyma pan ode mnie wyłączność.

- A jeżeli się nie uda?

- Tak czy inaczej, temat będzie należał do pana. Ma pan moje słowo. A jeżeli coś mi się stanie - dodał, patrząc na Monique - jest ktoś, kto opowie panu wszystko.

- Kto?

- Przyjaciółka w Nowym Orleanie. Ma na imię Anne, dam panu jej numer - powiedział, podając mu numer komórki. - Może pan przekazać jej wiadomość dla mnie, kiedy już dowie się pan czegoś na temat Felicii.

Reporter nie odpowiadał.

- Hmm - mruknął wreszcie.

- Naprawdę jestem niewinny, Quinn. Jeżeli mi pan pomoże, pomoże pan znaleźć prawdziwego mordercę.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział w końcu Quinn. Ben odłożył słuchawkę,

- Poszedł na to.

- Och, Ben - wyszeptała, obejmując go mocno. Potem odsunęła się lekko, wciąż obejmując go za szyję. - Coś przyszło mi na myśl.

- Co takiego?

- Kiedy pierwszy raz na ten temat rozmawialiśmy, powiedziałeś, że to Nos stoi za zabójstwem Felicii, bo w jakiś sposób dowiedział się, że planujesz ucieczkę i chciał popsuć ci szyki.

Ben pokiwał głową.

- Dlaczego więc po prostu nie zadzwonił na policję i nie powiedział im o tym? Wtedy każdy gliniarz w mieście pilnowałby sądu.

- Tak, masz rację. Ale mówiłem ci, że nie masz pojęcia, co to za ludzie. Oni myślą innymi kategoriami. Kimkolwiek jest Nos, policja to jego wróg. Nigdy nie dałby im satysfakcji zastrzelenia mnie na środku ulicy. Sam chciał się tym zająć.

- Ale jego plan się nie udał. Uciekłeś bez pomocy Felicii, więc jej śmierć w niczym mu nie pomogła.

- Może... może miał jakieś wsparcie, które zawiodło, nie wiem, Monique, naprawdę. Wiem tylko, że był to ktoś, kto nienawidził mojego ojca wystarczająco, by go zabić, a mnie na tyle, bym został oskarżony.

- Ilu może być takich ludzi?

Wzruszył ramionami.

- Wielu ludzi nienawidziło mojego ojca. Ale nie mam pojęcia, kto mógł tak bardzo nienawidzić mnie.

Przez kilka ostatnich tygodni poprzedzających tłusty wtorek (Tłusty wtorek - ostatni dzień karnawału, odpowiednik polskiego tłustego czwartku) w Nowym Orleanie odbywały się karnawałowe parady. Jedna z nich przechodziła właśnie tego wieczoru przez Canal Street. Ben uznał, że nie ma sensu opuszczać mieszkania, dopóki parada się nie skończy i tłumy się trochę nie przerzedzą.

Kiedy zjedli kolację i wyszli razem na balkon, obserwując to, co działo się na ulicy, Monique zrozumiała, co miał na myśli Ben. Dzielnica francuska była wypełniona ludźmi, tysiące widzów ustawiło się wzdłuż Canal Street na długo przed pojawieniem się pierwszego błyszczącego wozu, wiozącego króla parady - przebranego za Henryka VIII.

Za nim ciągnął się nieprzerwany strumień innych, oświetlonych pochodniami wehikułów, którymi jechali przebrani w kolorowe stroje ludzie. Maszerowały orkiestry, a wokół całego tego zamieszania widać było gdzieś tam policjantów na motocyklach i koniach, usiłujących utrzymać chociaż pozory porządku.

Parada była równie hałaśliwa, jak kolorowa. W przerwach, kiedy nie grała muzyka, rozbrzmiewały okrzyki widzów: „Hej, rzućcie mi coś”, nakłaniających przebierańców do rzucania im plastikowych paciorków i innych pamiątek.

- To miasto - powiedział Ben, obejmując Monique w pól - pograża się w takim chaosie na dwa tygodnie każdego roku. Wielu nowoorleańczyków nie jest w stanie tego znieść, więc spędzają karnawał na nartach w Colorado.

Monique pokiwała głową, zdając sobie sprawę, że pograżona w karnawałowym podnieceniu zapomniała o ich planach. Teraz jednak perspektywa wizyty w mieszkaniu Sandora Rossiego znów zajęła ją bez reszty, niepokojąc, mimo że było to następne logiczne posunięcie.

Musieli dowiedzieć się, kto stał za jego decyzją o wycofaniu się z zeznań. Wtedy ustalą tożsamość Nosa. A przynajmniej tożsamość jednego z jego najbardziej zaufanych ludzi. Ale żeby zdobyć te informacje, musieli najpierw dowiedzieć się, gdzie jest Rossi. Najlepiej było zacząć od jego mieszkania.

Jednak Rossi równie dobrze mógł znajdować się na dnie jeziora.

Lloyd Granger ostrzegwał ją, że ta gra jest niebezpieczna. Zapomniał jednak dodać, że Monique nie ma w niej doświadczenia.

- Parada już się kończy - powiedział Ben, odwracając się od barierki. - Zadzwoń do Deziego i zapytam, czy nadal nie ma żadnych informacji o Rossim.

- Czy Dezi nie zadzwoniłby do ciebie, gdyby coś wiedział? Pomyśl...

- Tak,.. Pewnie masz rację. Możemy więc chyba równie dobrze pojechać do tego mieszkania i spróbować coś znaleźć.

Wziął ją za rękę i przytulił.

- Będziemy bezpieczni - wyszeptał w jej włosy. - Policja naprawdę myśli, że jestem gdzieś bardzo daleko. Przestali śledzić Marię, a Dezi jest pewien, że nie kręcą się już koło winiarni. Więc na pewno nie pilnują też mieszkania Rossiego.

- Ale jak tam wejdziemy?

- Za pomocą tego. - Ben wyjął z kieszeni klucz. - Ktoś pożyczył go sobie na dość długo, żeby zdążyć bez problemu dorobić drugi.

- Ktoś?

- Przyjaciel przyjaciela.

Wiedziała, co ma na myśli - przyjaciel Marii albo Deziego - zresztą to bez znaczenia. Najważniejsze, że nie muszą próbować otworzyć drzwi kartą kredytową albo wytrychem.

Monique wróciła do sypialni po swoje rekwizyty: perukę i okulary. Kiedy stamtąd wyszła, Ben wciąż jeszcze stał bez ruchu na balkonie.

- Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas ulice będą zupełnie zakorkowane. Powinniśmy przejść kawałek, zanim złapiemy taksówkę.

Wzięli płaszcze i wyszli. Po raz pierwszy od ich przyjazdu do Nowego Orleanu Ben wyszedł z mieszkania. Monique ogarnęły ogromne obawy - a jeśli jego przebranie nie jest tak dobre, jak myśleli, i ktoś mimo wszystko go rozpozna? A jeśli policja obserwuje jednak mieszkanie Rossiego? A jeśli...

Z trudnością przełknęła ślinę. A jeśli Rossi nie uciekł z miasta ani nie pływał w Jeziorze Pontchartrain? Jak powinni zareagować, jeśli wejdą do mieszkania i znajdą martwe ciało?

22:43

Sandor Rossi mieszkał w niskim budynku blisko St. John.

Kiedy udało im się otworzyć drzwi wejściowe, bijące z szaloną szybkością serce Monique uspokoiło się trochę, a kiedy dotarli do drzwi Rossiego, nie spotykając na szczęście nikogo po drodze, wróciło do niemal normalnego rytmu.

Ben otworzył drzwi i zapalił światło. Ich oczom ukazał się schludny salon; ku jej olbrzymiej uldze, nigdzie nie dostrzegła leżącego ciała. Ale to nie był jedyny pokój w mieszkaniu.

- Rozejrzyj się tutaj - powiedział Ben - a ja sprawdzę sypialnię.

Skinęła głową, zastanawiając się, czy jemu też przyszło do głowy, że mogą znaleźć ciało Rossiego. Nie zapytała jednak, a kiedy nie odezwał się po wejściu do sypialni, wiedziała, że wszystko jest w porządku.

Na kanapie nie było nic, tak samo na krześle i na telewizorze. Na stoliku leżały tylko program telewizyjny, pilot i kilka nie zapłaconych rachunków. Obok nich - stos gazet: „Penthouse”, „Playboy” i „Soldier of Fortune”. Nic, co stanowiłoby dla nich jakkolwiek wskazówkę.

Wchodząc do kuchni, Monique zauważyła stojący na blacie telefon. Obok niego leżały mały notatnik i otwarty notes z adresami.

Czując, jak po plecach przechodzą jej dreszcze podniecenia, szybko podeszła do blatu. Notatnik był pusty, więc przyjrzała się notesowi. Leżał otwarty na literze G, pod którą widniało kilka nazwisk. Niektóre miały adresy, inne tylko numery telefonów.

Zapewne do jednej z tych osób dzwonił Rossi, zanim zniknął. Ale do której?

Zamierzała wybrać którąś losowo, gdy nagle przypomniała sobie, co kiedyś widziała w kinie. Wzięła do ręki długopis, podniosła słuchawkę i nacisnęła przycisk ponownego wybierania, słuchając uważnie.

Kiedy już zanotowała wszystkie cyfry, odłożyła powoli słuchawkę i sprawdziła, czy pasują do któregoś z numerów w notatniku.

Pasowały. Przy numerze napisane było po prostu Grace. Ale to, że zadzwonił do jakiejś kobiety, nie znaczyło, że...

- Monique? - Usłyszała głos Bena.

Kiedy odwróciła się, stał w drzwiach do kuchni, a jego oczy ożywiało podniecenie.

- Wiem, gdzie poszedł. Zobacz, co znalazłem w sypialni w koszu na śmiecie.

Podał jej pognieciony kawałek papieru. Był na nim zapisany numer lotu i słowa: "Ląduje na La Guardia o 7:17".

Monique poczuła przyspieszone bicie serca i wskazała ręką na notatnik z adresami.

- Ostatnią osobą, do której dzwonił, była jakaś Grace. Numer kierunkowy 718 oznacza, że ona mieszka gdzieś w pobliżu Manhattanu. Ale to „gdzieś” to niestety strasznie duży obszar.

Ben wpatrywał się przez chwilę w otwartą stronę.

- Dlaczego zapisał ją pod G od Grace, kiedy wszystkich innych zapisywał pod pierwszymi literami nazwiska?

- Może bardzo dobrze ją znał?

- Albo może... Zadzwoń pod ten numer i poproś Grace Rossi. Założę się, że to jego siostra.

Monique ponownie przycisnęła redial. Po kilku dzwonkach w słuchawce odezwał się męski głos.

- Czy mogę rozmawiać z Grace Rossi?

- Nie, wyszła.

- Czy rozmawiam z jej mężem?

- Nie, Grace nie jest zamężna.

- Cóż, proszę jej powiedzieć, że dzwoniła Carol.

- Dobra.

Monique odłożyła słuchawkę.

- Chyba go znaleźliśmy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Sobota, 8 lutego 10:07

Od chwili, kiedy dotarli na lotnisko międzynarodowe w Nowym Orleanie, do momentu, gdy ich samolot oderwał się od ziemi, Ben był nieludzko zdenerwowany. Wiedząc, że nie uda mu się przejść przez posterunek ochrony z pistoletem, zapakował go do małej walizki razem z rewolwerem, który zdobył dla Monique. I choć nadawanego bagażu nie prześwietlano, cały czas obawiał się, że nagle otoczy ich policja.

Dopiero kiedy samolot wreszcie wzniósł się w powietrze, Ben spróbował powoli się odprężyć. A gdy dotarli na La Guardia, zaczął nawet myśleć, że być może szczęście im sprzyja.

Odnalezienie adresu Grace nie zajęło im dużo czasu. Wystarczyło sprawdzić, który z adresów G. Rossi na Brooklynie odpowiadał jej numerowi. Dojechali na miejsce taksówką.

Grace mieszkała tuż obok Bedford Avenue, w niskim, skromnym budynku ze staromodnym domofonem przy drzwiach.

- G. Rossi, 212 - powiedział. Sandor Rossi był tak blisko, że niemal mógł wyczuć zapach tego drania.

- Ciekawe, czy Rossi pozna mnie w tym przebraniu - dodał, gdy czekali, aż ktoś będzie wchodził albo wychodził z budynku. - Nie zna mnie zbyt dobrze, ale widzieliśmy się kilka razy.

Monique spojrzała na niego, przesuwając wzrokiem po naciśniętej na oczy czapeczce baseballowej, brodzie, kurtce lotniczej, dżinsach i trampkach.

- Nie sądzę, żeby cię poznał. Wyglądasz raczej jak fan Yankesów, desperacko potrzebujący maszynki do golenia.

Uśmiechnął się. To i tak lepiej, niż gdyby miał wyglądać na uciekającego kryminalistę.

Kiedy z klatki schodowej wyszła kobieta z dzieckiem, przytrzymał jej uprzejmie drzwi, po czym wpuścił Monique do środka. Wbiegli po schodach na drugie piętro i podążyli wzdłuż korytarza.

- Dobra, zaczynaj - powiedział, opierając się plecami o ścianę obok drzwi i podając jej skórzaną walizkę.

Uśmiechnęła się do niego nerwowo, po czym przyglądała peruce i upewniła się, czy pistolet spoczywa bezpiecznie w kieszeni płaszcza. W końcu zapukała.

Ben usłyszał odgłos kroków w mieszkaniu, po czym zapadła cisza. Ktoś na pewno wyglądał przez wizjer i przyglądał się Monique.

- Tak? - usłyszał w końcu kobiecy głos.

- Jestem konsultantką Avonu - powiedziała Monique.

- Przykro mi, ale niczego w tej chwili nie potrzebuję.

- W takim razie zostawię, tylko pani próbkę naszego najnowszego zapachu. Na pewno się pani spodoba. To najlepszy produkt, jaki nasza firma kiedykolwiek wprowadziła na rynek.

- No dobrze.

Ben wstrzymał oddech, słysząc, jak Grace Rossi zdejmuje łańcuch i otwiera drzwi. Błyskawicznie wpadł do przedpokoju, złapał ją jedną ręką za ramię, jednocześnie drugą zatykając jej usta. Monique weszła do środka i zamknęła drzwi. Grace opierała się o ścianę z wyrazem twarzy człowieka, który wie, że za chwilę umrze.

- Posłuchaj - szepnął Ben. - Mam pistolet, ale nikomu nic się nie stanie, jeżeli będziesz robiła to, o co cię poproszę. Chcę tylko porozmawiać z twoim bratem.

Z miejsca, w którym stali, widać było fragment salonu. W telewizorze leciała jakaś hałaśliwa kreskówka. Zanim Ben zdążył powiedzieć coś jeszcze, z salonu dobiegł męski głos.

- Grace? Kto to był?

- To Rossi - szepnął Ben, spoglądając na Monique. - Pilnuj jej.

Monique ostrożnie wyjęła pistolet z kieszeni i wymierzyła go w Grace.

- Kiedy cię puszczę, masz być zupełnie cicho - powiedział, powoli zdejmując rękę z jej ust.

Wyjął rewolwer zza paska od spodni, przeszedł szybko przez korytarz, wszedł do salonu i skierował broń w stronę Sandora Rossi.

Mimo że był luty, facet miał na sobie tylko siatkową koszulkę i szorty. Przez chwilę patrzył na Bena, po czym zbladł.

- Kim jesteś? - wybełkotał. - Czego chcesz?

- Nie poznajesz mnie? Być może powinieneś być lepiej mi się przyjrzeć w sądzie.

- O cholera! Ben!

- Zgadza się. Spokojnie, wszystko będzie w porządku, jeżeli powiesz mi, kim jest Nos.

- Cholera, chciałem tylko pomóc.

- Pewnie. Więc pomóż. Kim on jest?



Na czole Rossiego pojawiły się kropelki potu.

- Liczę do dziesięciu. Jeżeli mi nie odpowiesz, przestrzelę ci kolano, a potem powoli będę się posuwał w górę.

- Ja... dobrze, Ben, powiem ci całą prawdę. Nie ma kogoś takiego jak Nos. To znaczy był, ale już nie żyje. Umarł w zeszłym roku, nazywał się Carmine Franco.

Ben natychmiast przypomniał sobie Franca. Widział go u nich w domu kilka razy, dawno temu. Franco należał do Mafii Południa, ale gdy umierał, był już starym człowiekiem. Nie załatwiał żadnych „interesów” od lat.

- Nie wierzę ci - powiedział w końcu Ben. - Dlaczego Franco miałby zabić mojego ojca? Dlaczego miałby mnie zrobić?

- Nie chciał.

- Więc po co, do cholery, o nim mówisz? Kto mnie zrobił?

- Ben, nie wiem, naprawdę.

- Słuchaj, jeżeli będziesz próbował ze mną takich gier, to przysięgam, że będziesz równie martwy, jak Franco.

- Nie gram w żadne gierki. Przysięgam na Boga. Próbuję tylko wytłumaczyć ci, że nie mam pojęcia, kto zabił twoich rodziców. Albo kto cię w to zrobił. Nic nie wiem! To, co mówiłem, było tylko częścią planu.

- Planu?

- Tak, Franco przecież nie żyje, więc nic nie mogło mu już zaszkodzić. Pomyślałem, że jeżeli zrzucę winę na konkretną osobę, to cię wypuszczą. Wiedziałem, że jesteś niewinny i...

- Tak, na pewno - rzucił Ben. Czuł, jak złość i rozczarowanie gotują się w nim i ledwo nad sobą panował.

Był pewien, że Rossi da mu odpowiedź, której tak bardzo pragnął. Ale drań albo był doskonałym aktorem, albo mówił prawdę. A jeżeli rzeczywiście nic nie wiedział, to cała ta wyprawa była tylko stratą czasu.

- Ben, mówiłem ci już, że próbowałem pomóc. Miałem dostać trochę pieniędzy, a ty miałeś wyjść z więzienia.

- Nie obchodziło cię, czy stamtąd wyjdę, czy nie, więc co z tymi pieniędzmi? Kto ci zapłacił i za co?

- Żebyś powiedział, co wiem. Żebyś mógł mieć ponowny proces.

- Przecież właśnie powiedziałeś, że nie masz o niczym pojęcia!

- Ben?

Głos Monique zaskoczył go, więc oderwał wzrok od Rossiego i spojrzał w bok. Wciąż trzymała jeszcze Grace na muszce, ale wprowadziła ją do salonu.

- Co? - rzucił, odsuwając się nieco do tyłu, tak, żeby móc widzieć Monique i pilnować Rossiego. Wyraz jej twarzy nakazał mu spokój.

- Nigdzie się nie spieszymy - powiedziała cicho - więc dlaczego po prostu nie pozwolisz mi opowiedzieć całej historii od początku?

Oddychając głęboko, Ben przyznał jej rację. Powinien uspokoić się i pozwolić draniowi mówić. Jeżeli wiedział cokolwiek użytecznego, na pewno to powie, nawet o tym nie wiedząc.

- Dobrze - powiedział. - Zaczynaj od początku.

- Nie mógłbyś najpierw odłożyć spluwy?

Ben gestem nakazał Grace usiąść na kanapie obok brata, po czym opuścił rewolwer.

Rossi natychmiast poczuł się spokojniejszy, ale widać było, że Grace jest wciąż przerażona. Wcisnęła się w kąt kanapy, tak daleko od brata, jak tylko mogła.

- Więc - zaczął Rossi - po pierwsze, wiedziałem przez cały czas, że jesteś niewinny.

Powtórzył to już drugi raz i mimo że najprawdopodobniej kłamał, puls Bena przyspieszył.

- Widziałem cię u Marii. Tuż przedtem, jak morderca wszedł do restauracji.

- Co?

- Naprawdę. - Rossi pokiwał szybko głową. - Przywoziłem coś Dominickowi tego ranka. Siedziałem tam, bo chciał, żebym coś jeszcze dla niego później zrobił; Więc twoja ciotka Rose poprosiła mnie, żebym wpadł do Marii i zawiózł jej jakieś zdjęcia - w międzyczasie, ma się rozumieć. Zgodziłem się.

Ben powrócił pamięcią do tamtego dnia. Pojechał do Marii, żeby zaplanować rocznicowe przyjęcie dla rodziców. Kiedy wszedł, oglądała właśnie zdjęcia, które Dominick zrobił na ostatnim rodzinnym spotkaniu.

- Wracalem właśnie do samochodu - kontynuował Rossi - kiedy podjechałeś pod budynek i wszedłeś do środka.

- Mówisz poważnie?

- Przysięgam na Boga.

- Dlaczego więc - spytał Ben, usiłując ukryć targającą nim wściekłość - dlaczego więc nie powiedziałeś tego policji?

- Bo... Na początku byłem zbyt przerażony. Po tym, jak zostawiłem Marii zdjęcia, wróciłem do Dominicka. Kiedy całą tę historię z morderstwami pokazywano w telewizji, byłem tam i Dominick tak się wkurzył, że aż kopnął ekran. Spiker mówił, że ty to zrobiłeś, Ben i przysięgam, że gdybyś wtedy wszedł do tamtego domu, twój wuj udusiłby cię gołymi rękami. Wiesz, jak się zachowuje, kiedy jest wściekły. Bałem się, że jeżeli zacznę coś mówić, rzuci się na mnie.

- Ale mogłeś powiedzieć to glinom! Mogłeś zgłosić się i zeznawać! Potwierdziłbyś przynajmniej zeznania Marii. Do jasnej cholery, Rossi, nie wylądowałbym wtedy w więzieniu!

- Nie, przysięgli nie uwierzyli Marii, więc na pewno nie uwierzyliby takiemu nieudacznikowi jak ja.

Patrząc na Rossiego, Ben pomyślał, że jeżeli naprawdę byłby mordercą, to światu przybyłoby w tej chwili dwóch nieboszczyków. Czuł teraz dokładnie to samo co wówczas, kiedy Duch napadł na Monique.

- Ben? - powiedziała. Popatrzył na nią.

- Co się stało, to się nie odstanie. Nie zmienimy tego. Posłuchajmy, co jeszcze ma nam do powiedzenia. - Odwróciła się w stronę Rossiego. - Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? Dlaczego skontaktowałeś się z prawnikami Bena i pomogłeś im we wznowieniu procesu?

- Bo pomyślałem, żeby zrzucić winę na Carmine Franca. Moje słowo, że widziałem Bena u Marii, nie wystarczyłoby.

- Ale... - Monique umilkła na chwilę, jakby usiłując ułożyć wszystko w logiczną całość. - Nie słyszałam co prawda wszystkiego od początku, ale w tym, co mówiłeś o Carmine Francu, nie ma nawet cienia prawdy? To tylko twoja imaginacja?

- Moje co?

- Chciała powiedzieć, że wszystko sobie zmyśliłeś - rzucił Ben zniecierpliwionym tonem.

- Ach. Tak.

- Dlaczego? - zapytała Monique.

- Chciał dostać pieniądze - mruknął Ben.

- Od kogo?

Właśnie, Ben nie zadał tego pytania wcześniej.

- Od kogo? - powtórzył za Monique i podniósł z powrotem broń, ale drań po prostu wzruszył ramionami.

Grace wcisnęła się jeszcze głębiej w róg kanapy.

- Dobra, dobra - powiedział szybko Rossi. - Dostałem pieniądze od twojej siostry, przysięgam na Boga.

Ben pokiwał głową. Podejrzewał, że to Maria przekupiła Rossiego, ale skoro sama o tym nic nie mówiła, postanowił jej nie pytać.

- Powiedziałem jej, że cię wtedy widziałem - kontynuował Rossi - i wiem, że to Franco cię zrobił.

- I powiedziałaś też, że opowiesz tę historyjkę moim prawnikom za odpowiednią cenę. Jesteś ostatnią szumowiną, Rossi, wiesz o tym?

- Ale zmieniłaś zdanie - naciskała dalej Monique, przerywając Benowi, zanim zdążył dać upust złości. - Dlaczego?

Rossi znów wzruszył ramionami, po czym spojrzał na Bena i najwyraźniej zdecydował, że szybka odpowiedź będzie jak najbardziej na miejscu.

- Kazano mi.

- Kto ci kazał? - zapytał Ben. Wreszcie docierali do sedna sprawy.

- Cóż... Nie spodoba ci się chyba, co powiem, ale to był Dominick. Wydawało mi się, że po tak długim czasie nie będzie miał nic przeciwko temu. Może nawet będzie zadowolony, że to nie jego siostrzeniec zamordował własnych rodziców. Ale myliłem się. Kiedy dowiedział się, że pomagam ci wznowić proces, myślałem, że mnie zabije. Powiedział, że zamordowałaś jego brata, więc więzienie to najlepsze miejsce dla ciebie i powinieneś gnić tam do końca życia.

Ben odetchnął powoli, czując, jak ogarnia go rozczarowanie. Tak naprawdę do niczego nie doszli.

Ale nie był zdziwiony. Dominick DeCarlo nie należał do ludzi kierujących się rozumem czy też zdolnych do kompromisu. Od czasu morderstwa nie odezwał się do Bena ani słowem. Do Marii też nie - jedynie przeklął ją, gdy przysięgła, że Ben był z nią w czasie zabójstwa.

Według niego Antonio i Bethany DeCarlo zostali zamordowani przez własnego syna. A jeśli Dominick raz już w coś uwierzył, nie było możliwości przekonania go, że się myli.

- No bo - kontynuował Rossi - Dominick wiedział, że Carmine Franco nie miał żadnego powodu, by zabić twojego ojca, więc nie uwierzył w tę część mojej historii. Nie uwierzył też, że widziałem cię u Marii. Według niego Maria mnie namówiła, bym tak twierdził. Zagroził, że jeżeli powiem to w sądzie, będę martwy jeszcze przed zachodem słońca.

Kiedy Ben spojrzał na Monique, w jej brązowych ciepłych oczach ujrzął odbicie własnych myśli. Co wobec tego robimy?

17:51

Przez całą drogę z lotniska Ben nie odezwał się ani słowem, tak samo zresztą, jak podczas lotu z Nowego Jorku. Po prostu nie miał ochoty na rozmowę i Monique w końcu zrezygnowała z zagadywania go.

Znalezienie Sandora Rossiego nie przyniosło im absolutnie nic. I mimo że zagroził zarówno Rossiemu, jak jego siostrze, że zabije ich, jeżeli tylko ośmielą się pisać słówko, wiedział, że Rossi powiadomi policję. Ciężko mu będzie oprzeć się pokusie nagrody za głowę Bena.

Rossi nie wiedział zbyt wiele. Jedynie to, że Ben był w Nowym Jorku i że zapuścił brodę. Ale jeżeli powiadomi policję, na pewno wspomni o towarzyszącej mu kobiecie. A to oznacza, że policja nie będzie już szukać samotnego mężczyzny.

Kiedy taksówka zatrzymała się, Ben postanowił przestać się martwić tym, co mogą zrobić inni ludzie, i skoncentrować się na tym, co on sam powinien zrobić, choć nie miał żadnego pomysłu.

Może przy odrobinie szczęścia Farris Quinn dowiedział się czegoś albo może poszukiwania Deziego dały jakiś rezultat.

Kiedy tylko weszli do mieszkania, Ben włączył komórkę. Zadzwoiła natychmiast - w skrzynce pocztowej były nie odsłuchane wiadomości.

Kiedy wybierał numer poczty głosowej, Monique zdjęła perukę i rozpuściła włosy. Odsłuchał wiadomości od Marii i Deziego, ale żadne z nich nie miało nic nowego do powiedzenia.

Pozostało jeszcze jedno nagranie. Od Farrisa Quinna.

- Coś ciekawego? - zapytała Monique.

- Tak - pokiwał głową. - Dzwonił Farris Quinn. Kiedy wystukiwał numer Quinna, przysunęła się bliżej.

Podnosząc słuchawkę do ucha, objął Monique w pasie, czując jej zachwycające krągłości.

Miał wrażenie, że znają się od zawsze. Ze wszystkiego co straci, jeżeli mu się nie uda, ona była najważniejsza.

- Farris Quinn - usłyszał głos reportera.

- Ben DeCarlo. Dostałem pana wiadomość.

- Mam dla pana informację.

- Świetnie - Ben poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Monique odsunęła się i usiadła na kanapie, nie odrywając od niego oczu.

- No, nie powiedziałbym, że jest to aż „świetna” informacja. Nie ma tego dużo, ale dowiedziałem się trochę na temat Felicii Williams. Była kelnerką, pracowała w najgorszych melinach w dzielnicy francuskiej. Ostatnio w „Misty Bayou”, na Decatur Street. Policja weszła tam, ale tej nocy, kiedy zginęła, nie było jej w pracy i nikt nic nie wie.

- Gliniarze nie mają żadnych śladów? Żadnych podejrzanych?

- Niewiele. Nie poświęcają zbyt wiele uwagi tej sprawie. Cały czas usiłują złapać ciebie, więc inne śledztwa odłożyli na bok.

- Czyli nie mają nic? - powiedział Ben, czując narastającą frustrację.

- Nie powiedziałem, że nic: Powiedziałem: niewiele. Felicia była w klubie ze striptizem tej nocy - pracowała tam kiedyś, rok czy dwa lata temu. Klub nazywa się „Twinkle” i znajduje się na...

- Wiem - przerwał mu Ben.

- Naprawdę? Znasz też właściciela?

- Tak, Danny koniecznie chciał mnie poznać, ponieważ jestem właścicielem winiarni „Crescent”. Myślał chyba, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Quinn zaśmiał się swoim krótkim, urywanym śmiechem. Potem powiedział:

- Chyba to, że i tu, i tam sprzedaje się wino.

- Cóż, nie jestem do końca pewien, czy to, co sprzedaje Danny Dupray, można nazwać winem. Ale skoro Felicia była u niego tej nocy, to może był tam i morderca.

- Możliwe, choć mało prawdopodobne. Z jakiegoś powodu postanowiła wracać piechotą do domu, chociaż mieszkała daleko, na Iberville.

- To kawał drogi.

- Tak. Ale prawie się jej udało. Alejka, w której znaleziono ciało, znajduje się tylko kilkaset metrów od jej mieszkania. Więc jeśli ktoś

śledziłby ją od samego klubu, to prawdopodobnie zabiłby ją wcześniej.

- Tak, to chyba ma sens.

- W każdym razie, gliniarze rozmawiali z Dannym Duprayem i jego ludźmi, ale żaden z nich też nic nie wiedział. Więc stwierdzili, że to kolejne przypadkowe zabójstwo. Ale mam też coś, co może cię zainteresować. W torebce Felicii znajdowała się wizytówka medium. To kobieta, nazywa się Cheryl Tremont i pracuje w swoim mieszkaniu na St .Philip. Jej numer to 555 - 8342.

- Czy policja z nią rozmawiała? - zapytał Ben, zapisując numer.

- Tak, ale nic z niej nie wyciągnęli. Powiedziała, że jej rozmowy z klientami są tajemnicą - coś w rodzaju tajemnicy lekarskiej. Nie zależało im na tym na tyle, żeby ją dalej naciskać. Więc... Obawiam się, że to wszystko.

- To i tak więcej, niż wiedziałem pięć minut temu, dziękuję. I nie zapominam o tym artykule.

- Ja też nie, DeCarlo. Będę czekał na jakieś wiadomości. Na razie.

- Na razie - Ben rozłączył się, po czym usiadł na kanapie obok Monique i zdał jej relację z przebiegu rozmowy.

- Sądzisz, że policja ma rację? - zapytała, kiedy skończył. - Zabójstwo Felicii miałoby być tylko przypadkowym morderstwem? I nikt nie próbował przeszkodzić jej w spotkaniu się z tobą następnego dnia?

- Nie wiem - powiedział Ben zmęczonym głosem. - To mógł być przypadek, ale mam przeczucie, że było inaczej.

- Więc mamy dwa ślady do sprawdzenia, prawda? Medium i ludzie z „Twinkle”.

- Tak, medium warto sprawdzić. Ale Danny Dupray i jego ludzie najwidoczniej nic nie wiedzą.

- Albo po prostu policja nie zadała im odpowiednich pytań. To znaczy, jeżeli nie poświęcali tej sprawie zbyt dużo uwagi...

Ben potrząsnął głową.

- Nie mogę tak po prostu pójść i porozmawiać z Dannym Duprayem. Rozpozna mnie, nawet w przebraniu. Poza tym jest nie tylko właścicielem jednej z najgorszych spelun w mieście, ale i policyjną wtyką.

- Więc ja pójdę.

- Nie. Nie chcę, żebyś się tam kręciła.

- Więc może Dezi?

Ben znów potrząsnął głową.

- Wyrzucił kiedyś Danny'ego z „Crescent”, więc jeżeli pojawi się w „Twinkle”, Dupray po prostu splunie mu w twarz.

- Ben - powiedziała cicho Monique - jeżeli żaden z was nie może iść, to pozostają tylko ja albo Maria.

- Nie. Nie pozwolę żadnej z was zbliżyć się do Danny'ego Dupraya. Zadzwoń do tej Cheryl Tremont i razem pojedziemy zobaczyć się z nią.

- A jeśli domyśli się, kim jesteś?

- A skąd miałyby jej to przyjść do głowy? Ja nigdy o niej nie słyszałem.

- Ben, ona jest medium.

Zamilkł na chwilę. Nie wierzył przecież w te wszystkie historie o duchach. Przypuszczał tylko, że Felicia mogła powiedzieć tej kobiecie coś, co im pomoże. Więc zanim Monique zdążyła coś dodać, wystukał numer, który podał mu Quinn.

W słuchawce odezwał się głos automatycznej sekretarki.

- Halo, mówi Cheryl Tremont. Jeżeli chcesz umówić się na spotkanie, podaj swoje nazwisko i numer telefonu. Oddzwonię tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Nazywam się Dick Rogers - powiedział, po czym podał jej numer. - Muszę pilnie z panią porozmawiać. Proszę oddzwonić jak najszybciej, nie zważając na porę.

- Mało prawdopodobne, że oddzwoni dziś wieczorem - powiedziała Monique, kiedy odłożył komórkę.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że to ostatni weekend przed Mardi Gras. Sam mówiłeś, że ludzie spędzają go na zabawie. Prawdopodobnie wróci bardzo późno.

- Powiedziałem jej, że pora nie ma znaczenia.

- Wiem, ale ludzie na ogół nie dzwonią, kiedy myślą, że jest za późno.

- Ona może zadzwonić. Jeżeli naprawdę jest medium, będzie wiedziała, że to ważne.



- Bardzo zabawne - powiedziała, szczypiąc go lekko w ramię. - Mimo wszystko jednak nie sądzę, że oddzwoni dziś wieczorem. Więc zamiast siedzieć tutaj i tracić czas, moglibyśmy pójść do „Twinkle” i...

- Nie ma mowy.

- Jeżeli weźmiesz ze sobą telefon, to będziesz mógł z nią porozmawiać, gdy zadzwoni. Ja mogę wejść do klubu, a ty pokręcisz się trochę dookoła i...

- Nie ma mowy, Monique - powtórzył stanowczym tonem.

- Ale wymyśliłam dobry plan.

- Nie chcę o nim słyszeć.

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym przysunęła się bliżej. Objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Dlaczego myślała, że zostając w mieszkaniu, będą tracić czas?

- Ben? - zamruczała.

- Tak?

- Gdybym ja miała kłopoty, pomógłbyś mi?

- Oczywiście.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham - wyszeptał, całując ją.

- Ja też cię kocham. Dlatego chcę iść do „Twinkle”. Poza tym, co Danny Dupray może mi zrobić w publicznym miejscu?

- Nie, Monique. Absolutnie nie.

- Dobrze... To chociaż posłuchaj przez chwilę, bo im dłużej myślę o tym planie, tym bardziej mi się podoba.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sobota, 8 lutego 20:47

Brukowane ulice dzielnicy francuskiej były tak zatłoczone, że przejście kilku przecznic zajęło im niemal wieki. Ludzie wchodzili i wychodzili z restauracji i barów, tłoczyli się dookoła ulicznych artystów albo włożyli się bez celu, oddychając atmosferą karnawału.

Żaden z przechodniów nie obdarzył Monique i Bena więcej niż jednym przelotnym spojrzeniem, ale wciąż czuła się spięta. Wiedziała, że Ben też jest niespokojny.

- To tam - powiedział, pokazując w głąb Dumaine Street, kiedy skręcili już za róg.

„Twinkle”, które najwyraźniej rozpoczynało kiedyś swoją egzystencję jako teatr, przypomniało Monique pewien obskurny bar na Czterdziestej Drugiej Ulicy na Manhattanie. Na błyszczącej tablicy przed klubem odczytali imiona striptizerek - Hoża Babette i Słodka Mimi.

- Naprawdę mi się to nie podoba - mruknął Ben, ściskając rękę Monique.

- Nic mi nie będzie - powiedziała mu. Ale w miarę, jak zbliżali się do klubu, z którego dobiegały dźwięki głośnej muzyki, ją samą zaczynały ogarniać wątpliwości.

- Wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie - powiedział Ben, przystając na chwilę.

Potrząsnęła głową, choć ten pomysł wydał jej się bardzo kuszący.

- Zadam tylko parę niewinnych pytań.

- Nie podoba mi się to, komu masz zamiar je zadać. Pamiętaj, gdybyś mnie potrzebowała, jestem na zewnątrz.

- Tylko nie stój na środku, bo za bardzo cię widać. Pocałowała go szybko i zmuszając się do uśmiechu, odwróciła się.

Weszła do ciemnej sali pełnej dymu i mężczyzn. Poza striptizerką i kelnerkami była tu jedyną kobietą.

Kilku klientów spojrzęło na nią, ale kiedy zobaczyli, że jest kompletnie ubrana, szybko stracili zainteresowanie.

- Wejście dziesięć dolców - powiedział mężczyzna, który nagle się przed nią zmaterializował. Był łysy, dobrze umięśniony, w uszach miał pełno kolczyków, a na lewym ramieniu duży tatuaż.

- Nie zostaję. Szukam tylko kogoś.

Nie pytając nawet, kogo, bramkarz po prostu odwrócił się do mężczyzny, który wszedł za Monique i wygłosił ten sam tekst. Chwilę potem zwróciła na nią uwagę kelnerka.

Monique szybko podeszła do niej.

- Szukam Danny'ego Dupraya.

- Przykro mi, ale nie potrzebujemy nikogo nowego.

- Nie szukam pracy. Chcę z nim tylko pogadać.

- Muszę mu powiedzieć, o co chodzi.

- O Felicię Williams. Była moją siostrą.

- Och, biedactwo. - Zmęczone rysy kobiety wyraźnie zmiękły, sprawiając, że wyglądała dużo ładniej. W jej oczach widać było szczerze współczucie. - Znałam Felicię i byłam tutaj tej nocy, kiedy ona... Rozmawiałyśmy przez chwilę i... Jak masz na imię?

- Anne.

- Chodź ze mną, Anne. Danny jest na zapleczu.

Monique poszła za nią wzdłuż podwyższenia, obwieszzonego sznurami małych, białych światełek, na tyły budynku, gdzie muzyka nie była aż tak ogłuszająca.

- Tak? - odezwał się męski głos, kiedy kelnerka zapukała do drzwi.

Otworzyła je, ukazując oczom Monique zarzucony papierami pokój i siedzącego za biurkiem człowieka. Był chudy i blady, tak jakby nigdy nie oglądał światła słonecznego, a rysy jego twarzy były tak ostre, że wydał się Monique śmiertelnie niebezpieczny.

- Danny - powiedziała kelnerka - to jest Anne, siostra Felicii Williams. Chce tylko porozmawiać z tobą przez chwilę.

- Siostra Felicii - Danny spojrzał na czarną perukę Monique, a potem taksująco na jej płaszcz.

Niebieskie oczy mężczyzny były puste, a kiedy się jej przyglądał, czuła takie same dreszcze, jak przebywając w pobliżu Ducha.

- Nie jesteś podobna do Felicii - powiedział w końcu.

- Nie, odziedziczyłyśmy różne geny.

- Aha... No cóż, przykro mi z powodu tego, co się stało. Wszystkim nam przykro, prawda, Barb?

Kelnerka pokiwała głową, po czym odwróciła się, żeby odejść.

- Mogłabyś zostać jeszcze przez chwilę? - zapytała szybko Monique. - To znaczy, jeżeli panu to nie przeszkadza. Barb

wspomniała, że rozmawiała z Felicią tej nocy, a każda informacja na temat mojej siostry.

Nawet mając pistolet w kieszeni, Monique nie chciała zostać sam na sam z Dannym Duprayem. Jego słowa brzmiały gładko, ale coś mówiło jej, że powinna być ostrożna.

Kiedy Danny ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami, Barb oparła się o ścianę, nieświadomie szarpiąc dół swojej kusej sukienki, jakby wstydziła się, że ją nosi.

- Widzi pan - kontynuowała Monique - policji nie udało się ustalić zbyt wiele.

- Obawiam się, że tak to zwykle bywa z przypadkowymi morderstwami.

- Tak... Ale nie mogę przestać myśleć, że to zabójstwo nie było jednak przypadkowe. Może udałoby się znaleźć mordercę, jeśli tylko... Felicia mogła coś powiedzieć, kiedy tutaj była. Wszystko, co pamiętacie na temat tamtej nocy, może być pomocne.

- Dobrze, zobaczymy - powiedział Danny powoli. - Była lekko wstawiona, prawda, Barb?

- Lekko.

Danny uśmiechnął się, ukazując drobne, ostre zęby przypominające zęby rekina.

- Wydaje mi się, że bardziej niż lekko. W każdym razie była w doskonałym nastroju. Powiedziała, że trafiło jej się trochę pieniędzy. Zapytałem, czy chodzi o jakiś spadek, ale powiedziała, że nie, ale nie może o tym opowiedzieć. To jakaś nieprawdopodobna historia.

- Wspomniała o spotkaniu z jakimś facetem - włączyła się Barb - następnego dnia. Pamiętam, bo mówiła, że ma mu w czymś pomoce ale on na to nie zasługuje. Wydało mi się to dość dziwne. Zastanawiałam się, dlaczego mu pomaga, skoro tak myśli.

Felicia mówiła o Benie, pomyślała Monique, wodząc zaniepokojonym wzrokiem od Danny'ego do Barb. Na szczęście oni tego nie wiedzą.

Gdy oboje zamilkli, Monique postanowiła przejąć inicjatywę.

- Kiedy wyszła? Czy ktoś wychodził w tym samym czasie? Może ktoś ją śledził?

Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź. To było poważne pytanie. Jeżeli udałoby się ustalić, kto zabił Felicię, kto nie dopuścił do jej spotkania z Benem...

Ale zarówno Danny, jak i Barb potrząsnęli głowami.

- I nic więcej nie pamiętacie?

- Nie - powiedział Danny. - Poza tym, że koniecznie chciała wracać do domu piechotą, zamiast wziąć taksówkę. Powiedziała, że spacer rozjaśni jej umysł.

- Odradzałam jej to - mruknęła Barb. - Wszyscy wiedzą, jak niebezpieczna jest dzielnica w nocy, ale nie chciała słuchać. Była... Sama wiesz, jak potrafiła być uparta, Anne.

Monique pokiwała głową, usiłując wymyślić jakieś końcowe pytanie, które coś by jej wreszcie dało. Jeżeli jej się nie uda, Ben będzie zawiedziony.

- Cóż - powiedział Danny - przykro nam, że nie mogliśmy ci bardziej pomóc, ale Barb musi wracać do pracy, a ja... - Znaczącym gestem przesunął ręką ponad papierami pokrywającymi jego biurko.

- Oczywiście. Dziękuję wam obojgu za czas, jaki mi poświęciliście.

Czując, że poniosła kompletną porażkę, Monique wyszła za Barb z biura i zamknęła za sobą drzwi.

Kelnerka bez słowa poprowadziła ją wzdłuż korytarza, a potem zatrzymała się przed drzwiami do damskiej toalety i rozejrzała się dookoła.

- Wejdz tu ze mną na chwilę - wyszeptła i prawie wepchnęła Monique do ciemnego pomieszczenia.

- Gdyby Danny wiedział, że ci to mówię, zabiłby mnie - powiedziała szeptem. - Kazał mi siedzieć cicho, więc policji nic nie powiedziałam. Ale Felicia była moją przyjaciółką i...

- I?

- Ona nie tylko powiedziała nam, że trafiło jej się trochę pieniędzy. Widzieliśmy je. Tak jak powiedział Danny, była lekko wstawiona i kiedy otworzyła torebkę, żeby coś wyjąć, wypadła z niej koperta. Felicia złapała ją od razu, ale zdążyliśmy zauważyć, że jest pełna banknotów. Mnóstwo, Anne, było tego chyba trzy albo cztery tysiące dolców. A potem.

- Tak?

- Kiedy wyszła, Danny poszedł prosto do biura. Musiałam go o coś zapytać, więc poszłam za nim jakąś minutę później. Ale zatrzymałam się pod drzwiami, bo rozmawiał przez telefon na temat Felicii.

- Na temat Felicii? - powtórzyła Monique, czując szalone bicie serca.

Barb pokiwała głową.

- Nie słyszałam aż tyle, by dokładnie wiedzieć, o co chodziło. Ale potem przyszedł do mnie i powiedział, że jeżeli ktokolwiek zapyta o tę kopertę, to mam udawać, że nic nie wiem. Obawiam się, że w torebce Felicii nie było koperty, kiedy znaleziono ciało. Policja nic na ten temat nie wspomniała, więc nie mogę przestać myśleć, że może Danny...

- Zadzwoił do kogoś i powiedział, że Felicia wraca do domu piechotą i ma przy sobie mnóstwo pieniędzy - dokończyła powoli Monique.

Barb skinęła głową.

- A jeżeli ten ktoś usiłował ją obrabować, a ona z nim walczyła? Może dlatego nie żyje?

- A Danny wie, gdzie ona mieszkała? To znaczy, czy wie, w którym kierunku poszła?

- Pewnie. Od kiedy tu pracowała, mieszkała w tym samym miejscu. Na starych śmieciach, jak to nazywała. Powiedziała, że teraz, kiedy ma trochę pieniędzy, przeprowadzi się. Słuchaj, muszę już wracać - Barb rzuciła zaniepokojone spojrzenie na drzwi.

Monique położyła dłoń na ramieniu kobiety.

- Dziękuję. Pamiętasz coś jeszcze? Cokolwiek?

- Nie, obawiam się, że nie. - Kelnerka postąpiła kilka kroków w stronę drzwi, po czym zawahała się i obejrzała do tyłu. - Właściwie jest jeszcze coś. Nie wiem, dlaczego wypadło mi to z głowy. Może dlatego, że boję się, co mógłby mi zrobić Danny, gdyby wiedział, że z tobą rozmawiam. Koperta nie była czysta. Miała wydrukowaną nazwę firmy i adres - to była jedna z tych reklamowych kopert, wiesz o czym mówię?

- Co to za firma?

- To właściwie nie firma, ale winiarnia „Crescent”. Ten lokal, który należy do Bena DeCarlo.

23:14

Telefon do Deziego potwierdził tylko to, czego Monique dowiedziała się od Barb.

- Zdaje się, że popełniłem błąd, wybierając ją - powiedział Dezi.  
- Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że pójdzie pić z torebką pełną pieniędzy.

- No cóż - odpowiedział mu Ben. - Jeżeli wynajmujesz kogoś do pomocy w ucieczce mordercy, nie możesz spodziewać się rewelacji.

- No tak...

- Nie przejmuj się tym. Nie masz czasu? - dodał Ben, dysząc w tle rozmowy klientów „Crescent”.

- Tak, wszystkie miejsca są zajęte, więc lepiej już pójść. Zarządzanie barem, kiedy właściciela ciągle nie ma, to ciężka robota.

- Bardzo śmieszne. - Ben pożegnał się, po czym usiadł na kanapie obok Monique i objął ją ramieniem.

- Było dokładnie tak, jak myśleliśmy. Kiedy Dezi dał pieniądze Felicji, najwidoczniej poszła to uczcić i skończyła wieczór w „Twinkle”.

Monique powoli potrząsnęła głową.

- Co za ironia losu. Gdyby Dezi wybrał kogoś innego, kogoś, kto nie poszedłby do klubu Danny'ego Dupraya i nie zostałby zamordowany, ty i ja nie byłibyśmy teraz razem.

- Cieszysz się, że jesteśmy?

- Czemu pytasz? - Uśmiechnęła się lekko. - Żałuję, że Felicia nie żyje, ale niczego poza tym.

Przyciągnął ją bliżej i pocałował, zastanawiając się, czym zasłużył na takie szczęście i próbując zignorować myśl, że może ono się skończyć w każdej chwili.

- Chyba już pora do łóżka - zamruczał w końcu. Ciepło jej ciała nie pozwalało mu myśleć o niczym innym, jak tylko o kochaniu się z nią.

- Prawie. - Uśmiechnęła się znowu. - Chcę jeszcze porozmawiać chwilę o Danny'm, o tym, co wtedy zrobił. Jak sądzisz, czy wersja kelnerki może być prawdopodobna? Czy Danny dał komuś znać, że Felicia ma przy sobie sporą sumę pieniędzy? A kiedy nie chciała ich oddać, ten ktoś po prostu ją zabił?

- Wydaje mi się, że jest też inna możliwość. Kiedy Danny zobaczył kopertę ze znakiem firmowym „Crescent”, zapewne dodał dwa do dwóch. Wszyscy spodziewali się, jaki będzie wyrok. Więc Danny doszedł do wniosku, że to ja byłem tym facetem, któremu Felicia miała pomóc. A jeżeli zadzwonił do kogoś, komu się to nie

spodobało, mamy dużo bardziej prawdopodobne wyjaśnienie jej śmierci.

- Ale jeżeli zadzwonił do tego kogoś... Myślisz, że Danny wie, kto cię wrobił? Kto zabił twoich rodziców?

Ben westchnął i pokręcił głową.

- Nie możemy tego wykluczyć. Jest policyjnym donosicielem, ale pracuje też dla drugiej strony, więc wie bardzo dużo na temat tego, co się dzieje w mieście.

- Musimy ustalić, co dokładnie wie. Jeżeli...

- Pytanie tylko, jak - przerwał jej Ben, czując ogarniającą go złość. - Jeżeli ktokolwiek zacznie o mnie pytać, on natychmiast przekaże to dalej. Poza tym powiadomi jeszcze policję i w ten sposób zarobi podwójnie. Więc naprawdę nie wiem, jak możemy...

Nagle rozdzwonił się telefon i Ben gestem nakazał Monique odebrać go. Podali ten numer tak wielu osobom, że nie mógł być pewien, kto dzwoni.

Monique podniosła słuchawkę i po chwili przekazała mu ją.

- Cheryl Tremont - wyszeptała.

- Pani Tremont - powiedział. - Dziękuję, że zechciała pani oddzwonić.

- Chyba nie jest jeszcze za późno?

- W żadnym wypadku. Mam pewien problem i powiedziano mi, że powinienem z panią na ten temat porozmawiać. Możemy się umówić?

- Ach tak. Zostawił pan wiadomość, że to bardzo pilne.

- Zgadza się.

- Cóż, nie przyjmuję w niedzielę, ale możemy spotkać się w poniedziałek rano, jeżeli...

- Pani Tremont, to wyjątkowo pilna sprawa. Jestem gotowy zapłacić podwójnie, jeżeli znajdzie pani dla mnie czas jutro.

- Rozumiem. W takim razie, czy odpowiada panu godzina dziesiąta rano?

- Jak najbardziej. Dziękuję, doceniam pani dobrą wolę.

- Wie pan, gdzie mieszkam?

- Gdzieś na St. Phillip Street, ale nie znam dokładnego adresu.

- W takim razie podam go panu - podała mu numer domu i mieszkania.

Ben zapisał, podziękował i odłożył słuchawkę.



- A mówiłaś - uśmiechnął się do Monique - że dzisiaj nie zadzwoni.

- Z tego, co sobie przypominam, mówiłam tylko, że to mało prawdopodobne, aby zadzwoniła. I co?

- Wydawała się bardzo rzeczowa. Chociaż jestem zdziwiony, że nie zapytała, kim jestem. To znaczy, kim jest Dick Rogers. Albo kto mi ją polecił. To chyba niezbyt bezpieczne, wpuszczać do mieszkania kompletnie nieznanym ludzi?

- De razy mam ci powtarzać, że ona jest medium? - zaczęła go drażnić Monique. - Pewnie rozmawiając z tobą przez telefon stwierdziła, że jesteś zupełnie nieszkodliwy.

- A co, według ciebie to nieprawda?

Rzucił jej spojrzenie z ukosa, a ona się roześmiała. Uświadomił sobie, jak mało mieli do tej pory okazji, żeby razem się śmiać. Jeżeli jednak uda im się dokończyć to, co zaczęli, wszystko się zmieni.

- O czym myślisz? - zapytała go.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, telefon znów zaczął dzwonić. Odebrała, po czym podała mu słuchawkę.

- Dezi - powiedziała tym razem.

- Co słyszeć? - zapytał Ben.

- Nie jestem pewien, ale nic dobrego. Przed chwilą zadzwonił do lokalu Danny Dupray i wypytywał mnie o Monique.

- Co takiego?!

- Uspokój się. Nie wie, kim ona jest.

- Co? - wyszeptała Monique. - Coś jest nie tak? Ben uciszył ją gestem ręki.

- Powiedział tylko, że powinienem być zainteresowany tym, że przyszła do nich jakaś kobieta i pytała go o Felicię.

- I co powiedziałeś?

- Zapytałem: jaką Felicię? Ale widział tę cholerną kopertę, więc wiedział, że ją znam. Strzelał w ciemno zakładając, że wiem, kim jest Monique, bo zorientował się, że na pewno nie siostrą Felicii. Powiedział, że kobieta, która do niego przyszła, miała klasę, więc nie mogła wychować się w tej samej rodzinie co tamta.

- Do diabła.

- Ben, nie jest tak źle. Próbował tylko wysondować, co wiem. A kiedy powiedziałem mu, że nic, nasza rozmowa się skończyła. Powinieneś jednak o niej wiedzieć.

- Dzięki. Ale nie podoba mi się, że ta wesz rozpytuje o Monique.
- I co? - zapytała znowu, kiedy odłożyła słuchawkę.
- Danny Dupray uznał cię za kobietę z klasą - wymamrotał.
- Świetnie, bardzo mnie to wzruszyło.
- Mnie też.

Kiedy przekazał jej wszystko, co powiedział mu Dezi, potrząsnęła głową.

- A właściwie czemu się mną zainteresował?
- Bo żyje ze sprzedaży informacji temu, kto zaproponuje najwyższą stawkę. I ma pewność, że nie jesteś siostrą Felicii. Próbował dowiedzieć się, dlaczego zbierasz informacje o niej.
- Więc może powiedzieć...?
- Temu, kto zapłaci najwięcej.
- Ben, czy powinnam pójść do niego jeszcze raz?
- Nie, im dalej od niego, tym dla ciebie lepiej.
- Ale jeżeli on...
- Ciii. - Ben położył jej palec na ustach. - Nie chcę tracić czasu na rozmowy o nim, bo i tak do niczego nie dojdziemy. Poza tym - przyciągnął ją do siebie - mam dużo lepszy pomysł na spędzenie dzisiejszego wieczoru.

Niedziela, 9 lutego 9:59

Cheryl Tremont była atrakcyjną, trzydziestoletnią blondynką. Kiedy Ben i Monique dotarli do jej mieszkania, zrozumieli, dlaczego nie obawiała się spotkań z nieznajomymi. Miała rottweilera, który wymiarami przypominał małego kucyka i nie odstępował jej na krok.

- To jest Rex - powiedziała. - Od króla Mardi Gras. To ma trochę inny sens niż tradycyjne psie imię.

- Cześć, Rex - przywitała się z nim Monique.

Pies obnażył prawdziwie królewskiej wielkości kły, więc Ben nawet nie próbował się z nim zaprzyjaźnić.

- Usiądźcie, proszę - powiedziała Cheryl, wskazując krzesła wokół stołu w salonie.

Usiadła naprzeciwko nich i przez chwilę wpatrywała się w Bena.

Ben poczuł strach. Wprawdzie kiedy ostatnio przyglądał się sobie, z ledwością rozpoznawał w ciemnowłosym, zarośniętym mężczyźnie, który patrzył na niego z lustra, dawnego Bena. Nawet tym, którzy znali go bardzo dobrze, trudno byłoby go rozpoznać. A

jednak, za każdym razem, kiedy wychodził z mieszkania, czuł niepokój.

- Nie nazywasz się Dick Rogers - powiedziała w końcu Cheryl.

Poczuł suchość w ustach. Czy Cheryl domyślała się, kim jest? Jeżeli tak, to czy zatrzyma to dla siebie?

- W porządku - mówiła dalej. - Wiem, że wielu ludzi czuje się głupio, przychodząc na spotkania z medium. Ale dobrze by było, gdybyś podał mi swoje prawdziwe nazwisko.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedział, usiłując wymyślić, jak powinien to rozegrać. - To mogłoby postawić cię w niezręcznej sytuacji.

Cheryl powoli odsunęła kosmyk włosów z twarzy, wciąż przyglądając się Benowi. Miał wrażenie, że zaraz go wyprosi.

- Dobrze - powiedziała w końcu - ale taka bariera między nami może zakłócić to, co będę czuła.

- Nie chodzi o mnie. Jedna z twoich klientek, Felicia Williams, została zamordowana w noc poprzedzającą nasze spotkanie. Podejrzewam, że ktoś ją zabił, bo chciał nam przeszkodzić. Dlatego, jeżeli coś ci powiedziała albo wyczułaś coś w czasie waszego ostatniego spotkania...

- Czy wiesz, że policja też przyszła do mnie i pytała o Felicię?

- Tak.

- I wiesz, że nic im nie powiedziałam? Ben skinął głową.

- Więc dlaczego miałabym powiedzieć tobie?

Rozpaczliwie poszukiwał odpowiedzi na to pytanie, ale żaden argument nie przychodził mu do głowy.

- Ponieważ - powiedziała powoli Monique - ktokolwiek zabił Felicię, to nie było jego pierwsze morderstwo. I niewątpliwie nie ostatnie. Jeżeli dowiemy się, kto to jest, będziemy mogli zapobiec kolejnym zabójstwom.

- Rozumiem. Ale skoro policji się nie udało, dlaczego sądzą, że uda się wam?

- Mieliśmy nadzieję, że powiesz nam coś na temat Felicii, coś, co nam pomoże.

Ben sięgnął po rękę Monique, dziękując losowi za to, że była przy nim.

- Felicia była u mnie tego dnia, kiedy została zamordowana. Wyczułam dookoła niej złą aurę i byłam pewna, że jest w niebezpieczeństwie.

- Powiedziałaś jej to? - zapytał Ben.

- Oczywiście. Stwierdziła, że wie o tym, ale ponieważ zapłacono jej bardzo dobrze za coś, co nie wymagało wielkiego wysiłku, postanowiła zaryzykować.

- Wyczułaś od kogo pochodzi niebezpieczeństwo?

- Od mężczyzny, to wszystko, co wiem. Mogę wyczuć różne rzeczy dotyczące osoby siedzącej tutaj ze mną, ale bardzo mało na temat zupełnie obcego człowieka. Wiedziałam tylko, że Felicia jest w niebezpieczeństwie, ale nie wiedziałam, kto jej zagraża.

- Ty, to zupełnie inna historia - kontynuowała Cheryl, skupiając się na Benie. - Twoje życie zostało przewrócone do góry nogami już jakiś czas temu, prawda?

Zaskoczony, pokiwał głową.

- Tak, i wyczuwam chyba źródło kłopotów. Pochodzi od twoich bliskich. To członkowie twojej rodziny spowodowali całe zamieszanie.

- Tak... To prawda. - Czyż nie z powodu śmierci rodziców wylądował w Angoli?

- Wciąż jesteś w niebezpieczeństwie. Obydwoje jesteście - dodała, spoglądając na Monique. - Szukają cię jacyś ludzie. A kiedy cię znajdą...

- Co? - wyszeptała Monique. - Co wtedy się stanie? Wiesz?

Cheryl zawahała się, po czym pokręciła głową.

- Nie jestem pewna, czy cię znajdą, ale wiem, że będziesz miała kłopoty, jeżeli tak się stanie. Wiem też, że kogoś szukacie. Mężczyzny. I że uda wam się go znaleźć. Ale wtedy...

- Tak? - pospieszył ją Ben z bijącym sercem.

- Ja... Przykro mi, ale nie jestem pewna, co się wtedy stanie. Nie umiem przepowiadać przyszłości, nigdy nie byłam w stanie zajrzeć w nią zbyt daleko.

- Czy czujesz coś jeszcze? - zapytała Monique.

- Nie. Tylko, że kiedy go znajdziecie, będziecie w poważnym niebezpieczeństwie. Bądźcie więc bardzo ostrożni.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Niedziela, 9 lutego 11:09

Wszystko, co czuła Monique, kiedy wyszli z mieszkania Cheryl Tremont, to żal, że ta kobieta nie mogła zajrzeć dalej w przyszłość. Mieli znaleźć człowieka, którego szukali, ale potem...

„Wyczuwam duże niebezpieczeństwo” - Monique ciągle słyszała te słowa. Jak wielkie było to niebezpieczeństwo? Czy mogą zginąć?

Ścisnęła mocniej rękę Bena i przyspieszyła kroku. Chciała porozmawiać z nim o wszystkim, co dziś usłyszeli, ale nie w tym tłumie. Ulice Nowego Orleanu były pełne ludzi - jedni dopiero wyszli z kościoła, inni wyglądali, jakby nie spali od wielu dni - ktoś mógłby coś usłyszeć.

Dotarli wreszcie do domu i weszli po schodach do mieszkania. Kiedy Ben zamknął drzwi, odwróciła się i mocno się do niego przytuliła.

- Co się dzieje? - wyszeptał, gładząc ją po włosach. - Coś nie tak?

- Boję się - przyznała.

- Dopiero teraz? Po tym wszystkim, co ostatnio przeszliśmy?

- Nie dokuczaj mi - mruknęła, patrząc mu w oczy. - Wcześniej też się bałam, ale tak mnie pochłaniało rozwiązanie tej zagadki, że nie myślałam o tym, co stanie się potem. A teraz... Cheryl powiedziała, że nam się uda... Ben, co wtedy się stanie? Ten człowiek na pewno nie powie: „Aha, więc skoro już wszystko wiecie, to muszę iść na policję i poddać się”.

- Spokojnie. Po pierwsze, nawet, jeśli Cheryl Tremont mówi, że coś się stanie, to nie znaczy, że tak będzie. Chciałem tylko zobaczyć, co może opowiedzieć nam o Felicii, tak naprawdę nie wierzę w takie historie. Więc sądzę, że powinniśmy podchodzić do jej przepowiedni z rezerwą.

Monique powoli wysunęła się z jego ramion.

- Ben, chyba nie uważasz tej kobiety za oszustkę. To medium. Odkryła, że podałeś jej fałszywe nazwisko. I widziałam, jak reagowałeś na jej słowa.

- Dobra, przyznaję, była dość przekonująca. Ale tacy ludzie muszą być przekonujący. Inaczej nie mieliby klientów. Powiedziała jedną ważną rzecz dotyczącą ciebie.

- Co masz na myśli? - Sądząc z wyrazu twarzy Bena, zamierzał powiedzieć coś, co jej się nie spodoba.

- No właśnie, musiałem chyba oszaleć, pozwalając ci angażować się w tę sprawę. Powinnaś się wycofać, zanim zrobi się naprawdę niebezpiecznie. Chcę, żebyś wróciła do domu do Hartford albo do swoich rodziców, albo gdziekolwiek, tu nie możesz zostać. A kiedy już będzie po wszystkim...

- Ben, kochasz mnie?

- Oczywiście, że cię kocham. Kocham cię tak bardzo, że aż mnie to przeraża, ale...

- Wystarczy - przerwała mu - To wszystko, co chciałam usłyszeć, bo ja kocham cię równie mocno. Co znaczy, że oszalałeś, jeżeli myślisz, że cię teraz zostawię.

- Ale...

- Nie! Jesteśmy tak blisko. Cheryl powiedziała, że nie potrafi przewidzieć przyszłości i nigdy nie umiała zajrzeć w nią zbyt daleko. Jednak widziała, że na pewno znajdziemy człowieka, którego szukamy, więc stanie się to prawdopodobnie w ciągu najbliższych dwóch dni. Nie mam zamiaru wychodzić na dziesięć minut przed zakończeniem spektaklu.

- Monique...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Odwrócił się i wyjrzał przez wizjer, potem szybko otworzył.

Do środka wpadła jego siostra. Wyglądała, jakby przed chwilą zobaczyła ducha.

- Co się stało? - zapytał.

- Czekałam, aż wrócić do domu, w kawiarni po drugiej stronie ulicy, bo stało się coś, o czym muszę powiedzieć wam osobiście.

- Mario, co się dzieje?

- Usiądź - powiedziała.

Ben wziął Monique za rękę i energicznie pociągnął ją w stronę kanapy.

- Dobrze, siedzimy już. O co chodzi?

Maria ciężko opadła na jedno ze stojących przed kanapą krzesel.

- Ben, ostatnio sprzątałam strych. Chciałam jakoś oderwać się od tego wszystkiego.

- Maria mieszka teraz w domu naszych rodziców - wyjaśnił Ben.

- Nie chcieliśmy go sprzedawać. Mów dalej - dodał.

- Nie wiem, czy powinnam ci o tym teraz mówić, ale to był dla mnie taki szok.

- Mario, na litość boską! Wyrzucisz to wreszcie z siebie czy nie?

Spojrzała na niego, po czym otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej dużą kopertę pożółkłą ze starości.

Na kopercie nie było żadnych napisów, poza nazwiskiem i adresem w prawym dolnym rogu.

- Grenoble i Lancaster - przeczytał Ben na głos. - Doradztwo prawne. Z adresem w Las Vegas. Co to jest do diabła?

- To są papiery adopcyjne. Mama i tata zaadoptowali cię w Las Vegas zaraz po twoim urodzeniu.

Ben patrzył na kopertę, czując się tak, jakby otrzymał właśnie cios prosto w brzuch. Monique siedziała obok i milczała, trzymając tylko rękę na jego udzie.

- Przykro mi - powiedziała Maria. - Ben, chyba nie powinnam ci tego mówić, ale nie mogłam zdecydować, co jest lepsze. Pomyślałam...

- Co? - zapytał.

- Pewnie wyda ci się to szaleństwem, ale do tej pory uważaliśmy, że zabójca przebrał się za ciebie. Ale pomyślałam. .. może on nie musiał uciekać się do charakteryzacji. To znaczy, mogłeś mieć brata.

- Brata, który zabił naszych rodziców? To chcesz zasugerować? - powiedział, usiłując pozbierać myśli. Nieprawdopodobne... a jednak możliwe.

- Mój Boże - powiedziała Monique.

Spojrzał na nią.

- Człowiek przed gmachem sądu.

- Co? - zapytała Maria.

- Tuż po rozprawie - powiedziała Monique - widziałam przed sądem człowieka, który obserwował wychodzących ludzi. Wyglądał zupełnie jak Ben i przez chwilę myślałam, że to on. To między innymi przekonało mnie o niewinności Bena.

- Pamiętasz? - dodała po chwili. - Mówiłam ci, że zastanawiałam się, czy to on jest prawdziwym mordercą? Krążył wokół i czekał - jak piroman obserwujący pożar, który wzniecił.

- Pamiętam. - Ben skinął głową.

- Ale jest coś, na co do tej pory nie wpadłam. Dlaczego przebrał się tego dnia za ciebie? Bez sensu. Przychodzi ci coś do głowy?

- Nie, absolutnie.

- Mnie również nie. A więc skoro nie był przebrany, to znaczy, że naprawdę jest do ciebie bardzo podobny.

- Myślisz - wtrąciła się Maria - że mam rację? Że Ben naprawdę może mieć brata?

- Brata - powtórzyła Monique. - O mój Boże, Ben, pamiętasz, co powiedziała Cheryl Tremont?

- Cheryl Tremont? - zdziwiła się Maria.

- Medium - wyjaśnił jej Ben. - Byliśmy u niej dziś rano - dodał, nie spuszczać oczu z Monique.

- Powiedziała, że za wszystkie twoje kłopoty jest odpowiedzialny ktoś z twojej rodziny. Myślałam, że chodzi o twoich rodziców, ale może po prostu wyczuła, że jesteś spokrewniony z mordercą.

- Chwileczkę - powiedziała Maria. - Ten człowiek, którego widziałś przed sądem. Jak ktoś tak podobny do Bena mógł chodzić swobodnie po Nowym Orleanie? Pierwszy policjant, który by go zauważył...

- Prawdopodobnie opuścił miasto jeszcze przede mną - powiedział Ben. - Zniknął, zanim odkryto moją ucieczkę.

Spojrzał na adres na kopercie. Potem, z bijącym sercem, wyciągnął papiery i przerzucił je.

Zostały przygotowane przez Harolda W. Grenoble'a. Wszystkie szczegóły wypisane czarno na białym. Formularz adopcyjny został podpisany, kiedy on miał zaledwie dwa dni. Jego rodzona matka nazywała się Sally Windeller. A Antonio i Bethany DeCarlo po prostu...

- Kupili mnie. - Spojrzał na Marię. - Zapłacili tej kobiecie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Plus rachunki za opiekę medyczną i prawnika.

- Ben? - powiedziała miękko Monique. - Tak właśnie przebiega prywatna adopcja. Nie kupili cię, oni...

- Ale po co adoptowali niemowlę? - przerwał jej, czując przedziwną mieszaninę gniewu i ciekawości. - Dlaczego nie mieli własnego syna? Przecież urodziła się Maria. Byłem wtedy duży. Pamiętam matkę w ciąży. Więc po co zaadoptowali mnie?

- Ktoś na pewno zna odpowiedź - dodał po chwili.

- Nie mogli tak po prostu z dnia na dzień zaadoptować dziecka bez zwrócenia niczyjej uwagi.



- Zadzwoń do cioci Rose - powiedziała Maria. - Były zawsze z mamą bardzo blisko, więc powinna wiedzieć.

- Myślisz, że to bezpieczne? A jeżeli telefon odbierze Dominick?

- Odłożę słuchawkę.

- Nie mają systemu identyfikacji numeru? - zapytała Monique.

- Nie mogą zidentyfikować telefonów z komórki. W końcu nie muszę mówić, skąd dzwonię - odpowiedziała Maria. - Poza tym Rose nic wujowi nie powie. Musiałaby wtedy przyznać, że byliśmy przez cały czas w kontakcie za jego plecami.

- W każdym razie - Ben podał siostrze telefon - na wszelki wypadek nie wspominaj o mnie. Powiedz tylko o tych papierach i zapytaj, co ona wie.

Ben słuchał zachłannie każdego słowa wypowiedzanego przez Marię w czasie rozmowy z Rose, ale nie było ich wiele. Siostra więcej słuchała, niż mówiła.

- I co? - zapytał, kiedy się rozłączyła.

- To nieprawdopodobne, ale Rose nic o tym nie wiedziała. I sądzi, że nikt nie wiedział.

- Niemożliwe!

- Nie, wydaje mi się to prawdopodobne. Mama bardzo pragnęła dziecka od początku małżeństwa, ale nie mogła zajść w ciążę. Potem w końcu udało się jej. Tak w każdym razie powiedzieli ludziom. Kiedy była w czwartym miesiącu - zanim ciąża stała się widoczna, jak twierdzi Rose - pojechali z tatą na długie wakacje. Powiedzieli, że chcą zwiedzić Europę, zanim dziecko się urodzi. Podobno urodziłeś się za wcześnie. Przyszedłeś na świat w małym miasteczku w Szwajcarii. Wrócili wkrótce do domu, już z tobą.

Potrząsnął głową. Czuł się kompletnie ogłupiały.

- Ale dlaczego przedsięwzięli tyle środków, by ukryć prawdę? - zapytała Monique. - Przecież na pewno nie myśleli, że adoptowanie dziecka będzie źle widziane,

- Nie znałaś naszego ojca - powiedział Ben. - Zresztą nie powinienem chyba go tak nazywać. Nie był moim ojcem. A mama...

Monique położyła mu rękę na dłoni, Ben wziął głęboki, chrapliwy oddech, usiłując powstrzymać napływ emocji.

- Mówiąc o naszym ojcu - wyjaśniła cicho Maria - Ben miał na myśli jego przekonanie, że mężczyzna nie jest mężczyzną, jeżeli nie może mieć dzieci. Nie wiem, czy wtedy robiono już takie badania, ale

jeżeli wiedział, że wina jest po jego stronie... Cóż, raczej umarłby, niż przyznał się do tego.

- Ale potem urodziłaś się ty - powiedział Ben.

- Cóż, szczęśliwy traf. Może dlatego właśnie nie mieli już więcej dzieci. Może próbowali, ale im się nie udawało. To nie ma znaczenia. Chodzi mi o to, że ojciec absolutnie uwielbiał naszą matkę, więc...

- Twoją matkę - powiedział cicho Ben.

- Ben... Byli też twoimi rodzicami. Jedynymi, których znałeś. Uczynili cię swoim synem, a mnie twoją siostrą. Chyba mnie teraz nie odrzucisz?

- Nie, oczywiście, że nie. Jestem po prostu... trochę zaskoczony.

- Wiem. - Maria uśmiechnęła się do niego niepewnie, a potem spojrzała na Monique. - W każdym razie, ojciec uwielbiał mamę, więc skoro tak bardzo chciała mieć dziecko, to zgodził się na adopcję. Ale pod warunkiem, że nikt się nie dowie.

Kiedy Maria skończyła mówić, Ben znów spojrzał na adres na kopercie.

Miał trzydzieści cztery lata. Jakie było prawdopodobieństwo, że jego biologiczna matka wciąż jeszcze mieszka w tym samym mieście?

A nawet, jeżeli uda mu się ją odnaleźć, być może dowie się, że nie miała innych dzieci - a już na pewno nie takich, które weszły do "Augustine's" i zabiły Antonia i Bethany DeCarlo.

Musiał się tego dowiedzieć.

Poniedziałek, 10 lutego 10:19

Monique nie chciała zniechęcać Bena, więc zachowała wątpliwości na temat tej wycieczki dla siebie. Ale myśl o istnieniu nieznanego brata, który mógł być mordercą rodziców Bena... Wydawało jej się to zbyt mało prawdopodobne.

Kiedy samolot schodził do lądowania, zbliżając się do międzynarodowego lotniska McCarran w Las Vegas, zdecydowała się wreszcie coś powiedzieć.

- Ben, jeżeli naprawdę masz brata, to kto mógł o nim wiedzieć?

- Ten, kto go wynajął. Ktoś, kto chciał zabić mojego ojca i wkopać mnie.

- Ale jeżeli nikt nie wiedział, że zostałeś adoptowany?

- Ktoś musiał wiedzieć.

- Więc ta osoba jakoś dowiedziała się, że masz brata i zapłaciła mu...

- Żeby zabił mojego ojca - dokończył za nią Ben.

- Zabójcy na zlecenie są wszędzie. Mieszkałaś w Nowym Jorku wystarczająco długo. Wiesz zatem, że nie należą do rzadkości, a większość z nich z pewnością ma braci. Nie jestem zachwycony myślą o przynależności do nich, ale...

- Posłuchaj - dodał po chwili, kładąc jej rękę na dłoni.

- Wprawdzie teoria o bracie mordercy jest bardzo nieprawdopodobna, ale nie mamy już innych tropów.

Skinęła głową i wyjrzała przez okno, obserwując lądowanie. Nawet nieprawdopodobna teoria jest lepsza niż żadna.

Jednak, jeżeli Ben miał brata, który jest zabójcą, i uda im się go znaleźć, to będą w niebezpieczeństwie.

Byli oczywiście przygotowani na taką ewentualność - w walizce schowali pistolety, a w dużej torbie, pożyczonej od Marii, znajdowały się dyktafon i sznur do bielizny.

Ale nagrywać wyznania mordercy, mierząc do niego z pistoletu, a potem związać go,.. Czują przechodzące ją dreszcze. Co innego jednak mogli zrobić? Zadzwoić na policję, a potem trzymać go na muszce do przyjazdu stróżów prawa?

To nie było dobre wyjście, bo policja nie wypuściłaby ich tak po prostu, nie zadając żadnych pytań. A kiedy zorientują się, kim jest Ben, natychmiast go zaaresztują - i pewnie pozwolą prawdziwemu mordercy odejść.

Musieli radzić sobie sami.

Wciąż rozmyślając nad tą smutną koniecznością, wyszła z samolotu i podążała za Benem przez terminal. Kiedy on czekał na odbiór bagażu, podeszła do rzędu telefonów i zaczęła przeglądać jedną z książek telefonicznych.

Jednak szczęście, które pozwoliło im znaleźć adres Grace Rossi, tym razem nie dopisało. W książce nie znalazła nikogo o nazwisku Windeller, jak również żadnej firmy prawniczej nazywającej się Grenoble i Lancaster albo H. Grenoble.

Obawiając się najgorszego, odszukała numer do stowarzyszenia prawników. Sympatyczna kobieta, która odebrała telefon, sprawdziła w bazie danych i odkryła, że Harold W. Grenoble nie umarł, tylko przeszedł przed kilkoma laty na emeryturę.

- Nie mogę pani podać tego numeru - powiedziała - ale jeśli da mi pani swój, skontaktuję się z nim i poproszę, żeby do pani oddzwonił.

- Dzwonię z automatu.

- Zatelefonuję do niego od razu, ale to niestety wszystko, co mogę zrobić.

- Dobrze, w takim razie poczekam tutaj. Bardzo pani dziękuję. - Kiedy to mówiła, podszedł do niej Ben, trzymając w ręku walizkę, w której ukryli pistolety.

Stał przez chwilę obok, pocierając brodę, po czym naciągnął czapkę baseballową głębiej na oczy.

- Wiesz, co mnie wkurza? - spytał, kiedy odwiesiła słuchawkę. - Że musisz pokazywać się z facetem, który wygląda jak włóczęga.

- Nie przeszkadza mi to. Wyglądasz jak wielbiciel stylu grunge. Kto wie, może to wciąż jest w modzie?

- Tak. W jakimś małym miasteczku w Południowej Dakocie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie znalazłam żadnej Windeller. Grenoble jest na emeryturze i stowarzyszenie prawników nie chciało podać mi jego numeru. Ale ktoś od nich skontaktuje się z nim, więc jeżeli będziemy mieli szczęście, to zaraz do nas oddzwoni.

- Hej, jesteś naprawdę niezła. Może powinnaś zostać prywatnym detektywem.

- Może.

- Ale wiesz, czego jeszcze nie znoszę? - powiedział, przybierając poważną minę. - Tego, że musisz wszystko robić sama.

- Nie mamy innego wyjścia. Nawet w Las Vegas możesz zostać rozpoznany. Twoja sprawa była równie nagłośniona, jak sprawa braci Menendez.

- Co oznacza, że jeżeli Grenoble... Monique, jesteś pewna, że dobrze robimy? Nawet jeśli zapomniiał o tej adopcji i nie skojarzył jej ze sprawą, to gdy zobaczy papiery na nazwisko Antonia i Bethany DeCarlo, zorientuje się przecież, o kogo chodzi.

- Może nie - powiedziała, chociaż była pewna, że tak właśnie będzie. - Prawdopodobnie nie wie, że twoi rodzice nazwali cię Ben, a zbieżność nazwisk może być przypadkowa. Poza tym to i tak najlepszy plan, jaki udało się nam wymyślić.

- Obawiam się, że ten najlepszy plan jest niestety dość kiepski.

- Cóż, to jedyna możliwość, żeby znaleźć Sally Windeller. A nawet jeżeli będzie miał co do mnie jakieś podejrzenia, co może zrobić?

- Zadzwoń na policję.

- Nie miałby im zbyt dużo do powiedzenia. Tylko tyle, że przyszła do niego jakaś kobieta, prosząc o informację.

- Zanim Ben zdążył jej odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

Złapała słuchawkę.

- Czy to Anne Gault? - Kiedy usłyszała w słuchawce męski głos, podziękowała w duchu swojej szczęśliwej gwiazdzie.

Harold Grenoble był wyjątkowo miły. Kiedy wyjaśniła mu, że szuka informacji na temat jednej z jego dawnych spraw, od razu zgodził się z nią spotkać.

- Umówiłam się z nim na dwunastą trzydzieści - powiedziała Benowi, kiedy skończyła rozmawiać.

- Doskonale!

- Powiedział, że sporo akt znajduje się u niego w piwnicy. Więc jeżeli twoja matka korzystała także później z jego usług, może mieć jej aktualny adres.

- Możliwe, ale lepiej na nic nie liczymy. Jeżeli wyszła za mąż, to może nie znać nawet jej aktualnego nazwiska.

- Nie ulegajmy zwątpieniu. Cheryl Tremont powiedziała, że znajdziemy człowieka, którego szukamy, więc powinniśmy wreszcie na coś natrafić.

- Tylko w przypadku, gdy Cheryl rzeczywiście ma dar jasnowidzenia i wiedziała, co mówi. A ja nie wierzę w takie gadanie.

Monique nie odpowiedziała. Zgadzała się z Benem. Szansa, żeby Grenoble im pomógł, była nikła, ale nic więcej nie mieli.

- Chodź. - Ben objął ją. - Zjemy wcześniejszy lunch, a potem złapiemy taksówkę.

- Jasne - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

- Nie ma nic lepszego niż jedzenie na lotnisku.

- Powinnaś spróbować więziennych rarytasów - mruknął niechętnie.

Przytuliła się do jego boku, odganiając od siebie myśl, że nie da się wiecznie uciekać i jeżeli szybko czegoś nie znajdą, Ben wróci do Angola.

Harold Grenoble mieszkał na przedmieściu, z dala od słynnego blasku Vegas. Ben postanowił zostać w taksówce i poczekać na Monique, która sama poszła złożyć prawnikowi wizytę.

Miał około siedemdziesiątki i robił wrażenie równie czarującego, jak przez telefon. To ją nieco uspokoiło.

- Więc co mogę dla pani zrobić, pani Gault? - zapytał, kiedy usiedli już w jego gabinecie. - Powiedziała pani, że to ma coś wspólnego z jakąś dawną sprawą.

Monique pokiwała głową.

- Mój mąż został adoptowany jako dziecko i szukamy jego prawdziwej matki. Wydaje nam się, że znamy jej nazwisko. Jeżeli naprawdę tak się nazywa, to pan przeprowadzał tę adopcję.

- Rozumiem. A pani chce...

- Jej ostatni adres. Albo cokolwiek, co pomoże nam ją odnaleźć.

- Hm... W takim przypadku, zakładając, że znałbym jej obecne miejsce zamieszkania, musiałbym się z nią skontaktować i powiadomić, że państwo jej szukacie. Jeżeli zgodzi się z wami spotkać, wtedy... Ale tylko, jeżeli się zgodzi.

- Rozumiem.

- Jakie to nazwisko?

- Sally Windeller.

Przez jego twarz przemknął krótki grymas.

- Obawiam się, że nie będę mógł pani pomóc.

- Ale to przecież pan przeprowadzał tę adopcję - powiedziała, zmuszając się do zachowania spokoju i wyjmując papiery z torebki. - Proszę spojrzeć - dodała, kładąc je na biurku.

Skinął głową, nawet im się dobrze nie przyjrząwszy.

- Bardzo dobrze pamiętam tę sprawę, ale wiem, że Sally Windeller nie będzie chciała z wami rozmawiać.

- Skąd ta pewność?

- Sally jest moją siostrzenicą, córką mojej starszej siostry. Dlatego to ja zajmowałem się tą sprawą. Przykro mi, że przyjechała tu pani na próżno, ale...

- Chwileczkę - przerwała mu Monique, gorączkowo usiłując coś wymyślić. Była tak blisko celu, że po prostu nie mogła pozwolić mu tak się spławić. Skoro prawnik jest wujem matki Bena, musi wiedzieć, gdzie mieszka jego siostrzenica.

- Panie Grenoble... Nie byłam z panem do końca szczerą.

- Wiem. Media podały wszystkie szczegóły na temat syna DeCarlo. Zdziwiło mnie wręcz, że nikt nie odkrył sprawy adopcji. Ale wiem, że nie jest żonaty. Więc tak naprawdę, pani jest...

- Jego przyjaciółką. - Mrugnęła, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Grenoble na pewno za chwilę wyrzuci ją z mieszkania. - I szczerze przepraszam za kłamstwo. Nie chodzi nam tylko o prawdziwą matkę. Szukamy czegoś więcej. Koniecznie, absolutnie koniecznie muszę skontaktować się z Sally Windeller. To sprawa życia i śmierci.

- Życia i śmierci - powtórzył.

Pokiwała głową, nie będąc w stanie wymyślić nic więcej, co mogłoby go przekonać.

Przyglądał jej się bacznie, wsłuchując się w ciche tykanie zegara.

- Nie jestem pewien, jak postąpić - powiedział w końcu. - Według prawa powinienem pozostawić decyzję Sally. Ale czy mam prawo stawiać ją w sytuacji...

- Panie Grenoble... Jest pan moją jedyną nadzieją. Patrzył na nią przez chwilę.

- Dobrze. Powiem pani, co mam zamiar zrobić. Zadzwonię do Sally i poinformuję ją, że siedzi pani teraz u mnie w biurze i czeka. Ale jeżeli nie będzie się chciała z panią zobaczyć, to nic z tego.

Grenoble otworzył swój kalendarzyk i sięgnął po słuchawkę telefonu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poniedziałek, 10 lutego 13:13

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że zgodziła się z tobą spotkać - powiedział Ben, ściskając rękę Monique, kiedy jechali taksówką wzdłuż Las Vegas Expressway.

- Mnie też trudno. Ale nie rozbudzaj za bardzo swoich nadziei, dobrze?

Pokiwał głową, myśląc, że to dobra rada. Wciąż jeszcze nie wiedzieli, czy ma brata, czy nie. Ale jeżeli ich spekulacje, okażą się prawdziwe, to jego brat jest wyrachowanym mordercą.

- Grenoble nie powiedział nic więcej na temat Sally Windeller? - zapytał, nie chcąc dłużej roztrząsać kwestii ewentualnego posiadania rodzeństwa.

Monique uśmiechnęła się.

- Myślisz, że coś przed tobą ukrywam? Mówiłam ci już, miałam wrażenie, że poprosiła go, aby powiedział mi o niej jak najmniej. Właściwie tylko podał adres i powiedział, że to jest motel.

- Ale potem zapytałaś go o to i...? Roześmiała się serdecznie.

- Ben, zachowujesz się jak mały chłopiec, któremu trzeba opowiadać sto razy tę samą historię. Kiedy zapytałam go o to, wyjaśnił mi, że jej rodzice namówili ją, by zainwestowała te 50 000 dolarów, bo miała wtedy tylko dziewiętnaście lat. Kilka lat później kupiła „Shilo Inn”.

- Musiała być odważna, skoro w tak młodym wieku zajęła się interesami. - Kiedy go urodziła, sama była jeszcze dzieckiem.

Maria miała oczywiście rację, to Antonio i Bethany byli jego prawdziwymi rodzicami. Zdążył to już przemyśleć. Bethany była jego prawdziwą matką.

A jednak ciągle zastanawiał się, czy jest podobny do Sally Windeller, kim był jego ojciec, czy jego dziadkowie jeszcze żyją? Miał mnóstwo pytań, ale na większość nie otrzyma odpowiedzi. A już na pewno nie dzisiaj. Dzisiaj ważniejsze były inne sprawy.

Kiedy taksówka zjechała z Las Vegas Expressway, Ben poczuł gwałtowny przypływ emocji. Chciał spotkać kobietę, która go urodziła, i usłyszeć to, co będzie miała do powiedzenia, ale wiedział, jakie to ryzykowne.



Do diabła, nawet Monique nie powinna tam iść. A jeśli Grenoble albo Sally Windeller wezwali policję i powiadomili ich, że przyjaciółka Bena DeCarlo ma spotkać się z Sally?

Nie, to niemożliwe. Przecież w końcu to jego matka. Spojrzał na Monique, próbując odpędzić od siebie obraz dziewczyny przesłuchiwanej przez grupę policjantów.

- „Shilo” znajduje się przy następnej przecznicy - powiedział taksówkarz, zerkając na nich we wstecznym lusterku. - Mam pana tutaj wysadzić?

Ben skinął głową i mężczyzna zatrzymał samochód.

- Dobrze - szepnął Ben do Monique. - Jeżeli zobaczysz radiowóz albo coś, co wygląda na nie oznakowany samochód policyjny, powiedz mu, żeby się nie zatrzymywał.

- Wiem - odszepnęła. - Jestem w tym naprawdę niezła, pamiętasz?

- Ćwiczenie czyni mistrza. - Zmusił się do uśmiechu, pocałował ją, wziął walizkę z pistoletami i na moment zawahał się.

Nie, Monique nie potrzebowała teraz broni, on zresztą też nie. A wyjmowanie pistoletów przy taksówkarzu nie było najlepszym pomysłem.

- Do zobaczenia za chwilę - powiedział, wysiadając z taksówki i usiłując zachowywać się nonszalancko. Tak bardzo pragnął z nią pojechać, że musiał siłą powstrzymać się, by nie pobiec za taksówką.

Kiedy auto ruszyło, Monique przyglądała perukę i zaczęła przyglądać się mijanym samochodom, mimo że prawdopodobnie i tak nie rozpoznałaby nie oznakowanego radiowozu.

Taksówkarz skręcił na parking przed „Shilo Inn”. Monique wzięła głęboki oddech. Stosunkowo niewielki i skromny motel nie robił wrażenia jednego z tych podejrzanych miejsc, w których większość ludzi nie zatrzymałaby się nawet na jedną noc.

Stwierdziwszy, że nie widzi nic niepokojącego, Monique zapłaciła taksówkarzowi i niepewnym krokiem skierowała się w stronę recepcji.

Za kontuarem przy komputerze siedziała kobieta i kiedy podniosła wzrok, wyglądała na równie zdenerwowaną, jak Monique. Nie była już młoda, ale wciąż jeszcze atrakcyjna, a jej oczy miały ten sam kolor głębokiego błękitu, co oczy Bena.

- Pani Windeller?

- Właściwie nazywam się teraz Brooks. Przez kilka lat, jakiś czas temu, byłam zamężna. Mów do mnie po prostu Sally. Ty jesteś Anne Gault, oczywiście?

Monique skinęła głową, czując wyrzuty sumienia. Sally Brooks wydawała się bardzo miłą kobietą.

- Zaprosiłabym cię do domu - powiedziała, wskazując ręką półotwarte drzwi prowadzące do pomieszczeń mieszkalnych - ale jestem tutaj zupełnie sama, z telefonami i ze wszystkim.

- Nie szkodzi. Nie zabiorę pani dużo czasu. Chcę tylko...

- Jak on się miewa? - przerwała jej mocno zakłopotana Sally. - Mój syn.

- On... Sally, on tego nie zrobił. Nie jest mordercą. Sally patrzyła na nią przez chwilę.

- Dziękuję, że to mówisz.

- Nie tylko mówię. Wierzę, że Ben nie zamordował Antonia i Bethany DeCarlo. Zrobił to ktoś, kto wyglądał tak jak on.

- Jeżeli masz rację - szepnęła Sally - musiało to być dla niego bardzo ciężkie. Najpierw zginęli jego rodzice. Potem wylądował w więzieniu. Teraz ucieka.

- Tak. Nie było mu łatwo. A ja...

Monique chciała zadać jej to najważniejsze pytanie, ale nie mogła. Sally domyśli się, że ustalenie, czy Ben ma brata jest niemal jednoznaczne ze wskazaniem mordercy. Jak podejść do sprawy w miarę delikatnie...

Monique usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, podniosła wzrok i serce stanęło jej w gardle. Ben wszedł do recepcji.

- Mój Boże - wyszeptała Sally. - To ty.

Monique spojrzała na nią, pewna, że nie mogłaby tak szybko rozpoznać Bena - zwłaszcza teraz, kiedy miał brodę - jeżeli nie miałyby drugiego syna, bardzo podobnego do Bena.

- Przepraszam - powiedział, wzruszając pokornie ramionami, kiedy Monique znów się do niego odwróciła. - Widziałem, że nie ma nigdzie policji i jesteście w środku tylko we dwie, więc nie mogłem się powstrzymać.

Ben spojrzał na Sally... na swoją rodzoną matkę. Czuł ucisk w gardle. Wydawało mu się tak dziwne, że nie spotkał jej do tej pory. Ale była jego biologiczną matką. Odziedziczył jej oczy. Miała dołek

w podbródku, zupełnie taki sam, jak on. Zawsze się zastanawiał, po kim go odziedziczył.

- Witaj - powiedział w końcu. - Po prostu musiałem się z tobą spotkać.

Skinęła głową, jej twarz wyraźnie zbladła.

- Pytałaś już? - powiedział do Monique.

- Nie.

- Więc ja to zrobię. - Słyszac szum krwi w uszach, zmusił się do postawienia tego pytania. - Czy mam brata? Brata, który wygląda tak jak ja?

Jego słowa wisiały w powietrzu przez długą chwilę. W końcu Sally potrząsnęła głową.

- Nigdy nie miałam więcej dzieci, Ben. Przykro mi. Wiem, co myślałeś.

Ben miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Próbował na to nie liczyć, ale gdzieś w głębi duszy wierzył, że to była prawda. A teraz...

Co teraz? To był ich ostatni ślad i nie doprowadził ich do niczego.

- Ben? - szepnęła Monique, podchodząc do niego i biorąc go za rękę. - Ben, spokojnie, to jeszcze nie koniec. Spróbujemy dowiedzieć się, co wie Danny.

Ben ledwo dostrzegalnie potrząsnął głową. Dalsze spotkania z Dannyem Duprayem były zbyt ryzykowne. Sprzedawał informacje zbyt wielu ludziom, znajdującym się po przeciwnych stronach.

To oznaczało, że dotarli do końca. Wszystko, na co mógł teraz liczyć, to znalezienie jakiegoś odległego zakątka, w którym czułby się bezpiecznie, bo prędzej pozwoli się zastrzelić, niż wróci do więzienia.

Jednak jeśli nawet uda mu się znaleźć jakieś spokojne miejsce, na pewno nie pojedzie tam z Monique. Za bardzo ją kochał, żeby kazać jej żyć w ciągłym ukryciu i strachu. Miała już próbkę tego w programie ochrony świadków i wiedział, jak bardzo cierpiała.

- To chyba jest pożegnanie. - Rzucił swojej matce ostatnie spojrzenie.

Otarła oczy. On również poczuł napływające łzy. W chwili, kiedy odwracał się, żeby odejść, usłyszeli nagle trzask otwieranych drzwi i głos mężczyzny.

- Mamo, wróciłem dziś wcześniej! Nie uwierzysz, co mi zrobił ten drań, mój szef!

Ben zamarł na moment, po czym zaczął gorączkowo poszukiwać w kieszeni kluczyków do walizki, zastanawiając się, dlaczego był taki głupi i nie wyjął pistoletów już na lotnisku.

Kiedy zacisnął dłoń na kluczykach, w drzwiach prowadzących do mieszkania pojawił się mężczyzna w stroju ochroniarza - z pistoletem za pasem. Zatrzymał się i spojrzał na Bena.

Ben odwzajemnił spojrzenie. Patrzył na siebie samego, tylko bez brody i z włosami w naturalnym kolorze.

- Cholera - powiedział ten drugi, wyciągając pistolet. - To mój zagubiony brat bliźniak.

Bliźniak. Ten człowiek, mierzący teraz do niego z pistoletu, to jego bliźniak.

- Larry - powiedziała ostro Sally. - Larry, odłóż pistolet, nie potrzebujesz go.

- Nie? - warknął. - Mylisz się. Do środka - dodał, gestem dłoni nakazując im wejść do mieszkania.

Ben zrobił krok do tyłu, żeby podnieść walizkę. Larry machnął ostrzegawczo pistoletem.

- Ruszaj się.

Kiedy wszyscy znaleźli się w salonie, Larry kopniakiem zamknął drzwi do recepcji.

- Dobra, Ben, odstaw tę walizkę. A teraz ty i twoja dziewczyna usiądziecie grzecznie na kanapie.

Ben odłożył bagaż i wziął Monique za rękę. Była lodowato zimna, więc wiedział, że dziewczyna jest sparaliżowana strachem. Poprowadził ją na kanapę, usiłując gorączkowo wymyślić, jak mają się z tego wyplątać. Ale dopóki Larry mierzył do nich z pistoletu, nie mieli szans.

- Przynieś coś, żeby ich związać - rozkazał Sally, nie spuszczać wzroku z Bena i Monique.

- Larry, to szaleństwo. Pozwól im odejść.

- Co? A oni zawiadomią gliny, że znaleźli kogoś, kto wygląda jak nasz mały Benny? Okaże się, że świadkowie mylili się i zostaną oskarżony. Daj spokój.

- Więc co masz zamiar zrobić?

- Zajmę się nimi. Niczym się nie martw.

- Larry...

- Przynieś coś! - rzucił. - W składziku powinna być jakaś lina. Idź tam i przynieś ją.

Zawahała się przez chwilę, ale w końcu odwróciła się i wyszła.

- Bliźniaki - szepnęła Monique, patrząc na Larry'ego.

- Powiedziałeś, że jesteś bratem bliźniakiem Bena?

- Tak, szczęściarz ze mnie, co? Zgodziła się oddać dziecko do adopcji, a tu proszę, rodzą się bliźnięta. Więc przekonała rodziców, żeby mogła zatrzymać jedno - nawet nie powiedziała DeCarlo, że było nas dwóch. A wiesz, dlaczego mogła sobie pozwolić na zatrzymanie mnie? - zapytał, wpatrując się w Bena.

- Nie. Dlaczego?

- Bo ją było na to stać. DeCarlo byli tak cholernie bogaci, że zapłacili jej za ciebie pięćdziesiąt patyków. Wiesz o tym?

- Właśnie się dowiedziałem.

- Cóż, ja wiem od dawna. Opowiedziała mi całą historię, kiedy byłem dzieciakiem, ale nie zdradziła, kto cię adoptował. Odkryłem to dopiero kilka lat temu. Pięćdziesiąt patyków! Wiesz, ile to było forsy trzydzieści cztery lata temu? Dostyc, by nie musiała się martwić, że będzie klepać biedę, jeżeli mnie zatrzyma. Więc dorastałem w tym zapchlonym miejscu, kiedy ty mogłeś wychowywać się w prawdziwej posiadłości. Głupia dziwka. I wymyśliła sobie jeszcze, że powinienem być zadowolony, że zdecydowała się mnie zatrzymać.

- Zrobiła to, bo cię kochała - powiedziała Monique cicho. - Jestem pewna, że zatrzymałaby was obu, gdyby tylko mogła.

- Tak? No cóż, nie wydaje mi się, żeby oddała mi specjalną przysługę. Mogłem wychowywać się w tamtej posiadłości razem z małym Bennym. Gdyby powiedziała DeCarlo o mnie, adoptowaliby nas obu. Ale ta głupia dziwka mnie zatrzymała. Więc musiałem harować tutaj, potem dostałem kretyńską pracę i mam wszawę życie. Widzisz - kontynuował, patrząc spod oka na Bena. - Nie mam żadnej winiarni. I żadnej ukrytej fortuny. Właściwie od dzisiaj nie mam nawet pracy. Wywalili mnie godzinę temu. Dobrze, że ten pistolet należy do mnie, co? Inaczej nawet tego drobiazgu bym już nie miał.

- Larry? - powiedziała Sally z korytarza.

Ben spojrzał na nią i wstrzymał oddech. Nie miała liny, ale trzymała w ręku duży rewolwer. I mierzyła nim w Larry'ego.

- W co ty, do cholery, pogrywasz? - rzucił, patrząc na nią z nienawiścią.

- Wypuścisz ich teraz.
- O, na pewno. Odłóż to.

Sally odbezpieczyła pistolet. W cichym pokoju ten trzask zabrzmiał wyjątkowo głośno.

Ben wodził spojrzeniem od niej do Larry'ego, z sercem w gardle, zaledwie zdając sobie sprawę, że Monique ściska mu rękę tak mocno, że traci w niej czucie. Odwzajemnił krótko uścisk, po czym wyswobodził rękę z jej dłoni. Gdyby trafiła się chociaż najmniejsza szansa.

- Nie strzelisz do mnie - powiedział Larry do Sally.
- Jestem twoim synem.
- Ben też nim jest.

Larry spojrzał na nią wściekły i wtedy Ben postanowił wykorzystać sytuację. Rzucił się poprzez pokój i złapał Larry'ego. Kiedy upadali na podłogę, pistolet wypalił.

Hukowi towarzyszył krzyk, który obudził w sercu Bena strach. Znokautował brata jednym uderzeniem w skroń - sztuczka, której Dominick DeCarlo nauczył go, kiedy był jeszcze chłopcem - potem wsunął pistolet za pas i rozejrzał się po pokoju.

Monique stała przy Sally, trzymając rękę na jej barku. Sally przyciskała ramię dragą ręką - między palcami sączyła się krew.

- Nic mi nie jest - powiedziała mu. - To chyba nic poważnego.

Ben patrzył przez chwilę na obie kobiety, czując spływającą na niego ulgę, potem przypomniał sobie, że Monique ma w torebce dyktafon i sznur do wieszania bielizny.

- Przynieś mi sznur, który masz w torebce - powiedział stanowczo do oszołomionej dziewczyny.

Kiedy zrobiła to, o co prosił, szybko związał Larry'emu ręce i nogi. Potem przeszedł przez pokój dużymi krokami i znalazł się obok Sally.

- To naprawdę nic takiego - zapewniła go. - Ale co z Larrym?
- Najprawdopodobniej obudzi się z piekielnym bólem głowy, ale nic mu nie będzie.

Sally pokiwała głową, a Ben odetchnął głęboko, czując kompletne wyczerpanie. Potem objął ją i pocałował w policzek.

- Dziękuję - szepnął. - Ocaliłeś nam życie.

- Jesteś moim synem - powiedziała, mrugając, żeby powstrzymać napływające łzy. - Ale Larry też nim jest. Co mam teraz zrobić? On naprawdę mógł was zabić.

- Zabierzemy cię do lekarza. To zrobimy najpierw. Potem zastanowimy się, co dalej.

Ben zakneblował Larry'ego szalikiem Sally, a potem wyszli przez drzwi prowadzące do recepcji. Pozamykali dokładnie wszystko, wywiesili kartkę z napisem: „Wracam za pół godziny” i pojechali formem Sally do kliniki niedaleko „Shilo”.

Sally i Monique weszły do środka, a Ben czekał w samochodzie, próbując przypomnieć sobie dokładnie wszystko, co Larry do nich mówił. Sally kazała mu puścić ich wolno. A Larry powiedział.

- Co? A oni zawiadomią gliny, że znaleźli kogoś, kto wygląda jak nasz mały Benny? Okaże się, że świadkowie się mylili i oskarżą mnie.

Dalekie to było od przyznania się do winy. Ben czułby się o wiele szczęśliwszy, gdyby Larry wprost przyznał, że był w „Augustine's” tamtego feralnego dnia. Brzmiało to raczej, jakby Larry paranoik bał się, że brat chce z niego zrobić kozła ofiarnego. Ale przecież Larry musiał być zabójcą.

Prawda?

W każdym razie, dowiedzą się tego, kiedy wrócą do „Shilo”. A potem pytanie za milion dolarów. Jeżeli Larry strzelał, to kto wiedział o jego istnieniu i kto zaplanował morderstwo?

15:48

Wracając 2 kliniki, wszyscy troje milczeli. Sally siedziała skulona na tylnym siedzeniu, przyciskając mocno do siebie rękę na temblaku.

Czuła się trochę oszołomiona po dużej ilości środków przeciwbólowych. Jednak, pomyślała Monique, i tak nie było sensu teraz rozmawiać. Wszystkiego dowiedzą się po powrocie do motelu. A jeżeli zdołają uzyskać odpowiedź na swoje pytanie...

Patrząc na Bena, niemal bała się uwierzyć. Pokochała go tak mocno, że jeżeli nie mogłaby spędzić z nim reszty życia...

Nie, wszystko będzie dobrze, znaleźli przecież mordercę. Wszystko się ułoży, dodała w myśli, kiedy Ben skręcał na podjazd przed motelem.

- Co u diabła... ? - rzucił przez ściśnięte zęby, hamując gwałtownie i zatrzymując się kilkadziesiąt metrów przed recepcją.

Monique podążyła za jego spojrzeniem i poczuła, jak miękną jej kolana. W środku stał nastoletni chłopiec i patrzył na nich przez okno.

- O rany - powiedziała Sally, prostując się na tylnym siedzeniu. - Jak on się dostał do środka?

- Kto to jest? - zapytał Ben.

- Nazywa się Kevin i pomaga mi po szkole. Sprząta parking, czyści basen i tym podobne. Ale nie ma klucza.

Zanim Monique zdążyła otworzyć drzwi, Ben już wyskoczył z samochodu i biegł co sił w nogach do recepcji. Monique pomogła Sally wysiąść. Zajęło to trochę czasu z powodu niewygodnego temblaka, ale po chwili obie podążyły śladami Bena.

- Uciekł! - powiedział, odwracając się do nich, jak tylko weszły do środka. - Larry uciekł!

Na jego pociemniałej twarzy malowała się desperacja. Monique wiedziała, co czuł. Dotarli tak blisko, tylko po to, żeby teraz patrzeć, jak szczęśliwe zakończenie wymyka się z rąk...

Ben podszedł do niej, objął ją i przytulił mocno. Wdychała jego uspokajający męski zapach i marzyła o ucieczce od reszty świata. Zmusiła się jednak, by spojrzeć na Kevina i zaczęła słuchać tego, co mówił.

- Ktoś go napadł, Sally! Znokautowali go i związali, i w ogóle! Ale znalazłem go i rozwiązałem. Recepcja była zamknięta, więc pomyślałem, że jesteś z tyłu. Obszedłem dookoła i jak spojrzałem przez okno, to zobaczyłem Larry'ego. Więc... no, musiałem zbić szybę, żeby dostać się do środka. Ale potem wszedłem i rozwiązałem go. Co ci się stało w rękę? - dodał, patrząc z zaciekawieniem na temblak.

- Mały wypadek.

- Kevin, dokąd poszedł Larry? - zapytał Ben.

- Nie wiem. Pojechał samochodem za tymi, co go napadli. Powiedział, że powinniśmy wezwać gliny, ale on wie, kto to zrobił, i zajmie się tym sam. Nie wiem, co dokładnie miał na myśli, ale na stole leżał pistolet i on wziął go ze sobą, wychodząc.

- Mój rewolwer - powiedziała Sally. - Chyba położyłam go na stole.

- Hej - powiedział Kevin, patrząc na Bena z zaciekawieniem. - Wyglądasz zupełnie jak Larry, wiesz? Tylko ta broda.

- Jest kuzynem Larry'ego - powiedziała Monique.



- Cóż, Kevin... - powiedziała Sally. - Chyba położę się trochę, zrobiło się straszne zamieszanie. Wracaj do domu, dziś nie będziemy pracować.

- Ale ja będę zupełnie cichutko, ja...

- Zapłacę ci tak, jakbyś pracował - przerwała mu Sally. - Tylko idź już.

- No... Dobrze, skoro tak mówisz. - Z wyrazem zdziwienia na twarzy Kevin wyszedł z recepcji.

- Mój Boże - powiedziała Sally, kiedy zamknęły się za nim drzwi. - Jak myślicie, co robi teraz Larry?

Ben potrząsnął głową.

- Nie wiem nawet, co ja teraz zrobię.

- Na razie wejdźmy do mieszkania. Jest kilka spraw, o których powinniśmy porozmawiać.

Monique i Ben poszli za nią do salonu. Obydwoje czuli rosnący niepokój. Czy Larry wróci do domu, jeśli ich nie znajdzie?

Sama myśl o tym powodowała, że żołądek Monique zamieniał się w ciężką ołowianą kulę. Ben chyba czuł to samo, bo otworzył walizkę, podał jej pistolet i przypiął własny do paska. Potem dał Sally ten, który zabrał Larry'emu.

Usiadła na krześle i ruchem ręki wskazała im kanapę.

- Proszę, usiądźcie. Muszę wam coś powiedzieć.

- Ben - zaczęła, kiedy już usiedli. - Przepraszam, skłamałam, mówiąc, że nie mam innych dzieci. Ale kiedy mój wuj zadzwonił i powiedział, że Anne jest w jego biurze...

- Naprawdę nazywam się Monique - przerwała jej, czując, że musi być z nią szczerą. - Monique LaRoquette, i byłam jednym ze świadków morderstwa DeCarlo. Zeznawałam przeciwko Benowi, ale teraz wiem, że to nie on zabił państwa DeCarlo.

- Rozumiem - Sally powoli potrząsnęła głową. - Świat to bardzo dziwne miejsce. Ale wracając do telefonu wuja Harolda - zaskoczył mnie tak bardzo, że nie zdołałam wymyślić nic do chwili, kiedy Anne... Monique tu dotarła. Śledziłam twoje procesy, Ben, więc wiem, na czym opierałeś swoją obronę. Morderstwo miał popełnić ktoś inny, ktoś, kto wyglądał jak ty. Zdałam sobie sprawę, co grozi Larry'emu, jeśli dowiesz się o jego istnieniu... Udawanie, że Larry nie istnieje, wydawało mi się najlepszym wyjściem. Tak długo

wymykałeś się policji, więc pomyślałam, że uciekłeś im już na dobre. Wtedy żaden z moich synów nie znalazłby się w więzieniu.

- Chcesz powiedzieć - Ben wycedził powoli - że Larry powinien trafić do więzienia?

- Nie wiem. Ale rzeczywiście nie było go w Las Vegas, kiedy popełniono te morderstwa.

Ben zacisnął mocniej dłoń, w której trzymał ciepłą rękę Monique.

- Pojechał na narty do Lake Tahoe. Tak mi powiedział. Jak mogłam sprawdzić, czy to prawda? Próbowałam, ale w Tahoe jest tyle miejsc, gdzie można się zatrzymać, poza tym pokój mógł być wynajęty na inne nazwisko.... Cóż, w każdym razie, nie miałam stuprocentowej pewności. Jest jednak coś, co może być kluczem do sprawy. Albo nie.

- Co takiego? - zapytał coraz bardziej podekscytowany Ben. Pochylił się do przodu i Monique czuła wręcz emanujące z niego napięcie.

- Tuż przed tym zabójstwem zadzwonił pewien mężczyzna. Larry nie wrócił jeszcze z pracy, więc ten człowiek poprosił mnie, żeby Larry do niego oddzwonił. Nie zostawił jednak numeru. Powiedział, że Larry go zna. I właśnie po rozmowie z nim Larry poinformował mnie, że chce wziąć kilka dni wolnego i pojechać do Tahoe. Sądziłam, że jedzie z tym właśnie człowiekiem, wydawało mi się tylko dziwne, że nie słyszałam wcześniej jego nazwiska. Ale Larry rzadko opowiada mi o swoim życiu towarzyskim, więc nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo. Do czasu, kiedy rok później usłyszałam, jaka jest twoja linia obrony, Ben. Zajrzałam wtedy do swojego pamiętnika, żeby sprawdzić, kiedy dokładnie Larry wyjechał na kilka dni.

- I było to w czasie, kiedy popełniono morderstwa? - zapytała Monique.

Sally skinęła głową.

- A ten człowiek, który dzwonił - powiedział Ben, tak cicho, że ledwo go było słycać. - Czy pamiętasz, jak on się nazywał?

Monique zamknęła oczy i modliła się gorąco, by Sally знаła odpowiedź na to pytanie.

- Tak, zapisałam je w pamiętniku. Nazywał się Danny Dupray.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Poniedziałek, 10 lutego

Człowiek, który pracował na popołudniową zmianę w „Shilo”, zaczął o piątej. Mimo protestów Sally, Ben i Monique zapakowali ją do taksówki i zawieźli do siostry.

Sally była pewna, że Larry nie skrzywdzi jej, kiedy wróci do domu, ale Ben nie zamierzał ryzykować. Nie zostawili recepcjoniście wiadomości, dokąd się wybiera, a Ben wziął numer telefonu siostry Sally, żeby zadzwonić później i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Kiedy Monique odprowadzała Sally do drzwi, niosąc jej zapakowaną w pośpiechu walizkę, Ben czekał w taksówce, zastanawiając się, jakich ma jeszcze krewnych, o których nic do tej pory nie wiedział.

Przy odrobinie szczęścia spotka ich pewnego dnia. Ale tylko wtedy, gdy uda mu się wydobyć od Danny'ego Dupraya nazwisko, którego tak bardzo potrzebował, i jeśli nie zginie przy tej okazji.

Nie miał wyboru - musiał się z nim skontaktować, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Bo jeżeli Dupray był kontaktem Larry'ego w Nowym Orleanie, musiał wiedzieć, kto zaplanował morderstwo.

Ben spojrział na dom. Frontowe drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta bardzo podobna do Sally.

Widział, jak wykrzykuje coś, wskazując ręką na ramię Sally. Potem Sally powiedziała jej coś na temat Monique. Kiedy odwróciła się, żeby pomachać mu na do widzenia, Ben znów poczuł, jak coś ściska go za gardło.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, powrócił myślą do Monique - jak ma ją przekonać, żeby tym razem nie brała udziału w rozmowie z Duprayem?

Ten nowy ślad pojawił się, kiedy obydwójce stracili już nadzieję, stanowił szansę na wspólne życie z Monique. Nie ma mowy, nie pozwoli jej ryzykować - zwłaszcza gdy chodziło o Danny'ego Dupraya. Ale była tak cholernie uparta...

Właśnie wracała do taksówki. Pomyślał, że to nie tylko upór, ale w takim samym stopniu chęć pomocy. I kochał ją za to - tak jak za milion innych rzeczy.

- Lotnisko - powiedział taksówkarzowi, kiedy tylko usiadła obok niego. - Spieszymy się, więc płacę podwójnie i w razie czego zwrócę za mandat

- Już się robi - powiedział mężczyzna i ruszył. Objął Monique, a ona przytuliła się do niego mocno.

- Zdamy?

- Powinniśmy. - Jeszcze z motelu zadzwonił na lotnisko i zarezerwował bilety na najbliższy bezpośredni lot do Nowego Orleanu.

- Ben? - szepnęła. - Czy Danny Dupray stoi za tymi morderstwami?

Potrząsnął głową.

- Nie, Danny nie jest na tyle sprytny. Jest tylko pośrednikiem, płatnym informatorem, zwykłym pasożytem. Ale mógł zaangażować się w coś takiego, jeżeli tylko zaoferowano mu dobrą cenę. Z łatwością mogę sobie wyobrazić, że pracował jako kontakt dla Larry'ego. Ale na pewno nie był mózgiem tego wszystkiego. To musiał być ktoś, kto miał dużą urazę do mojego ojca, albo ktoś, kto skorzystałby na jego śmierci.

- Kto to mógł być?

- Inni członkowie Mafii Południa. Śmierć szefa powoduje zamieszanie w rodzinnej hierarchii. A jeżeli to jest planowane zamieszanie, zyskuje ten, kto je zaplanował - albo ten, kto o tym wiedział dostatecznie wcześniej.

- Kto zyskał na śmierci twojego ojca?

- Hm... Ciężko powiedzieć, jeżeli nie siedzi się w tym wszystkim. Poza tym miałem wtedy mnóstwo innych problemów na głowie. Zresztą Dominick był prawą ręką mojego ojca i tak szybko przejął rodzinne interesy, że nikt inny nie miał szans, by skorzystać z okazji.

Monique milczała przez chwilę.

- Wracając do Danny'ego Dupraya, nawet jeżeli nie był mózgiem spisku, to powinien wiedzieć, kto nim był, prawda?

- Na pewno.

- Więc pójdziemy do niego dziś wieczorem?

- Nie, uwzględniając zmianę stref czasowych, nie dotrzemy do Nowego Orleanu przed jedenastą. Zresztą lepiej poczekać do jutra. W czasie Mardi Gras po ulicach wólczą się tysiące ludzi w kostiumach i

maskach. Jeżeli się przebiorę, będę mógł swobodnie się poruszać i nikt mnie nie rozpozna.

- Jeżeli się przebierzemy, chciałeś powiedzieć. Zignorował jej słowa. Wiedział, że to „my” skończy się długą dyskusją i nie było sensu wdawać się w nią, kiedy dojeżdżali już do lotniska.

Spojrzała na niego podejrzliwie, więc ją pocałował. Po chwili byli już na miejscu.

- Lecimy liniami Delta - powiedział taksówkarzowi. - Proszę się zatrzymać przy wejściu najbliższym ich stanowiska.

Kiedy kierowca zatrzymał samochód, Ben zapłacił mu podwójnie i dodał hojny napiwek. Potem, z jedną małą walizką w ręku, ruszyli w stronę terminalu.

Odebrali bilety i nadali walizkę na bagaż, po czym poszli prosto do stanowiska ochrony. Kiedy zbliżali się do końca krótkiej kolejki, usłyszeli podniesione głosy.

- Jestem pracownikiem ochrony - mówił jakiś człowiek. - Mam prawo nosić broń!

- Nie na pokładzie samolotu, proszę pana - odpowiedział mu kobiecy głos. - Jeżeli nie wróci pan i nie odda pistoletu na bagaż, będę zmuszona go skonfiskować.

- O mój Boże! - szepnęła Monique. - To Larry.

Ben poczuł, jak krew przestaje mu krążyć w żyłach. Przyjrzał się mężczyźnie uważniej. Miała rację. Stał do nich plecami, ale wciąż jeszcze miał na sobie uniform.

- Nie mam czasu, żeby wracać i go nadawać! - prawie krzyczał. - Słyszała pani ostatnie wezwanie do samolotu do Miami. Muszę nim polecieć!

- Ma zamiar odlecieć - szepnął Ben. - Muszę go zatrzymać.

- Nie - zaprotestowała Monique, chwytając go mocno za ramię. - Nie masz broni, a on jest uzbrojony.

- Hej - odezwał się ktoś w kolejce przed nimi. - Widziałem tego faceta w telewizji. To ten morderca uciekinier! To Ben DeCarlo!

Nagle wokół nich zakotłowało się. Ktoś wołał policję. Ludzie krzyczeli i biegali. Larry wyciągnął pistolet i rozglądał się dookoła dzikim wzrokiem.

Ben wahał się przez chwilę. Potem złapał Monique za rękę i pociągnął ją za sobą, szukając bezpiecznego miejsca. Zdecydował, że najważniejsze teraz, to nie dać się zabić.

Schowali się za rogiem i Ben przycisnął Monique mocno do ściany.

- Policja! - ktoś krzyknął. - Stój, bo strzelam! Wyglądając ostrożnie, Ben zobaczył, że Lany'emu udało się przejść przez posterunek ochrony i zmierzał w kierunku wyjść do samolotów, a za nim biegł policjant z wyciągniętą bronią. Ludzie odsuwali się przerażeni.

Mimo szalonego napięcia Ben usiłował myśleć. Musiał coś zrobić! Ale co?

Nagle policjant rzucił Larry'emu ostatnie ostrzeżenie, potem rozległy się strzały.

Larry upadł. Zgromadzony tłum zasłonił Benowi resztę. Ciągłe rozlegały się strzały. Policjant przestał strzelać, gdy opróżnił cały magazynek.

Przez chwilę panowała cisza, a potem ktoś krzyknął.

- Nie żyje! Ben DeCarlo nie żyje.

- Niech wszyscy się cofną! - krzyknął policjant. - Niech wszyscy się cofną i niech ktoś zadzwoni pod 997!

- Do diabła! - powiedział mężczyzna stojący niedaleko Bena. - Nie ma to jak być we właściwym miejscu we właściwym czasie. Nasz reportaż pobije wszystkie inne w całym kraju. - Wyciągnął z kieszeni telefon i dodał: - Zapomnij o naszym locie, złapiemy coś później. Idź tam z kamerą, a ja zadzwonię. Sfilmuj dokładnie ciało i spróbuj wyciągnąć coś od gliniarza. I zbierz informacje od wszystkich, którzy siedzieli w pierwszym rzędzie.

Ben poczuł, że uginają się pod nim nogi.

- Co teraz zrobimy? - szepnął do Monique.

- Polecimy - powiedziała tak drżącym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszał. - Polecimy, bo tutaj nie możemy zrobić nic, co nie skończy się aresztowaniem ciebie.

Wszystkie loty były opóźnione z powodu strzelaniny, więc Ben zdążył jeszcze zadzwonić do Sally i opowiedzieć jej, co się stało, zanim historia dotarła do mediów.

Sally była tak zrozpaczona, a on tak przybity, że trudno im było ze sobą rozmawiać. Ben nie znał Larry'ego i nie miał żadnego powodu, aby go lubić. Ale ciągle dręczyło go pytanie, dlaczego jego brat stał się mordercą i czy można było temu zapobiec.

Mówiąc sobie, że powinien odłożyć te myśli na później, pożegnał się z Sally. Żałował, że nie może z nią teraz być.

Monique miała jednak rację. Jedyne, co miało sens, to wsiąść w samolot i wrócić do Nowego Orleanu.

Niespodziewanie zyskali przewagę. Skoro wszyscy myśleli, że nie żyje, nikt nie będzie go szukał. Ale to długo nie potrwa.

Wcześniej czy później - a sądził, że raczej wcześniej - władze odkryją, że zabitym nie jest Ben DeCarlo, a poszukiwany wciąż jest jeszcze na wolności. Więc będzie bezpieczny tylko przez chwilę.

- Lot Delta Airlines numer 642 do Nowego Orleanu - rozległo się z głośnika - przyjmuje pasażerów na pokład. Prosimy o przejście...

Poczekali, aż większość podróżnych wsiądzie, po czym weszli do samolotu i usiedli w szerokich białych fotelach pierwszej klasy. To były jedyne miejsca dostępne w ostatniej chwili i bał się, że łatwiej będzie ich zauważyć. W obecnej sytuacji mógł się jednak trochę odprężyć i odpocząć.

Kiedy znaleźli się już w powietrzu i stewardesy zaczęły roznosić napoje, zadzwonił z samolotowego telefonu do Marii i Deziego. Wyjaśniwszy im, co się stało, poprosił o zdobycie kilku potrzebnych mu rzeczy.

Kiedy odłożył słuchawkę, stewardesa pojawiła się ponownie z napojami.

- Jak mamy jutro podejść Danny'ego Dupraya? - zapytała Monique, kiedy kobieta odeszła.

Ben pociągnął łyk burbona.

- Nie my, tylko ja.

Siedziała w milczeniu, wpatrując się w niego.

- Myślałam - powiedziała w końcu - że wyraziłam się wczoraj jasno. Nie wyjdę tuż przed finałem.

- Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj. Larry nie żyje. To znaczy, że nie uda ci się zdobyć zeznania od prawdziwego mordercy. Więc musimy się dowiedzieć, kto za tym stoi. Inaczej znajdziesz się z powrotem w Angola.

- Monique...

- Posłuchaj - warknęła, uderzając go w pierś tak mocno, że omal nie rozlał reszty drinka. - Kocham cię, więc nie chcę, żebyś wrócił do więzienia. Ale jest też i drugi powód. Pomagałam ci i jeżeli nie uda ci

się udowodnić, że jesteś niewinny, ja też skończę za kratkami za pomoc i współudział. I jeszcze...

- Sądysz, że na coś takiego pozwolę? Nigdy w życiu. Przysięgnę, że przez cały czas byłaś moją zakładniczką i musiałaś robić to, co ci kazałem.

- Jasne. I sądzisz, że policja to kupi? Daj spokój! W peruce i okularach nikt, z kim rozmawiałam, mnie nie rozpoznał. Ale jeżeli cię złapią i pokażą w mediach moje zdjęcie, bardzo szybko wszyscy się zorientują. I wtedy będę miała poważne kłopoty.

- Nie, będziesz musiała po prostu wydostać się z Nowego Orleanu i...

- Akurat. Nigdy nie dadzą mi spokoju, nieważne jak daleko wyjadę. Zbyt wiele osób wie, że pomagałam ci z własnej woli. Na przykład ci detektywi - poszłam do nich sama. Powiedzą, że miałam idealną sposobność, by wezwać wtedy policję. A co z Dannym Duprayem? Albo z Barb, tą kelnerką w „Twinkle”? Wiedzą, że nikt nie przystawiał mi pistoletu do głowy, kiedy przyszłam się z nimi zobaczyć. Potem w Las Vegas... Ben, jest cała lista ludzi, którzy...

- Monique, to...

- O nie, ja też muszę chronić swój tyłek i będę nadal to robić - krok po kroku - razem z tobą, czy ci się to podoba, czy nie.

Usiadła głębiej w fotelu i z poważną miną napiła się swojego burbona

- Czy teraz wreszcie wyraziłam się jasno? - zapytała ociekającym słodyczą głosem.

Zanim wylądowali w Nowym Orleanie, wiadomość, że Ben DeCarlo został zastrzelony na lotnisku w Las Vegas, była już powszechnie znana.

Monique czuła się dziwnie, słysząc, jak ludzie na lotnisku rozmawiali o tym. Taksówkarz także zapytał ich o opinię na temat strzelaniny.

Im bliżej dzielnicy francuskiej, tym ruch był większy.

- Dzień przed Mardi Gras - powiedział Ben, kiedy kierowca przestał na chwilę wrzeszczeć na pieszych blokujących mu drogę - stał się znany jako Lundi Gras. Miasto opanowuje szaleństwo równe jutrzejszemu. Koszmar...

Ruszyli, tylko po to, żeby zatrzymać się kilkanaście metrów dalej, znowu z powodu tłumów na drodze.



- Chyba nie ma sensu tam wjeżdżać - powiedział Ben taksówkarzowi. - Przejdziemy resztę drogi pieszo. Dzielnica jest zamknięta dla ruchu w Mardi Gras - wyjaśnił Monique, kiedy wysiedli z taksówki.

Posuwali się powoli zatłoczonymi ulicami, więc kiedy dotarli do mieszkania, była już pierwsza w nocy.

- Dezi był tutaj - oznajmił Ben po wejściu do salonu. - Są kuloodporne - dodał, wskazując na leżące na kanapie kamizelki.

- Cóż to? - zapytała Monique nerwowo. - Zamierzamy szturmować Bastylię?

- Nie wiem jeszcze. To zależy, czego dowiemy się od Danny'ego Dupraya. Ale musimy być przygotowani. Chodź - dodał, wychodząc do przedpokoju. - Jeżeli Maria też tu była, na pewno spodoba cię się to, co przyniosła.

Łóżko w sypialni zasłane było kostiumami. Wyrafinowane nakrycia głowy leżały na podłodze.

- Moja matka - wyjaśnił - nigdy niczego nie wyrzucała. Więc Maria miała prawdopodobnie do wyboru kostiumy z trzydziestu ostatnich lat.

Odwrócił się w stronę szafki, na której stał telefon. Tak jak ostatnim razem, w czasie ich nieobecności kilka osób pozostawiło wiadomości.

Monique przyglądała mu się, kiedy je odsłuchiwał, myśląc, że jest równie zdenerwowany, jak ona. Tak długo już stali nad przepaścią, że nie wiedziała, ile jeszcze będzie w stanie znieść - widok kamizelek kuloodpornych w salonie działał kojąco.

Ale wiedziała, że nie wolno im się zatrzymać, bo nie będą mieli drugiej szansy.

Ben zrobił kilka notatek, potem rozłączył się.

- Coś ciekawego? - zapytała.

- Uhm. Nasz przyjazny reporter Farris Quinn zostawił wiadomość dla Anne Gault kilka godzin temu. Usłyszał, że nie żyję i chciał ci przypomnieć, że dałem mu prawo na wyłączność.

Monique poczuła dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Choć ze wszystkich sił starała się o tym nie myśleć, gdzieś w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że Ben może zginąć, zanim to wszystko się skończy.

- Jest jeszcze jedna wiadomość - kontynuował. - Chyba przyjemniejsza. Nasze medium dzwoniło dziś po południu. Podobno wyczuła coś więcej na mój temat.

Puls Monique przyspieszył. Może Ben nie wierzył w przepowiednie, ale wszystko, co do tej pory powiedziała Cheryl Tremont, okazało się prawdą.

Źródłem kłopotów Bena był brat bliźniak, krewny, o którym mówiła. A kiedy go znaleźli, stanęli twarzą w twarz z poważnym niebezpieczeństwem, jak przewidziała.

- Co to było? - zapytała. - Co więcej wyczuła?

- Ona czuje, że jest coś, co może mi pomóc - o ile uda mi się to znaleźć.

- Co takiego?

- Nie mogła tego wyraźnie zobaczyć, ale wyczuwa, gdzie to jest. Więc muszę wyjść na chwilę.

- O tej porze?

Skinął głową, przekopując dolną szufladę szafki.

- Czego szukasz?

- Widziałem gdzieś tutaj latarkę.

Chwilę później odwrócił się do niej, trzymając lampkę w ręku.

- Jutro w kostiumach i maskach będziemy mogli bezpiecznie pójść wszędzie. Ale jeżeli nie uda nam się dokończyć wszystkiego... - Wzruszył ramionami.

- Co wtedy?

- Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy. Policja ma obowiązek porównania odcisków palców Larry'ego z moimi. Jak tylko to zrobią, cały departament nowoorleańskiej policji zacznie znów przeszukiwać miasto. Nawet jednojajowe bliźniaki nie mają identycznych linii papilarnych, więc nie możemy tracić czasu.

- Dobrze, chodźmy.

- Nie, ty zostajesz. I nie mów mi, że już to sobie wyjaśniliśmy - dodał szybko. - Chciałbym cię uprzedzić, to coś znajduje się według Cheryl na cmentarzu St. Louis. A cmentarze w Nowym Orleanie są pełne złodziei i narkomanów. Nawet w dzień nie jest tam bezpiecznie, a co dopiero w nocy.

Monique zebrała całą swoją odwagę.

- Jeżeli tam jest niebezpiecznie - powiedziała - to czy naprawdę myślisz, że pozwolę ci iść samemu?

Wtorek, 11 lutego 2:07

Ben objął Monique mocno, kiedy szli w górę Conti Street.

Pomimo późnej pory w barach był tłok, a ulice wypełnione ludźmi. Większość świętowała pierwsze godziny Mardi Gras, ale nie brakowało też kieszonkowców.

- Strasznie gorąco w tej kamizelce - powiedziała Monique. - I jest ciężka.

- To nieistotne. Ważne, że jest odporna na kule. W razie kłopotów będziesz zadowolona, że masz ją na sobie.

Był pewien, że gdy każe jej założyć kamizelkę, Monique wycofa się. Mylił się. Miała w sobie więcej odwagi niż jakakolwiek inna kobieta, którą znał.

- Daleko jeszcze? - zapytała.

- Już prawie jesteśmy. Zaraz skończy się dzielnica francuska, cmentarz jest tuż za nią, obok parku Louisa Armstronga.

Resztę drogi przeszli milcząc i kiedy ich oczom ukazały się mury cmentarza, Ben poczuł, jak jego serce przyspiesza. W porównaniu z rozświetloną neonami ulicą cmentarz był atramentowo czarny. Za bramą jedynymi światłami będą księżyc i promienie latarki.

- Wejście jest zamknięte - powiedział. - Musimy przejść przez mur.

Najpierw podsadził Monique, potem wspiął się sam.

- Tu są same grobowce - wyszeptała nerwowo, kiedy zeskoczył obok niej.

- Tak. Część Nowego Orleanu leży poniżej poziomu morza. Zanim więc opanowano technikę drenażu za pomocą systemu rur, większość ludzi grzebano nad ziemią.

Wszystkie te grobowce i kapliczki, pomyślał, nieświadomie dotykając pistoletu, były idealnym schronieniem dla mętów społecznych.

Rozpiął kurtkę, wyciągnął latarkę i włączył ją.

- Trzymaj - podał ją Monique, po czym odpiął od paska pistolet.

- Sądysz, że będziemy go potrzebować? - wyszeptała przerażona.

- Mam nadzieję, że nie. - Wziął ją za rękę i poprowadził w ciemność.

- To miejsce nie jest wcale małe.. - mruknęła. - Czy Cheryl powiedziała ci, gdzie dokładnie masz szukać?

- W pobliżu grobu Marie Laveau. Musimy iść prosto przed siebie.

- Skąd wiesz?

- To znane miejsce. Marie Laveau była potężną królową voodoo.

Monique zakrztusiła się. Kiedy na nią spojrzął, stwierdził, że wyrażenie „zmarła ze strachu” doskonale posowało do wyrazu jej twarzy. Żałował jak diabli, że nie zostawił jej w mieszkaniu.

- Czy mamy jakiegokolwiek pojęcie, czego szukamy? - szepnęła.

- Cheryl powiedziała, że to coś jest z metalu. I że jest ukryte w grobowcu, na którym widnieje napis „modlitwa”, „módl się” albo coś w tym rodzaju. Nie mogła powiedzieć dokładnie.

- Aha. Prawdopodobnie na całym cmentarzu znajduje się tylko jeden grób z jakąś formą słowa „modlić się” - powiedziała Monique kwaśno.

Kiedy spojrzął na nią, przerażona próbowała zdobyć się na uśmiech. Przystanął więc, by ją pocałować. Nagle zahukała sowa i obydwójce podskoczyli.

- Chodź - powiedział, ruszając z miejsca. Im szybciej to załatwią, tym lepiej.

- Metal - mruknęła, kiedy przeszli kolejnych kilka metrów. - Połowa tych grobów jest otoczona kutymi w żelazie ogrodzeniami. Czy to miała na myśli Cheryl?

- Nie sądzę. Powiedziała wyraźnie, że z metalu jest to coś, co może mi pomóc. Raczej nie chodziło jej o ogrodzenie. To - dodał - jest grób Marie Laveau. Ten duży nagrobek przed nami po lewej.

Monique skierowała na niego promień latarki.

- Zobacz, Ben, cały jest pokryty znakami w kształcie X. Jeżeli to takie znane miejsce, dlaczego nie dbają o nie trochę bardziej?

- Właściwie ten grób nie jest zdewastowany. A znaki mają przynosić szczęście. I nawet jeśli są usuwane, natychmiast pojawiają się nowe.

- Jak... magia?

- Czarna magia, tak podejrzewam. Na tym polega voo - doo. Nie wiesz?

- O Boże, wcale mi się to nie podoba. Znajdźmy szybko to, czego szukamy, proszę.

Trzęsącą się ręką skierowała światło latarki na najbliższy grób. Był o wiele mniejszy i ciemniejszy i nie było na nim nic o modleniu się.

Sprawdziła kilka kolejnych, aż natrafiła na napis: „Niech nasze modlitwy będą z tobą”.

- Ben? To może być to.

Grobowiec był mały, zbudowany z marmuru. W świetle latarki Ben zbadał uważnie każdy centymetr jego powierzchni.

- Nie mogę wyczuć niczego, co byłoby obluzowane - powiedział w końcu. - A Cheryl mówiła, że to coś znajduje się w środku.

- To pewnie nie tutaj. - Kiedy Monique skierowała latarkę na następny grób, Ben usłyszał, jak zachłysnęła się powietrzem.

- O mój Boże - szepnęła. - Spójrz.

Patrzył z niedowierzaniem na napis. Stali przy grobie kogoś, kto nazywał się Etienne Dupray.

Ben otworzył małe drzwiczki z kutego żelaza wmontowane w ogrodzenie.

- To ten - szepnęła Monique. - To musi być ten. Grobowiec pokryty był tynkiem, który miejscami odpadał, ukazując cegły. Trzęsącymi się dłońmi Ben zaczął przesuwac po przedniej ścianie. Potem spróbował zrobić to samo z boku. Na koniec przeszedł na tył, tracąc nadzieję, że uda im się cokolwiek znaleźć.

Monique skierowała promień latarki na tylną ścianę. Kilka najwyraźniej niedawno ruszanych cegieł przysypanych było ziemią.

- Spróbuj tam - zasugerowała.

Uklęknął i powoli zbadał ścianę rękami. Kiedy wymacał kilka poluzowanych cegieł, poczuł nagły przyptyw sił.

Poruszał nimi do przodu i do tyłu, aż wreszcie udało mu się je wyciągnąć. Potem ostrożnie wsunął rękę do środka, mając nadzieję, że nie zagnieździł się tam żaden wąż.

- Jest coś? - szepnęła niecierpliwie Monique ponad jego ramieniem.

Dotknął czegoś drewnianego. Szpara była tak wąska, że z trudem poruszał palcami.

- Drewniane pudełko - powiedziała Monique, oświetlając to, co wyciągnął. - Ale przecież Cheryl mówiła o czymś metalowym.

- Poczekaj, sprawdzę w środku.

Napęczniałe od wilgoci panującej w powietrzu Nowego Orleanu, ale szczelnie zamknięte pudełko było wystarczająco duże, żeby zmieścić się w nim zestaw noży.

Po chwili udało mu się otworzyć je i rozwinąć przedmiot, ukryty w zwojach miękkiego materiału. Ich oczom ukazał się pistolet.

Patrzył ogłupiały. Bał się myśleć, że to może być ten pistolet.

- Ben? Czy to może ci pomóc?

- Ja... Nie wiem. Ale to jest beretta 9 mm. Pamiętasz, co mówiono na procesie? Pamiętasz, z jakiego pistoletu zabito moich rodziców?

- Mój Boże - wyszeptała. - Wymieniano berettę 9 mm. Więc to może być nie odnaleziona broń zabójcy.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wtorek, 11 lutego 12:59

Monique otworzyła oczy na tyle szeroko, żeby odczytać godzinę na stojącym obok łóżka zegarku, po czym natychmiast usiadła.

Obok niej Ben przekręcił się na bok, mrużąc coś niewyraźnie.

- Obudź się - powiedziała - już późno.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki, zastanawiając się, jak mogli tak twardo spać, pomimo docierających z zewnątrz odgłosów zabawy.

Mardi Gras najwidoczniej już się zaczął, a planowali wstać, zanim jeszcze wszystko się rozkręci. Ale znaleźli się w łóżku dopiero około czwartej nad ranem i najwyraźniej zmęczenie ostatnich dni wreszcie ich dopadło.

Weszła pod prysznic. Potem, kiedy Ben się kąpał, wysuszyła włosy i jeszcze raz powróciła myślą do planu, który ułożyli wczoraj, po powrocie z ekscytującej wyprawy na cmentarz.

Kiedy Ben wynurzył się spod prysznica, ukazując jej oczom doskonale umięśnione, ociekające wodą ciało, pomyślała, że jest chyba najseksowniejszym mężczyzną pod słońcem. Zmusiła się jednak do powtórnego przemyślenia planu.

- Jesteś pewien, że dobrze robimy? - zapytała. Skinął głową.

- Może powinniśmy zanieść ten pistolet na policję? Jeżeli z niego strzelano do twoich rodziców, to jest dowodem rzeczowym i...

- Owszem. Ale jeśli tam pójdziesz i powiesz, że masz pistolet, z którego zastrzelono DeCarlo, znajdziesz się w pokoju przesłuchań szybciej, niż zdążysz powiedzieć: „Augustine's”. Poza tym nie ufam policji w Nowym Orleanie. Jest tam tylu skorumpowanych policjantów, że gdybyśmy dali im pistolet, mógłby po prostu zniknąć.

- Ale ufasz Farrisowi Quinnowi.

- Monique, już o tym rozmawialiśmy. Nie wiem, jak bardzo można mu ufać. Ale musimy zostawić ten pistolet komuś na przechowanie, na wszelki wypadek.

Pokiwała niespokojnie głową, nie dopuszczając do siebie myśli, że jego „na wszelki wypadek” odnosiło się do sytuacji, w której zginęliby oboje. Nawet, jeśli tak miałyby się stać, Ben chciał, żeby udowodniono jego niewinność.

- Gdybym dał go Marii albo Deziemmu - kontynuował - i gdyby któreś z nich przekazało pistolet policji... No cóż, sądzę, że poświęcą mu więcej uwagi, jeżeli dostaną go od Farris Quinna. Zwłaszcza gdy

wcześniej napisze o tym artykuł, zmuszając w ten sposób policję do poważnego potraktowania sprawy.

- Chyba masz rację. Lepiej spróbuję go złapać. - Poszła do sypialni i wystukała w telefonie numer jego komórki.

- Quinn - odezwał po kilku dzwonekach.

- Mówi Anne Gault. Przyjaciółka Bena DeCarlo.

- Ach, to pani. Przykro mi z powodu tego, co się stało. Miałem nadzieję, że naprawdę jest niewinny i będzie to mógł udowodnić. Nie tylko dlatego, że miałbym świetny materiał na artykuł.

- Tak... Nie zapomniałam oczywiście, że obiecaliśmy panu materiał bez względu na zakończenie. Ale obawiam się, że nie mogę go jeszcze panu dać.

- Och?

- Potrzebuję trochę czasu.

- No cóż, im więcej czasu to pani zajmie, tym bardziej prawdopodobne, że jakiś reporter wyprzedzi mnie i wtedy nici z...

- Mam coś, co chciałabym dać panu na przechowanie. Coś, czego nie dostanie żaden inny reporter. To niezwykle ważny element całej historii.

- Co to takiego?

- Nie chcę mówić przez telefon, ale może spotkamy się w redakcji „Times - Picayune” za godzinę?

- Lepiej za półtorej - szepnął Ben, stanąwszy w drzwiach. - Na ulicy są straszne tłumy.

- Nie, za półtorej godziny - powiedziała do słuchawki. - Będzie pan tam?

- Dobrze - odparł Quinn powoli. - Zobaczymy się o trzeciej piętnaście w czytelniku.

- Redakcja „Times - Picayune” - powtórzył Ben, naciągając spodnie, kiedy odłożyła telefon - znajduje się na Howard, w dzielnicy biurowej. Wyprowadzę cię z dzielnicy i złapiesz taksówkę. Quinn jest na tyle bystry, że mógłby mnie rozpoznać, więc jeśli chcemy, żeby wszyscy myśleli, że leżę martwy w kostnicy w Las Vegas, lepiej nie ryzykować.

Ben powiedział, że poranne parady dawno się już skończyły, a wieczorne jeszcze nie zaczęły, ale Monique wątpiła, czy chociaż jeden z uczestników zabawy wrócił w międzyczasie do domu lub do hotelu.



W dzielnicy były tłumy. Jedni ludzie mieli na sobie kostiumy i maski, inni nie. Niektórzy chwiali się na nogach, co pozwalało jej przypuszczać, że nie trzeźwieją już od kilku dni.

Ponieważ ona i Ben nie mieli w mieszkaniu nic do jedzenia, kupili kawałek smażonej ryby od ulicznego sprzedawcy i zjedli ją, idąc w stronę Canal Street.

Następnie skręcili w stronę Gravier Street, gdzie ruch był wprost nieprawdopodobny. Ben zatrzymał taksówkę, potem wyjął spod płaszcza drewniane pudełko i wręczył je Monique.

- Koniecznie powiedz Quinnowi, że na pistolecie mogą być odciski palców, więc nie powinien go dotykać. I niech go pilnuje jak oka w głowie. Nie, lepiej powiedz mu, że ten pistolet, jeżeli go przechowa bezpiecznie, być może przyniesie mu nagrodę Pulitzera.

Monique pocałowała Bena, po czym wsiadła do taksówki. Samochód ruszył. W drodze próbowała pozbyć się wątpliwości, czy dobrze robią, ufając Quinnowi.

Do siedziby „Times - Picayune” dotarła kilkanaście minut po trzeciej, weszła więc szybko do budynku i zapytała o drogę ochroniarza, który spisał jej nazwisko.

Quinn miał około trzydziestu pięciu lat. Pokazał identyfikator, nie spuszczać z niej wzroku. Mimo peruki i okularów nie mogła pozbyć się niemiłego uczucia, że on wie, że kiedyś już ją widział, a teraz próbuje sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.

W końcu spojrzął na pudełko, które Monique mocno przyciskała do piersi.

- To właśnie mam dla pani przechować? - zapytał. Rozejrzała się dookoła, ale nie zobaczyła nikogo, kto wydawałby się zainteresowany ich rozmową.

- Tak - odpowiedziała cicho.

- Co to jest? Wzięła głęboki oddech.

- Pistolet. Beretta 9 mm. Myślę, że jest to broń, z której zabito Antonia i Bethany DeCarlo.

- Aha - powiedział Quinn spokojnie. - Czemu pani tak myśli?

- Niestety, nie mogę teraz podać panu szczegółów. Proszę tylko bezpiecznie go przechować. I nie dotykać, bo mogą znajdować się na nim odciski palców mordercy. Jeżeli cokolwiek nam się przytrafi, proszę przekazać go policji. Ale zanim to pan zrobi, proszę upewnić

się, że sprawa jest na tyle głośna, by musieli zająć się nim z należytą uwagą.

- Nam? - spytał.

- Słucham?

- Powiedziała pani: jeżeli cokolwiek nam się przytrafi. Poczula, jak gorąco oblewa jej twarz.

- Czy Ben DeCarlo naprawdę zginął wczoraj? Pokiwała głową, bojąc się powiedzieć coś więcej, żeby nic już się jej nie wymknęło.

Quinn spojrzał na nią podejrzliwie.

- Skąd ma pani ten pistolet? Miała mu opowiedzieć o medium?

- Dostałam informację - odparła w końcu.

- A gdzie był? - Kiedy się zawahała, dodał: - Jeżeli mam go oddać policji i chce pani, żeby się nim zajęli, sądzę, że powinni to wiedzieć.

On miał rację.

- Na cmentarzu St. Louis. W grobowcu człowieka, który nazywał się Etienne Dupray.

- Dupray - powtórzył Quinn. Z wyrazu jego twarzy poznała, że to nazwisko nie było mu obce. I przestraszyła się, czy nie powiedziała za dużo.

- Zadzwoń jeszcze do pana - mówiąc to, podała mu pudełko i cofnęła się nieco.

- Liczę na to. I...

- Tak?

- Proszę nie dać się zabić. Zmusiła się do uśmiechu.

- Staram się, jak mogę.

Kiedy odwracała się, żeby odejść, jej wzrok padł na mężczyznę stojącego przy pobliskim stole.

Nie było go tam przed chwilą. Czy mógł coś usłyszeć?

Mówiąc sobie, że wpada w paranoję, wyszła na ulicę, w popołudniowe słońce.

17:02

- Zgoliłeś brodę - powiedziała Monique po wejściu do mieszkania.

Ben skinął potwierdzająco głową.

- Nie będzie mi potrzebna pod maską.

Zdjęła okulary i ściągnęła perukę, rozpuszczając włosy, świadoma, że jego odpowiedź jest nielogiczna.

- A jeżeli nie uda nam się zdobyć tego, czego potrzebujemy? - zapytała w końcu.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Uda nam się. Czuję to w kościach. - Musiała odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech.

- A jeżeli się nie uda? Broda to świetne przebranie i...

- Cii - wyszeptał, kładąc palec na jej ustach. - Po dzisiejszym wieczorze nie będę już potrzebował przebrania, bo w ten czy inny sposób będzie już po wszystkim. Albo dowiemy się tego, co chcemy, albo wyniesiemy się z Nowego Orleanu do wszystkich diabłów. Mówiłem ci to wczoraj. Kiedy policja zorientuje się, że nie jestem martwy, znów zaczną przekopywać miasto. A my musimy wtedy być już daleko.

- Gdzie?

- Zarezerwowałem już dla nas dwa loty. Oba krótko po północy. - Pocałował ją w czubek głowy i wziął za rękę. - Chodź. Musisz wybrać sobie kostium.

- Nie... Poczekaj chwilę. Dwa loty? Miałeś na myśli dwa miejsca na ten sam lot, prawda?

- Niedokładnie tak. Zarezerwowałem ci lot do Seattle, żebyś mogła zobaczyć się z rodzicami. Potem, kiedy już gdzieś się urzędę... Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Poza tym uda nam się dziś wieczorem, więc cała ta dyskusja nie ma sensu.

Stała sztywno, w głowie czuła gonitwę myśli. Wiedziała dokładnie, jaki był tok jego rozumowania. I wpadł na absurdalny pomysł - który zapewne w jego pojęciu był szlachetny - nie powinien ciągnąć jej za sobą, żeby nie musiała przez całe życie ukrywać się razem z nim.

Już miała powiedzieć mu, co na ten temat myśli, ale stwierdziła, że rzeczywiście chwilowo ta dyskusja była bez sensu. A czasu mieli niewiele. Zgoda, zostawi ten temat, do chwili, kiedy taka rozmowa okaże się konieczna.

- Twoje przebranie? - przypomniał jej.

Wczoraj, po powrocie do domu, po prostu zrzucili wszystkie kostiumy, które przyniosła Maria, z łóżka na podłogę. Ale teraz, wchodząc do sypialni, zauważyła wiszący na drzwiach szafy kostium goryla.

Nie był to jednak zwyczajny kostium. Białe futro, spodenki w biało - czerwone paski, szeroki czerwono - biały krawat w grochy oraz wyszywana cekinami czerwona marynarka.

- Przebierasz się za lalusiowatego goryla albinosa?

- Nie widziałaś jeszcze wszystkiego. - Ben wyciągnął kudłatą białą głowę, zwieńczoną miękką czerwoną czapką, wyszywaną cekinami.

- Nie sądzisz, że będziesz aż za bardzo widoczny? Rzucił jej krzywe spojrzenie.

- To Mardi Gras. Właśnie ci, którzy nie wyglądają dziwacznie, są najbardziej widoczni. Poza tym podoba mi się jego gęba i mogę pod tym kostiumem nosić kamizelkę kuloodporną, nie będzie jej widać. Weź to pod uwagę, jak będziesz wybierać coś dla siebie. Pamiętaj o kieszeni na pistolet.

Monique zaczęła przeglądać kostiumy, od razu odrzucając kuse przebrania francuskiej pokojówki czy kelnerki - aż w końcu trafiła na strój żaby Kermita.

- Co o tym myślisz? - zapytała, podnosząc go z podłogi.

- Wspaniały. Jasna zieleń to twój kolor. Wtem ktoś zapukał do drzwi.

- Spodziewasz się Marii albo Deziego? - zapytała zaniepokojona.

Zaprzeczył ruchem głowy, złapał leżącą na łóżku maskę i wyszedł z pokoju. Monique ruszyła za nim. Wyjrzał przez wizjer i zapytał:

- Kto tam?

- Szukam pani Anne Gault - odpowiedział męski głos.

- Nikt taki tutaj nie mieszka. - Odsunął się od drzwi, udostępniając wizjer Monique.

Wyjrzała z mocno bijącym sercem. Jej tętno przyspieszyło.

- Wie pan, pod którym numerem mieszka? - zapytał mężczyzna. - Jestem pewien, że gdzieś w tym budynku. Taka ładna kobieta, z prostymi ciemnymi włosami.

- Bardzo mi przykro - powiedział Ben. - Nigdy jej nie widziałem.

Kiedy mężczyzna odwrócił się i odszedł, Monique chwyciła Bena za rękę.

- To jest ten facet z „Times - Picayune”! - wyszeptała.

- Martwiłam się, że usłyszał część tego, co mówiłam Farrisowi Quinnowi o pistolecie.

- Do diabła, pewnie tak było. Potem śledził cię, więc zobaczył, do którego budynku weszłaś, ale nie zna numeru mieszkania. Ale skąd zna twoje nazwisko?

- Nie wiem. Może zapytał Quinna?

- Nie, Quinn nigdy by...

- Wiem już - przerwała mu. - Musiałam wpisać się do rejestru odwiedzających, więc prawdopodobnie po prostu do niego zajrzał. Ale dlaczego mnie śledził? Czy to jakiś reporter, który chce wyprzedzić Quinna?

Ben potrząsnął głową i gestem nakazał, by nic nie mówiła. Potem, ukrywając twarz za maską przyniesioną z sypialni, uchylił drzwi i wyrzwał na zewnątrz.

Kiedy zamknął je, odwrócił się do niej z pobladłą twarzą.

- Co się stało?

- Nasz znajomy stoi na końcu korytarza i rozmawia z kimś przez komórkę. To znaczy, że musimy się stąd wynosić. Jeżeli usłyszał to, co mówiłaś Quinnowi na temat pistoletu... Cóż, po obu stronach są ludzie, którzy nieźle zapłacą mu za tę informację. I założę się, że chcieliby dowiedzieć się od ciebie więcej.

Nałożyli kamizelki i kostiumy, nie tracąc ani chwili. Ben wręczył jej torebkę, którą miała ze sobą w Las Vegas. Spojrzała w lustro i uświadomiła sobie, że żaba z dużą torebką wygląda idiotycznie.

Powiedziała mu o tym, ale Ben potrząsnął głową.

- Potrzebny nam dyktafon. Przydałby się jeszcze jeden sznur do bielizny.

Do jednej kieszeni włożył pistolet, do drugiej telefon i naciągnął głowę goryla.

- Dobra, do dzieła.

Ostrożnie otworzył drzwi i wyrzwał na korytarz.

- Nikogo nie ma. Ale na wypadek, gdyby ten facet obserwował budynek, wyjdziemy tylnymi drzwiami. Potem obejdziemy dom naokoło i zobaczymy, co się dzieje.

Trzymając się mocno za ręce, zeszli z na dół. Wyszli na małą alejkę. Obeszli budynek i znaleźli się na Royal Street, gdzie natychmiast otoczył ich tłum.

- Poczekamy w tej małej restauracyjce na wprost wejścia do domu - powiedział Ben, przepychając się przez gęsty tłum.

Okna lokalu wychodziły na ulicę i szczęście im dopisało. Gdy tylko weszli, jakaś para zwolniła miejsce, z którego był doskonały widok na wszystko, co działo się na zewnątrz.

Postanowili coś zjeść, bo później mogli nie mieć już ku temu okazji. Zamówili zupę z owoców morza, serwowaną jako danie dnia.

Kiedy tylko kelnerka przyjęła zamówienie i odeszła, Ben wskazał na ulicę.

- Albo są przebrani za szwadron policji, albo to nasze towarzystwo.

Patrząc na grupę policjantów torujących sobie drogę przez tłum, Monique czuła coraz większy niepokój. Wprawdzie wyglądali tylko jak goryl i jego przyjaciel żaba, bawiący się świetnie na koniec karnawału, jednak Monique nie mogła powstrzymać fali strachu, kiedy umundurowana grupa weszła do budynku.

- Co się stanie, jeżeli włamią się do mieszkania? - zapytała. - Ustalą, kim jesteśmy?

- Nie sądzę, żeby się włamali. Ten facet, który cię śledził, nie mógł powiedzieć im dużo. Tylko tyle, że kobieta, która wie coś na temat zabójstwa małżonków DeCarlo, prawdopodobnie tam mieszka.

- To za mało do wyważenia drzwi?

- Tak myślę. W środku jest piętnaście mieszkań. Ale mam nadzieję, że niczego nie zapomnieliśmy, bo nie będziemy mogli już wrócić. Jeden z nich prawdopodobnie zostanie i będzie obserwował dom.

Ben umilkł, widząc kelnerkę niosącą im na tacy ciepły chleb i zupę. Zdjął rękawice i sięgnął po łyżkę. Oboje odkryli jednak, że niełatwo jeść, mając na głowie maskę goryla lub żaby. Monique zresztą i tak nie była głodna. Jej żołądek zmienił się w twardą ołowianą kulę.

- Kiedy pójdziemy zobaczyć się z Dannym Duprayem? - zapytała w końcu. - Nawet nie próbuj dyskutować - dodała nadspodziewanie szybko, widząc poprzez wykrojone w masce otwory spojrzenie Bena. - Nigdzie się beze mnie nie wybierzesz.

- Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że jesteś najbardziej upartą kobietą, jaka chodzi po ziemi? - mruknął.

- Tak. Więc kiedy?

- Im szybciej, tym lepiej. Miejmy nadzieję, że nie poszedł świętować gdzie indziej.

Ben wyjął komórkę z kieszeni wraz z kawałkiem papieru, na którym zapisane były numery do „Twinkle” i do mieszkania Danny'ego.

- Masz - podał jej wszystko. - Lepiej ty zadzwoń. Zna mój głos.

- Wszyscy wierzą, że nie żyjesz - powiedziała. - Więc pewnie pomyśli, że to duch do niego dzwoni. - Przez maskę goryla nie mogła dostrzec, czy Ben się uśmiechnął, ale bliższa była raczej myśli, że jego poczucie humoru już się wyczerpało.

Zadzwoiła najpierw do mieszkania i rozłączyła się, kiedy usłyszała automatyczną sekretarkę. W „Twinkle” ktoś odebrał, ale to nie był Dupray.

Kiedy poprosiła go do telefonu, mężczyzna, który odebrał, mruknął po prostu „Nie ma go tutaj” i odłożył natychmiast słuchawkę.

- I co teraz? - zapytała Bena - Jak widać, wybrał się chyba gdzie indziej.

- A co z tą kelnerką?

- Barb? Mogę spróbować zadzwonić do niej. Ale jeżeli Danny powiedział jej, że kłamałam na temat Felicii, ona pewnie też się rozłączy.

Ben wzruszył ramionami.

- Dupray nie jest typem człowieka, który zwierzałby się swoim pracownikom, więc warto chyba spróbować.

Dzwoniąc jeszcze raz do „Twinkle”, Monique zmieniła głos i poprosiła Barb.

- Cześć, mówi siostra Felicii Williams - powiedziała, kiedy kelnerka podniosła słuchawkę. - Pamiętasz mnie?

- Tak, oczywiście.

- Słuchaj, muszę jeszcze raz porozmawiać z Dannym. To bardzo ważne, więc pomyślałam, że może ty wiesz, czy wróci jeszcze do klubu.

- Na pewno. Mamy mnóstwo klientów, a on nigdy nie pozwala sprawdzać rachunków nikomu innemu, jeżeli jest ruch w interesie.

- Świetnie. Wiesz, o której może się pojawić?

- Nie. Ale jeżeli dasz mi swój numer, zadzwonię, jak tylko się pokaże.

- Fantastycznie! - Monique podała jej numer. - Stokrotne dzięki. To naprawdę bardzo ważne.

- Felicia była moją przyjaciółką. Pożegnawszy się z Barb, Monique rozłączyła się.

- Zadzwoń do nas, jak tylko Danny wróci. Chciała oddać telefon Benowi, ale on potrząsnął przecząco głową.

- Jeżeli ma do nas oddzwonić, to lepiej ty trzymaj go przy sobie.

- Nie mogę zjeść już nic więcej - powiedziała, wsuwając aparat do kieszeni. - Co będziemy robić, czekając?

- Znam pewne miejsce, gdzie możemy pójść. - Przywołał kelnerkę, poprosił o rachunek, zapłacili i wyszli z powrotem na Royal Street. Zapadł już zmrok, ale ponieważ paliły się chyba wszystkie światła, na ulicy było jasno jak w dzień.

Przepychając się przez morze ludzi, doszli do Bourbon Street, która - mimo że wydawało się to niemożliwe - była jeszcze bardziej zatłoczona. Niemal w każdym budynku mieścił się jakiś klub i pomimo wczesnej pory dźwięki muzyki dochodziły aż na ulicę.

- To niedaleko - powiedział Ben, obejmując ją w pól i wymijając dwóch kompletnie pijanych mężczyzn.

Kiedy dotarli do Toulouse Street, skręcili na północ. Tak jak reszta dzielnicy, Toulouse Street stanowiła mieszaninę zaniedbania i elegancji, ale budynek, przed którym się zatrzymali, był wyjątkowo dobrze utrzymany.

- To tutaj - powiedział Ben.

Przez chwilę Monique patrzyła niepewnie na łukowato sklepione drzwi, ozdobione szkłem w ołowianej oprawie i kutym żelazem. Potem dostrzegła małą miedzianą tabliczkę informującą, że tu znajduje się winiarnia „Crescent”.

- To twój przybytek - powiedziała, uśmiechając się do niego pod maską.

- Aha - otworzył szeroko drzwi. - Chciałem, żebyś go zobaczyła.

W środku winiarnia lśniła wypolerowanym ciemnym drewnem i zabytkowym szkłem. Mimo że była bardzo zatłoczona, wydawała się znacznie bardziej interesująca niż jakikolwiek inny bar w okolicy.

- Jest piękna. Ben skinął głową.

- Renowacja świetnie się udała. Chodźmy przywitać się z Dezim. Założę się, że nas nie pozna.

Ruszyli w stronę kontuaru, ale zanim do niego dotarli, komórka zaczęła dzwonić.



Monique szybko wyjęła ją z torebki i odebrała. Zanim zdążyła powiedzieć „halo”, po hałasie, jaki usłyszała w słuchawce, poznała, że dzwoni Barb z „Twinkle”.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wtorek, 11 lutego 19:46

W miarę zbliżania się do „Twinkle” zdenerwowanie Bena narastało. Aby dostać nazwisko, którego potrzebowali, musieli tylko zmusić Danny'ego Dupraya do mówienia. Ale co oznaczało „tylko”?

Monique ścisnęła jego dłoń. Spojrzał na nią. W swoim żabim przebraniu wyglądała tak zabawnie, że nieomal się uśmiechnął. Jednak po chwili uświadomił sobie, że ona to jego kolejny problem. A ściśle mówiąc, naleganie, żeby razem odwiedzili Dupraya.

Ostatnia próba przekonania jej, by została w „Crescent” z Dezim, również spaliła na panewce.

- Włącz dyktafon - powiedział. - Pamiętaj - dodał, gdy sięgnęła do torebki i zrobiła to, o co poprosił - kiedy wejdziemy do biura Danny'ego, staraj się stanąć jak najbardziej z boku. Wiem, że trzyma w biurku pistolet, więc powinniśmy uważnie obserwować go oboje i to z różnych stron.

Kiwnęła głową, nie mówiąc nic więcej. Ale tak będzie lepiej i z innego, dużo ważniejszego powodu. Gdyby stała obok niego, na wprost biurka Danny'ego, znalazłaby się na linii strzału.

Wpatrując się w przeciwną stronę ulicy, usiłował przestać myśleć o najgorszych możliwych scenariuszach. Nie byli przecież bezbronni. Ale nie chciał, żeby rozpętała się strzelanina. Chciał tylko przekonać Danny'ego Dupraya, że lepiej będzie dla niego, jeśli zacznie mówić.

Przed „Twinkle” stała kolejka do wejścia. Kiedy Ben i Monique skierowali się od razu do drzwi, w tłumie usłyszeli parę nieprzyjaznych pomruków.

- Do kolejki, małpoludzie! - krzyknął bramkarz.

- Nie przyszedliśmy tutaj na przedstawienie. Muszę zobaczyć się z Dannym Duprayem.

- Taa? Jesteś umówiony?

- Powiedz mu, że to jego kumpel Larry z Las Vegas.

- A co z tą laską w żabim przebraniu?

- Nie zna jej, ale ona jest ze mną.

Bramkarz zniknął w środku i wrócił po kilku minutach, prowadząc za sobą młodą blondynkę. Była ładna, ale bardzo skąpo ubrana.

- To Barb - wyszeptała Monique.

- Dobra, w porządku, Larry - mruknął bramkarz. - Danny mówi, że chce cię zobaczyć. Barb pokaże ci drogę do jego biura.

Ben nigdy nie był w „Twinkle”, ale jeden rzut okiem dokoła i jeden wdech powietrza - ciężkiego od smrodu stęchłego piwa, dymu papierosów i potu - wystarczył, by zorientował się, że to jeszcze gorsza speluna, niż mu mówiono.

Poszli za Barb wzdłuż wybiegu, na którym kobiety o dużych piersiach rozbierały się w takt muzyki. Kiedy dotarli do korytarza prowadzącego na tył budynku, Monique położyła rękę na ramieniu kelnerki i zatrzymała ją.

- Barb? To ja, Anne. Kelnerka skinęła głową.

- Domyśliłam się. Ale słuchaj, Danny jest dzisiaj w kiepskim nastroju, więc uważajcie, co mówicie.

Cudownie, pomyślał Ben.

Barb poszła dalej, prowadząc ich do biura Danny'ego.

- Wpuść ich do środka - odpowiedział na jej pukanie.

- Musicie radzić sobie sami - wyszeptła, otwierając drzwi i wycofując się pospiesznie.

Kiedy Ben zamknął za nimi drzwi, Dupray popatrzył na nich przez chwilę ponad biurkiem, obdarzając na koniec sztucznym uśmiechem.

- Proszę, proszę, King Kong i żabia księżniczka. Czemu zawdzięczam ten honor?

- W mojej rodzinie ktoś ostatnio zmarł - powiedział Ben, obserwując Monique kątem oka. Zmierzała już w stronę bocznej ściany biura, udając zainteresowanie tanimi tapetami.

- Śmierć w twojej rodzinie - powiedział Dupray. - Taak, słyszałem. Większość ludzi słyszała. Oczywiście większość ludzi nie wie, że Ben DeCarlo był twoim bratem bliźniakiem.

- Nie. Tylko ty... ja... i...

Gad pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Najwyraźniej nie będzie łatwo. A głowa goryla, ograniczająca pole widzenia, nie pomoże mu, jeżeli Dupray nagle zdecyduje się wyciągnąć broń.

Ściągnawszy rękawice, Ben rzucił je na biurko. Potem zdjął maskę, położył obok rękawic i niedbale wsunął rękę do kieszeni. Kiedy zaciskał dłoń na pistolecie, Dupray patrzył na niego bez słowa.

- Jesteś bardziej podobny do Bena, niż mi się wydawało - powiedział w końcu. - Masz trochę inny kolor włosów, ale poza tym.

Spojrzenie Danny'ego niespokojnie przeniosło się na Monique, która skończyła oglądanie tapet i nonszalancko opierała się o ścianę. Potem znów skoncentrował się na Benie. Jego podejrzenia zostały najwyraźniej rozbudzone.

- Więc, wracając do tego, po co tu przyszliście, w twojej rodzinie zdarzyła się śmierć i... ?

- I muszę porozmawiać z człowiekiem, który stoi za morderstwami w „Augustine's”.

Cisza była niemal namacalna.

- Więc porozmawiaj z nim - powiedział Dupray.

- Chcę z nim porozmawiać teraz. Dzisiaj. I nie wiem, gdzie jest.

- Sądzisz, że ja wiem?

- Sądzę, że możesz się dowiedzieć.

- Hej, to Mardi Gras, Larry. Ten człowiek nie będzie chciał, żeby mu przeszkadzano. A to nie jest ktoś, kogo chciałbym drażnić.

Ben wzruszył ramionami, mając nadzieję, że wygląda na dziesięć razy spokojniejszego, niż czuł się w rzeczywistości.

- Twoja sprawa, Danny. Ale zanim się zdecydujesz, chciałbym ci o czymś wspomnieć. Mam pistolet, beretta 9 mm, który wziąłem z krypty na cmentarzu St. Louis.

Błada twarz Danny'ego zbieleła jeszcze bardziej.

- Masz go? Ze sobą?

- Nie. Oddałem na przechowanie. Ale jeśli nie będziesz współpracował, powędruje prosto na policję.

Dupray rozparł się w fotelu z wystudowanym spokojem na twarzy.

- To byłby wyjątkowo głupi ruch, Larry. Kiedy znajdą twoje odciski palców na nim...

- Został dokładnie wyczyszczony. Ale na pewno będą chcieli wiedzieć, dlaczego znalazł się akurat w rodzinnym grobie Duprayów, nie sądzisz?

- Cóż... przypadki zdarzają się. Cóż ja mogę powiedzieć. A teraz, skoro już nie masz mi nic więcej do zakomunikowania...

Danny Dupray pochylił się niedbale do przodu i zanim Ben zdążył się zorientować, o co chodzi, usłyszał krzyk Monique.

- Ben, uważaj!

Doskoczył do Danny'ego i błyskawicznie przystawił mu pistolet do gardła.

- Połóż ręce na karku.
- Spokojnie... Ben. - Dupray powoli wykonał rozkaz.
- Weź jego broń - nakazał Ben Monique. - Wrzuć ją do torebki.

Wyjęła pistolet z szuflady i cofnęła się.

- Dobrze, Dupray, teraz odpowiemy sobie na wielkie pytanie. Kto chciał śmierci mojego ojca? Kto mnie zrobił?

- Zabijesz mnie, jeżeli ci nie powiem, Ben?
- Tak, do jasnej cholery!
- No, to w ten sposób zapewnisz sobie powrót do Angola.

Monique była tak bliska płaczu, że z ledwością powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. W filmach czarny charakter zawsze załamywał się, kiedy bohater groził mu pistoletem. To jednak było prawdziwe życie i Danny Dupray postępował według własnego scenariusza.

Nieważne, o co pytał go Ben i jak podchwytliwe stawiał pytania, nie powiedział absolutnie nic, co mogłoby ich chociaż naprowadzić na trop. I za każdym razem, kiedy Ben udawał, że chce do niego strzelić i skończyć z tym wszystkim, ten szczur mówił:

- No dalej, zabij mnie. Bo jeżeli powiem ci, kto to jest, i tak będę martwy.

- Byłeś w to zamieszany od samego początku, co? - spytał Ben, próbując z innej beczki. - Musiałeś, jeżeli byłeś kontaktem Larry'ego.

- Zamieszany to trochę za mocne słowo. Tylko... ten człowiek chciał mieć absolutną pewność, że żadne ślady nie poprowadzą do niego. Tak, pracowałem jako kontakt Larry'ego. I pomogłem zorganizować świadków.

- Co zrobiłeś? - zapytała Monique. Dupray wzruszył ramionami.

- Nie interesowało cię, dlaczego Brently Gleason nie zeznawała na drugim procesie?

- Wiesz dlaczego? - zapytał Ben.

- Pewnie. Bo odkryła, że ustawiono ją jako świadka.

- Ty ją ustawiłeś.

- Nie bezpośrednio. Wiedziałem, że spotyka się z gliniarzem. Więc dałem im cynk i już on się postarał, żeby znalazła się w „Augustine's” tamtego dnia. Oczywiście, nie tylko ona - dodał, rzucając przeciągłe spojrzenie Monique.

- Chcesz powiedzieć, że... ja? Potrząsnął głową.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego kobiety są tak naiwne. Myślałaś, że ten fotograf, ten Frankie, to twój przyjaciel, co? Że zabrał cię na lunch do „Augustine's”, bo po prostu lubił to miejsce? Wziął cię tam, bo nieźle mu za to zapłacono. Widzisz, ten człowiek wiedział, że wielu ze stałych bywalców restauracji było zbyt sprytnych, żeby zeznawać. Ale miła, praworządna przyjezdna dziewczyna, taka jak ty...

Monique odetchnęła głęboko, niezdolna uwierzyć, że to, co mówił Dupray, było prawdą. A jednak. Inaczej skąd znałby Frankie'ego.

- A jak dowiedziałaś się o istnieniu Larry'ego? - zapytał Ben.

- Ten człowiek powiedział mi. On wiedział.

- Skąd?

Dupray znów wzruszył ramionami.

- Jestem już zmęczony tymi pytaniami. Nadszedł czas na decyzję. Albo mnie zabijesz, albo wynoś się do diabła z mojego klubu. Ale weź pod uwagę, że jeśli nie masz tłumika, mój barman na pewno usłyszy strzał. I znajdzie się tutaj w ciągu dwóch sekund - z własnym pistoletem. Na twoim miejscu poważnie rozważyłbym opcję numer dwa. Jeżeli wyjdiesz, wciąż jeszcze możesz uciec do jakiegoś kraju, który nie podpisał ze Stanami umowy o ekstradycji.

Przez chwilę Monique miała wrażenie, że Ben rozwali Danny'ego jednym strzałem. I przez tę jedną chwilę chciała tego.

Ale on wziął tylko ze stołu rękawice i maskę, po czym odwrócił się do niej, mówiąc:

- Chodźmy.

Ruszyła w stronę drzwi, wiedząc, że to była jedyna rzecz, jaką mogli zrobić. Nie był mordercą, a zastrzelenie Danny'ego tylko pogorszyłoby i tak wystarczająco złą sytuację. Ale świadomość, że nie miał wyboru, nie pomagała. Nie zdobyli tego, czego chcieli.

Na korytarzu Monique poczuła gorące łzy napływające jej do oczu. Danny Dupray był ich ostatnią nadzieją i teraz nigdy nie poznają imienia przestępcy i nie udowodnią niewinności Bena.

Barb czekała na nich na końcu korytarza.

- Dowiedzieliście się? - zapytała, kiedy Ben naciągał z powrotem głowę goryla.

Monique potrząsnęła głową.

- Ale dzięki za pomoc.

- Przykro mi, że wam nie wyszło.

- Dzięki - wyszeptała jeszcze raz, zadowolona, że maska kryła łzy płynące po policzkach.

Czując w ustach gorzki smak porażki, Ben wyprowadził Monique z „Twinkle”. Ruszyli wzdłuż Dumaine Street, zanim Danny Dupray zdecydował się wysłać za nimi swojego uzbrojonego barmana.

- Przynajmniej mamy wszystko na taśmie - powiedziała bez entuzjazmu. - Przyznał się, że odegrał w tym jakąś rolę.

Ben pokiwał głową, ale Dupray przyznał się pod lufą wycelowanej w niego broni, co oznaczało, że jego zeznania nie będą dla policji zbyt wiele warte.

- Dokąd teraz idziemy? - zapytała Monique.

- Z powrotem do „Crescent”. - Objął ją mocniej, uświadamiając sobie, że to są ich ostatnie wspólne chwile. Nie mogą czekać do pomocy na zarezerwowane loty, powinni wydostać się z miasta tak szybko, jak to możliwe.

Ale nie chciał w pośpiechu podjąć złej decyzji. Potrzebował spokojnego miejsca, żeby wszystko przemyśleć. Biuro Deziego dobrze się do tego nadawało - aczkolwiek nie na długo.

Dupray nie zachowa dla siebie informacji, że Ben DeCarlo żyje i znajduje się w Nowym Orleanie. Zadzwoi do tego tajemniczego człowieka albo na policję.

A kiedy to zrobi, ktoś na pewno wpadnie do „Crescent”, żeby sprawdzić, czy Ben się tam nie ukrywa.

- Co? - zapytał, przywołany do rzeczywistości, kiedy Monique nagle zatrzymała się.

- Telefon dzwoni. - Wyciągnęła go z torebki i odebrała, podczas gdy Ben obserwował ją bacznie.

- O mój Boże - szepnęła po chwili. - O mój Boże. Dziękuję ci bardzo. O tak, nie masz nawet pojęcia, jak bardzo nam to pomoże.

Ściągnęła maskę i wstała, wpatrując się w niego przez chwilę. Potem na jej twarzy pojawił się leciutki uśmiech.

- To była Barb. Pamiętasz, w jaki sposób dowiedziała się, że Dupray zadzwonił do kogoś tej nocy, kiedy zginęła Felicia? Stała przypadkiem pod drzwiami i usłyszała.

Ben przytaknął. Ale co wróżył jej uśmiech?

- Cóż, tym razem to nie był przypadek. Zmartwiła się, że nic nie uzyskaliśmy u Dupraya i specjalnie poszła pod drzwi biura, by podsłuchać rozmowę.

- I?

- I próbował dodzwonić się do wuja Dominicka. Dominick musi być tym człowiekiem.

- Dominick - powtórzył Ben, czując się, jakby otrzymał cios prosto w żołądek. - Co usłyszała?

- Powiedział, że chce rozmawiać z Dominickiem DeCarlo. Ale najwidoczniej nie zastał go. Kazał go szybko znaleźć i powtórzyć mu, żeby natychmiast zadzwonił do Danny'ego Dupraya z „Twinkle” w bardzo ważnej sprawie rodzinnej.

Ben potrząsnął głową, nie mogąc przełknąć śliny przez zaciśnięte gardło. Jeżeli Dominick naprawdę był tym człowiekiem, to przecież kazał zamordować własnego brata.

- Dlaczego Dominick miałby zabić twego ojca? - zapytała Monique.

- Nie jestem pewien. Najprawdopodobniej znudziło mu się być ciągle o krok z tyłu, wciąż przyjmować polecenia od starszego brata.

- I zwał winę na ciebie, ponieważ...?

- Tego nie wiem. Dominick i ja nigdy nie byliśmy wrogami. Ale mam zamiar uzyskać kilka odpowiedzi, nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Wahał się przez chwilę, zastanawiając się, czy powinien próbować przekonać ją, żeby z nim nie szła. W obecnej sytuacji nawet w „Crescent” nie mógł zagwarantować jej bezpieczeństwa.

- Więc? - powiedział niemal wbrew sobie. - Masz ochotę usłyszeć, co wuj Dominick ma na swoje usprawiedliwienie? Może chcesz to nagrać?

- Teraz? Wiesz, gdzie może być?

- W noc Mardi Gras? Jedynym miejscem na ziemi, gdzie może się teraz znajdować, jest bal u Abruzzich.

21:32

Bal u Abruzzich zawsze odbywał się w wielkiej sali balowej przypominającego pałac „Garden Terrace Hotel” na St. Charles Avenue. Dostanie się z dzielnicy francuskiej do Garden District zajęło im tej nocy dwa razy tyle czasu, ile zazwyczaj.



Zanim dotarli tam taksówką, Ben był już cały mokry - i to nie tylko z powodu kostiumu goryla.

Jeżeli Dominick dostał wiadomość Danny'ego Dupraya, wiedział, że jego siostrzeniec ma na sobie przebranie. A Ben zdawał sobie sprawę, jak bardzo potrzebują elementu zaskoczenia.

Zapłacił za taksówkę, a potem rozejrzał się dokoła, wypatrując Farrisa Quinna, do którego zadzwonili z taksówki, bo jakkolwiek miała się zakończyć ta historia, zakończy się z pewnością tutaj. Mogli mu przynajmniej dać wyłączność, zgodnie z obietnicą.

Nie widząc reportera, Ben wziął Mónica za rękę i poprowadził wzdłuż bocznej ściany hotelu, wyjaśniając po drodze:

- Sprawdzają zaproszenia, więc musimy wśliznąć się tylnym wejściem. Ale sala balowa znajduje się na parterze i do tej pory palacze pewnie otworzyli już drzwi na tarasy.

Dotarli na tyły budynku i przecięli rozciągające się tam ogrody. Noc była pochmurna, a jedyne światło rozjaśniające im drogę padało w postaci bladych smug z okien sali balowej.

Kilka pierwszych tarasów wypełnionych było ludźmi, więc minęli je.

- Będziemy musieli przeskoczyć przez balustradę - szepnął Ben, kiedy dotarli do tarasu, na którym nikogo nie było.

- Dobrze, że jestem żabą - odszepnęła mu Monique.

Roześmiały się, gdyby nie zdenerwowanie. W obecnej sytuacji po prostu ścisnął ją za rękę, dając znać, że zauważył próbę rozładowania napięcia.

- Dobra, na trzy. Kiedy złapała za barierkę, podsadził ją.

- Teraz włącz dyktafon i wchodzimy do środka - powiedział, wspinając się za nią.

Skinęła niespokojnie głową i zagłębiła rękę w torebce. Kiedy włączyła urządzenie, chwycił jej dłoń i sięgnął do klamki.

- Jak na razie idzie nam nieźle - powiedział, kiedy ustąpiła pod naciskiem.

- Ben? A jeśli nie znajdziemy Dominicka? Jeżli nie rozpoznasz go w kostiumie?

- Rozpoznam. Muszę - dodał po cichu - od tego zależy moje życie.

Otworzył podwójne drzwi. Weszli do środka, gdzie natychmiast ogłuszyła ich hałaśliwa muzyka.

Na sali było gorąco i tłoczno. Goście prezentowali przegląd typowych kostiumów, od błyszczących cekinami show girls po ubranego na czarno mężczyznę z kosą i w masce przypominającej trupa czaszkę.

Ben szybko odwrócił od niego wzrok. Pomyślał, że złowróżbna zjawia na samym początku nie może być dobrym znakiem.

Objął Monique i zaczęli tańczyć. Okrążyli parkiet dwa razy, zanim dostrzegł Dominicka i Rose. Stali, rozmawiając z inną parą, przebrani w greckie togi, trzymając w ręku maski na długiej rączce.

Ben poczuł nagły ucisk w żołądku na myśl, że raniąc męża Rose, zrani również ją samą. Zawsze była jego ulubioną ciotką. Ale Dominick przyczynił się do śmierci jego rodziców, nie miał więc wyboru.

- To on - powiedział Monique. - Ten w tocie. Zbliżając się do greckiej pary, Ben czuł, jak rośnie

napięcie emanujące z Monique. Gdy zatrzymali się, przylgnęła do niego.

- Już prawie po wszystkim - szepnął. - Trzymaj się kilka kroków dalej, zanim nie wyjdziemy z sali, a potem stań bliżej, tak żeby wszystko nagrać.

Skinęła głową. Wyglądała na przerażoną.

- Wszystko będzie dobrze, Monique. - Modląc się, żeby to była prawda, włożył rękę do kieszeni i zacisnął palce na pistolecie. Potem, czując, jak jego serce bije w oszalałym tempie, zbliżył się do wuja.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Mogę z panem porozmawiać na osobności?

Dominick spojrział na niego i uśmiechnął się na widok przebrania. Ben odetchnął z ulgą. Wuj nie rozpoznał go i chyba nie rozmawiał jeszcze z Dannym.

- Czy my się znamy?

- Tak. Wykonałem dla pana pewną robotę kilka lat temu. Jestem Larry. Z Las Vegas.

Cień irytacji przemknął przez twarz Dominicka.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Nie? - szepnął Ben ledwo dosłyszalnie. - Cóż, mam w kieszeni pistolet wycelowany prosto w ciebie, więc dobrze będzie, jak zrobimy sobie mały spacer. Jeżeli zobaczę, że próbujesz dawać komuś znaki, zastrzelę cię.

Dominick rzucił Benowi spojrzenie pełne nienawiści, potem zwrócił się do Rose i towarzyszącej im pary.

- Wybaczcie mi na moment. Ten dżentelmen chciałby zamienić ze mną słowo.

Monique podążyła za nimi. Przecięli salę, wyszli do części recepcyjnej, a potem podążyli wzdłuż korytarza. W końcu dotarli do pustej wnęki, w której znajdowały się drzwi do magazynu. Tu mogli ukryć się przed oczami ciekawskich.

- Miejsce w sam raz. - Ben gestem nakazał Dominickowi wejść w niszę i wyjął pistolet z kieszeni. - Gdzie masz broń? - zapytał, mierząc w wuja.

- O czym ty do diabła mówisz? Nie jestem uzbrojony.

- Zawsze jesteś uzbrojony. Nawet kiedy masz na sobie togę. Gdzie jest pistolet?

- Z tyłu. W zwojach materiału.

- Więc odwróć się. Powoli i bez numerów. Ben znalazł pistolet i zabrał go.

- Dobrze, teraz możesz odwrócić się z powrotem.

- Larry, o co w tym wszystkim u diabła chodzi? Dobrze ci zapłaciłem za to, co zrobiłeś. Koniec historii.

Ben spojrzał na Monique, upewniając się, czy dyktafon jest wystarczająco blisko.

- Uważaj na niego przez chwilę - powiedział. Kiedy wyjęła pistolet z kieszeni i skierowała go w stronę Dominicka, Ben ściągnął głowę goryla.

- Mam na imię Ben - powiedział, rzucając maskę na ziemię i podnosząc znów pistolet. - To Larry zginął wczoraj, nie ja. A ty zginiesz dzisiaj, jeżeli nie odpowiesz mi na kilka pytań. Dlaczego kazałeś zabić moich rodziców?

- Zwariowałeś? Nie kazałem!

- Larry powiedział mi co innego - skłamał. - Danny Dupray też - dodał kolejne kłamstwo dla lepszego efektu. - Jak również kilka innych osób.

Dominick nagle zaczął wyglądać na mniej pewnego siebie.

- Benny... Jak mogłeś w ogóle pomyśleć...

- Dlaczego, Dominick? Ty dobrze wiesz, że nie jestem mordercą. Nie zabiję cię, jeżeli mi powiesz to, co chcę wiedzieć. Ale jeżeli tego nie zrobisz, jesteś martwy, przysięgam.

Dominick pomyślał przez chwilę, po czym powoli wzruszył ramionami.

- Twój ojciec nie był człowiekiem, dla którego łatwo się pracowało, Benny. Coraz bardziej doprowadzał mnie do szału, aż wreszcie...

- Tak, tego się domyślałem. Ale skąd wziął się w tym wszystkim Larry? Dlaczego ktoś, kto wyglądał tak jak ja? Dlaczego chciałeś mnie zrobić?

- Benny... Po prostu tak się złożyło. Klika lat temu byłem na zabawie w kasynie w Las Vegas. Zobaczyłem tam Larry'ego i myślałem, że to ty. Podszedłem do niego i klepnąłem go w plecy, ale nie miał pojęcia, kim jestem. Dopóki oczywiście nie wyjaśniłem mu, że jest podobny jak dwie krople wody do mojego siostrzeńca. Wtedy zapytał o datę urodzenia siostrzeńca i kiedy mu ją podałem, powiedział, że musisz być jego bratem. Wiedział, że ma brata bliźniaka, który został adoptowany.

W każdym razie, zacząłem się nad tym zastanawiać, Benny. I im dłużej myślałem, tym większą czułem do ciebie niechęć. Oto chodziłeś po świecie, nosząc nazwisko DeCarlo, ale zachowując się tak, jakbyś był lepszy od reszty rodziny. I wymyśliłem... Cóż, resztę możesz już sobie sam dopowiedzieć.

Wściekłość opanowała Bena z taką siłą, że ledwo był w stanie myśleć.

- Ile mu zapłaciłeś, Dominick? Ile zapłaciłeś Larry'emu za to, żeby zabił moich rodziców, a mnie wpakował za kratki?

- Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie?

- Nie ma, Ben - powiedziała Monique. - Usłyszeliśmy już wystarczająco dużo.

Dominick spojrzał na nią i znów wzruszył powoli ramionami.

- Nie wiem, kim jesteś ani czemu się tym interesujesz. Ale Benny może być pewien, że prędzej dam się zabić, niż powtórzę komukolwiek to, co właśnie powiedziałem. I zaprzeczę, że z wami o tym rozmawiałem.

Ben oparł się pokusie wspomnienia o dyktafonie. Zostawi tę małą niespodziankę na później.

- Monique - powiedział zamiast tego - zadzwoń po policję.. I spróbuj znaleźć Farrisa Quinna. Powinien być w holu.

- Nie powinien wracać do więzienia - Monique mocniej zacisnęła rękę na dłoni Bena i rzuciła ostre jak sztylet spojrzenie detektywowi Marchandowi, dowodzącemu grupą policjantów, którzy przyjechali na jej wezwanie. - Jest niewinnym człowiekiem i spędził w celi już trzy lata.

Marchand przeszedł przez pokój konferencyjny, który zapewnił im menedżer hotelu, po czym zatrzymał się i odwrócił do nich.

Przez chwilę Monique była świadoma, jak śmiesznie muszą wyglądać, nawet bez masek na twarzy, ale kiedy Marchand zaczął mówić, była już w stanie myśleć tylko o tym, co słyszy.

- Tak jak już wyjaśniłem, tylko do momentu, kiedy odpowiednie dokumenty zostaną podpisane i cała papierkowa robota odwalona. Ale szukanie prawników, adwokatów i sędziów o jedenastej w nocy w Mardi Gras nie jest łatwym zadaniem.

- Dlaczego nie możemy zostać tutaj? Do chwili, kiedy znajdziecie wszystkich potrzebnych wam ludzi?

- Dlatego, że jak każdy muszę stosować się do pewnych reguł i procedur.

- Ale...

- Monique - przerwał jej Ben po cichu. - W porządku. Da nam pan parę minut?

Detektyw pokiwał głową, czując wyraźną ulgę, że może wyjść. Zanim jeszcze znalazł się za drzwiami, Ben wziął Monique w ramiona.

- Nie chcę tracić cię z oczu - powiedziała, czując słabość na samą myśl o tym. - Nie ufasz policji. A ludziom czasami przydarzają się różne „wypadki”, kiedy znajdują się w areszcie.

Delikatnie odsunął włosy z jej twarzy.

- Nie przydarzy mi się żaden „wypadek”. Nie zapominaj, że jestem teraz bardzo ważną osobą. Znajdę się jutro na pierwszej stronie „Times - Picayune”. Zanim Farris Quinn stąd wyszedł, upewnił się, że słyszał o tym każdy policjant w tym hotelu.

- Jesteś pewien, że nie wsadzą cię do jednej celi z Dominickiem albo Dannym Duprayem?

- Nie, będę w celi dla aresztantów, którzy mają wkrótce wyjść. Tamtych zamkną w celi dla skazańców. Wszystko będzie w porządku, obiecuję.

- Na pewno? - mruknęła, patrząc mu prosto w oczy.

- Słowo honoru. - Pocałował ją długo i mocno, tak że zabrakło jej tchu.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła - powiedział w końcu.

- Co tylko zechcesz.

- Cieszę się. Widziałaś te ekipy telewizyjne przed hotelem?

Skinęła głową.

- Kiedy przyjdą po mnie, chcę, żebyś została tutaj i podzwoniła trochę.

- Nie, Ben...

- Posłuchaj. Jak tylko to zrobisz, możesz przyjechać na posterunek i poczekać na mnie. Ale nie chcę, żeby twoi rodzice zobaczyli cię nagle w telewizji ze skazanym mordercą. Musisz teraz do nich zadzwonić i wyjaśnić, co się stało. Potem powiadom Deziego i Marię. Aha, i zadzwoń w moim imieniu do „Twinkle”.

- Do „Twinkle”?

- Tak. Powiedz Barb, że kiedy tylko będzie chciała, czeka na nią lepiej płatna praca w „Crescent”.

Monique uśmiechnęła się.

- Wiesz co?

- Co?

- Jesteś wyjątkowo miłym człowiekiem.

Ben w odpowiedzi wziął ją w ramiona i raz jeszcze złożył na ustach Monique gorący pocałunek.

- Wiesz co? - wyszeptał w końcu.

- Co?

- Ty jeszcze mało widziałaś.

## EPILOG

Piątek, 14 lutego 21:45

Przyjęcie w winiarni Bena było wspaniałe. Przyjaciele dopisali, a Monique czuła się najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, przechadzając się wśród nich z Benem pod rękę.

Kiedy ktoś zatrzymał ich, by wspominać dawne czasy, spojrzała na drugi koniec sali, gdzie jej rodzice rozmawiali z Marią.

W środę, po jego zwolnieniu z aresztu, Ben zaprosił Monique wraz z rodzicami, bratem i jego żoną do Nowego Orleanu. Teraz stali teraz przy barze i zaśmiewali się z czegoś razem z Dezim i Barb.

- Czemu się uśmiechasz? - zapytał Ben, kiedy jego przyjaciel odszedł.

- Dezi i Barb. Nie byłam zdziwiona, że tak szybko przyjęła twoją ofertę pracy, ale nie przypuszczałam, że tych dwoje natychmiast się polubi.

- Dlaczego? Myśmy się polubili.

- Ben - powiedziała, dając mu lekkiego kuksańca. - Nienawidziłam cię, bo byłam pewna, że jesteś mordercą, ty mnie nienawidziłeś, bo zeznawałam przeciwko tobie, a kiedy wzięłeś mnie jako zakładniczkę, byłam przerażona bardziej niż kiedykolwiek.

- A teraz? - Rzucił jej tak seksowny uśmiech, że kolana się pod nią ugięły.

- A teraz dopraszasz się komplementów.

- No i...? Dostanę jakiś?

- Hm, zobaczymy. Teraz kocham cię i nie przerażasz mnie nawet odrobinę.

- W takim razie muszę nad tym popracować - zaczął się z nią drażnić. - Mąż powinien wzbudzać w sercu żony przynajmniej odrobinę lęku.

- Ciii... Jeszcze nie ma dziesiątej. - Umówili się, że nic nikomu nie powiedzą do chwili, kiedy ogłoszą to oficjalnie.

- Jest prawie dziesiąta - powiedział, zerkając na zegarek. - Więc zanim powiemy światu... - Zanurzył rękę w kieszeni i wyjął małe, aksamitne pudełko.

Otworzyła je ze ściśniętym gardłem. Diament był olbrzymi i lśnił nawet w przyciemnionym świetle.

- Och, Ben... Jest w kształcie serca. To takie romantyczne. Dziękuję.

- Cóż, dzisiaj mamy walentynki. A ja kocham cię z całego serca.
- Och Ben - zamruczała znowu. Potem zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.